

STEFAN ŻEROMSKI

---

**Ludzie bezdomni,  
tom drugi**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

STEFAN ŻEROMSKI

# *Ludzie bezdomni*

# TOM II

## POCZCIWE PROWINCJONALNE IDEE

Doktor Judym niemało miał pracy w czasie sezonu. Zrywał się rano, tym skwapliwiej, że już przed godziną szóstą jego izdebka pod blaszanym dachem, dokąd w czerwcu ze wspaniałych salonów wyniesiono jego „lary i piernaty<sup>1</sup>” — wprost tliła się od żaru. Notował na stacji meteorologicznej, zwiedzał izby, gdzie kąpielowi stosowali „zabiegi” hydropatyczne, badał porządek w łazienkach, u źródeł, a przed ósmą był w swoim szpitalu.

O dziesiątej siadał w gabinecie i przyjmował pewną kategorię chorych (przeważnie młodych zdechłaków) aż do godziny pierwszej. Po obiedzie zajmował się bawieniem dam, uczestniczył w organizowaniu teatrów amatorskich,

---

<sup>1</sup>*lary i piernaty* — żartobliwie przekręcony zwrot: *lary i penaty*, co w wierzeniach starożytnych Rzymian oznaczało: opiekuńcze bóstwa domowe. [przypis redakcyjny]

spacerów, przeróżnych rekordów, wyścigów pieszych itd. Zabawki tego rodzaju musiał traktować jako pracę swą obowiązkową, czy do nich miał chęć, czy nie.

Pochłoneło go to jak nowy żywioł.

Otaczały go roje kobiet młodych, zdenerwowanych, rozpróżnionych, żądnych tzw. wrażeń. Judym przedzierzgnął się, sam nie wiedział kiedy, w młodego franta, odzianego modnie i paplającego wesołe komunały. To zabawne, ciekawe, miłe a deprawujące życie małej stacji klimatycznej, gdzie w ciągu kilku miesięcy gromadzi się i skupia w jedną jakby rodzinę ze wszystkich końców kraju i ze wszelkich sfer towarzyskich ludność chwilowa — oszołomiło go zupełnie. Ni z tego, ni z owego bawił się towarzysko z bogatymi damami i wchodził, nie dość że jako świadek, ale jako arbiter w najsekretniejsze ich tajemnice. Był poszukiwany, a nawet wzajem wydzierany sobie przez „koterie” — a nieraz ze śmiechem wewnętrznym decydował o czymś, co sam zwał tonem i smakiem.

Czasami, gdy do siebie wracał późno w nocy z jakiejś pysznej uciechy, zastanawiał się nad pięknnością życia, nad tymi nowymi jego formami, które poznawał. Zdawało mu się, gdy o tym świecie Cisowskim myślał, że czyta romans z końca zeszłego wieku, pełen somatyzmu<sup>2</sup>, gdzie widać życie godne zniszczenia, które wszakże posiada jakiś taki urok... Siła zmysłów, umyślnie w piękne formy skryta, staje się czymś nie znanym dla ordynarnej, zwyczajnej natury. Były chwile, że wprost zachwycał się wymową dyskretnego milczenia, symboliką kwiatów, barw, muzyki, słów ciągle bojących się czegoś...

Na balach i reunionach<sup>3</sup> bywał czasami i „pałac”. Wówczas berło królowej przechodziło do rąk panny Natalii. Gdy ukazywała się w jasnej sukni, była tak oślepiająco piękna, że wszystko, co żyło, na śmierć się w niej kochało. Ona przeczuwała zapewne ten szal masowy, który wśród mężczyzn szerzyły jej królewskie oczy, ale nie

---

<sup>2</sup>somatyzm — cielesność. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup>reunion (z fr.: *réunion*) — zebranie towarzyskie. [przypis redakcyjny]

raczyła go widzieć. Była zawsze zimna, obojętna, jakby wyrwana z tego życia. Czasami bawiła się z większą ochotą; uśmiechała powabnie, ale zaraz później, gdy tylko dostrzegła, że ten lub ów chce z chwilowego jej usposobienia wyciągnąć wniosek na swoją korzyść, sprowadzała go na padół jednym spojrzeniem i jednym uśmiechem innego rodzaju.

Było tak i z Judymem.

Rozzuchwalony powodzeniem u dam dr Tomasz zbliżał się śmiało do panny Natalii. W trakcie jednego z reunionów wybrała go kilkakrotnie, wesoło się z nim bawiła, sama wspomniała o Paryżu i wycieczce wersalskiej. Judymowi zakręciło się w głowie. Wzburzony tym wszystkim, w jakimś obłądnie śmiałości zdecydował się wykonać istny zamach i w następnym kontredansie począł mówić o Karbowski, którego od paru tygodni nie było w Cisach. Panna Orszeńska zgadzała się, gdy mówił, że ten Karbowski nie wydaje mu się być człowiekiem sympatycznym, witała jego słowa za pomocą krótkich skinień głową i dyskretnych okrzy-

ków. Flirt wesoły trwał w dalszym ciągu. Tylko gdy później doktor zbliżył się jeszcze i, zachęcony sukcesem, chciał rzecz ciągnąć dalej już nie o Karbowski, lecz o siebie, struchlał ujrzawszy w jej oczach taki blask ponurej dumy, jakiego jeszcze nie widział w życiu. Zdawało mu się, że ten wzrok hetmański, ubliżający mu bez wzruszenia, z głębi przymkniętych powiek wbija się w niego i szarpie na sztuki, rozdziera na strzępy, podobnie jak pazury orlicy ćwiertuja<sup>4</sup> żywą zdobycz. Słowa, które chciał powiedzieć, zwinęły się i niby garść pakuł utkwiliły w gardle.

Blady, ze ściśniętymi zębami, siedział jak przykuty na łańcuchu, nie będąc w stanie ani odejść, ani pozostać.

Wszystkie te okoliczności stawały doktorowi na przeszkodzie w zajęciu się sprawami szpitalnymi. Były w nim tego lata jak gdyby dwa prądy ścigające się wzajem. Im bardziej jeden z nich pomykał naprzód i zabiegał drogę, tym mocniej natężały się siły drugiego. Doktor

---

<sup>4</sup>ćwiertuja — dziś popr.: ćwiartują. [przypis edytorski]

czuł w sobie ciągłą przeszkodę w staraniu około chorych i zwalczał ją za pomocą silnej pracy, ale skoro tylko zetknął się ze światem zabaw, ulegał mu z tym większą bezwładnością, im namiętniej pracował w szpitalu. Było mu wszakże z tym wszystkim bardzo dobrze na świecie. Żył bez przerwy i nie miał wcale wyobrażenia, co to jest refleksja, nuda, zniechęcenie.

Szpital powstał właściwie dopiero przy nim. Budynek stał od lat kilku, dźwignięty przez „idealistę” Niewadzkiego, ale po jego śmierci traktowany był rozmaicie. W razie potrzeby administrator majątku składał w salkach szpitalnych buraki, rozsypane klepki kuf z gorzelni, zepsute części młockarni itd. Kiedy indziej lokaje, rządca, ekonom, kasjer i inni funkcjonariusze pożyczali dla swych gości łóżek, a naczynia i utensylia<sup>5</sup> rozkradziono ze słowiańską starannością. Nieraz leżała tam jakaś bezdomna położnica, nad którą ktoś się *wziął* i *zlitował*

---

<sup>5</sup>*utensylia* (z łac. *utensilia*) — rzeczy użyteczne; narzędzia, sprzęt, przybory.  
[przypis edytorski]



— jakiś parobek folwarczny chory na *kolki* albo jakie dziecko z ospą...

Opiekę nad szpitalikiem sprawował dr Węglichowski. Kłamałby, kto by twierdził, że dyrektor zgadzał się na składanie w szpitalu kup żelastwa, owszem, wyznać trzeba, że czasami śmiał się z tego do rozpuku, ale nie można również utrzymywać, żeby się zajmował chorymi. Gdy ktoś był bardzo kiepski, a złożono go w szpitaliku dla „umiejscowienia zarazy”, dr Węglichowski czasem przyszedł i skrobnął receptę. Zwykle nawet pomagało jego lekarstwo.

Częstokroć wynajdywał jakieś cherlactwo proboszcz, panny albo sama babka dziedziczka. Wówczas pakowano takiego szczęśliwca do szpitala. Jeżeli to był pupil księdza, to z plebanii przynoszono mu talerz rosołu albo jaką nogę kury gotowanej w potrawce. Jeżeli protegowany miał za opiekunki panny ze dworu — zajadał najpyszniejsze ochłapy z półmisków, częstokroć ze szkodą zdrowia.

W ogóle ten domek szpitalny stojący w odosobnieniu, a wśród budynków folwarcznych,

służących do wytwarzania zysku sposobami wiadomymi, reprezentował na skromną skalę los szlachetnej idei wśród świata materialnego. Stał smutny, opuszczony, bezradny, nieśmiały, jakby z założonymi rękami. Dr Tomasz ulegał głębokiej, a nie dającej się stłumić pasji, ilekroć zbliżał się do tego domostwa. Kiedy myślał o człowieku, który je postawił w pewnym celu, który przemyślał długo, jak to należy zbudować, i gdy z tym wszystkim zestawiał rezultat przedsięwzięcia, czuł taką wściekłość, jakby go tamten nieznany zmarły biczował słowami pogardy. I nie tylko to jedno.

Skoro urządził sobie z pierwszej widnej salki gabinet przyjęć, od razu zwała mu się na kark lawina Żydów, dziadów, obieżyświatów, biedaków, suchotników, rakowatych — wszystko, słowem, płacząca krwawymi łzami bieda polskiego cuchnącego miasteczka i nie inaczej cuchnących wiosek. Doktor rozsegregował ten materiał i zabrał się do niego. Jednych musiał przyjąć do szpitala na czas pewien, trzeba więc było

uporządkować sam szpital. Do tego wziął się *par force*<sup>6</sup>.

Odszukał przez płatnych agentów każde z wywleczonych łóżek i odebrał je w sposób najbardziej nieubłagany. Historia zdobywania nowych sienników, kołder, poduszek, prześcierań — mogłaby zająć tom *in folio*<sup>7</sup>. Na kupno dwu wanien i urządzeń do ogrzewania wody grały teatr amatorski najpiękniejsze i najbardziej dystyngowane kuracjuszki. Każdy sprzęt do gabinetu, apteki, kuchni itd. młody eskułap zdobywał na ludziach. Tu wycygał sześć talerzy, tam wyflirtował noże, widelce, łyżki; tę zmusił do kupienia szklanek, z kim innym wygrał zakład o sztukę perkalu na bieliznę szpitalną. Stara pani dziedziczka interesowała się zabiegami młodego doktora, nawet miała dla niego łzy w oczach i podziękowania „w imieniu nieboszczyka”, ale sama była pod tak silnym wpływem plenipotenty, który nie cierpiał

---

<sup>6</sup>*par force* (fr.) — siłą. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>*in folio* (łac.) — dosł. w formacie arkusza; największy format, w jakim drukuje się książki. [przypis redakcyjny]

tych fanaberii rozgrymaszających parobków, że od siebie nic wielkiego uczynić nie mogła.

Bądź co bądź na jej zlecenie otoczono terytorium szpitalne nowym, silnym parkanem i wydano rozkaz ogrodnikowi, ażeby starannie utrzymywał sad dookoła budynku. To była pierwsza ważna zdobycz, gdyż od tej chwili panem owego *templum*<sup>8</sup> okolonego parkanami stał się Judym. Nikt tam już ze służby i rozmaitych przychodniów nie miał prawa nie tylko nic wynieść, ale nawet postawić kroku. Drzwi kute były szczelnie zamknięte i uzbrojone w dzwonek...

Drugą ważną zdobyczą była pani Wajsmanowa. Osoba ta była wdową po jakimś „mężu nieboszczyku”, który posiadał „pewien kapitał”, wszakże w tym czasie pozbawioną jakiegokolwiek funduszu. Pani Wajsmanowa przyjęła miejsce dozorczyńi szpitala z pensją 400 rubli (którą, rzecz prosta, z „cichej kasy” pod najtajemniejszym sekretem wypłacał z pedantyczną regularnością za pośrednictwem Judyma M.

---

<sup>8</sup>*templum* (łac.) — świątynia, przybytek. [przypis redakcyjny]

Les) — z mieszkaniem, światłem, opałem, co wszystko znowu wzięło na siebie dominium.

Trzecim faktem fundamentalnego znaczenia było zaopatrzenie chorych kurujących się — w żywność. Tu Judym postępował jak Makiawel<sup>9</sup>. Działał na plenipotentą-materialistę za pomocą nastawionych kuracjuszek, dopuszczał się względem niego niskiego pochlebstwa, kuśił go obietnicami, wreszcie wydał go w ręce trzech panien z pałacu i uzyskał swoje. Plenipotent zgodził się dostarczać szpitalowi jak rok długi określoną ilość kartofli, mąki, kaszy, mleka, masła, warzyw, owoców etc. i podpisał własnoręcznie cyrograf chytrze ułożony przez Judyma. Zakład leczniczy nie był w stanie odmówić swej pomocy, w pewnej zresztą mierze. Wreszcie proboszcz, dostawca mięsa do zakładu i dworu, bogatsi łyczkowie z miasteczka, zniewoleni przez proboszcza i doktora, obo-

---

<sup>9</sup>*Makiawel* — Niccolo Machiavelli (1469–1527), włoski historyk i pisarz polityczny. W swym dziele *Książę*, dokonując na podstawie panujących stosunków analizy mechanizmu rządzenia, stwierdzał, że polityk nie cofa się przed użyciem podstępny i przemocy dla osiągnięcia zamierzonych przez siebie celów. W opisaney przez Machiavellego praktyce działania doszukiwano się powszechnie dyrektywy postępowania dla władcy. [przypis redakcyjny]

wiązali się dawać szpitalowi potrzebne materiały spożywcze w naturze.

Tak tedy już w połowie lata szpital był ożywiony i pełen zdechlactwa. Kaszlano tam, stękanono, sapano — aż się doktorskie serce radowało. W ogródku wygrzewały się na słońcu stare, uschnięte babska, zgniłe dzieci dygocące w potach malarii, rozmaite „głupie” Żydki i wszelkie inne ptaki niebieskie, co ani sieją, ani orzą... Nie było tygodnia, żeby doktor nie palnął operacji. Wycinał kaszaki, bolączki, wiercił, przekłuwał, ekstyrpował<sup>10</sup>, urzywał, przyklepiał itd. Co było w tym wszystkim istotnie złego, to brak pomocy felczerskiej i przecho-  
dzące wszelkie granice ubóstwo narzędzi oraz środków opatrunkowych.

Pani Wajsmanowa nie znosiła widoku krwi (osobliwie chłopskiej i, *horribile dictu!* — żydowskiej), brzydziła się tułatajstwem i w ogóle gardziła motłochem. Doktor musiał ją na każdym kroku pilnować i przymuszać do tego, żeby się strzegła objawów wzgardy dla chłopów.

---

<sup>10</sup>ekstyrpować (z łac.: *extirpare*) — wycinać. [przypis edytorski]

Sfery „miarodajne” kierujące zakładem leczniczym przypatrywały się działalności młodego chirurga, jeśli można się tak wyrazić, spod oka. Nie można mówić, żeby ktokolwiek sprzeciwiał się albo nawet miał za złe Judymowi jego postępowanie, ale z drugiej strony nie można utrzymywać, żeby ktokolwiek podzielał jego w tej sprawie entuzjazm. Dr Węglichowski wszelkie zabiegi swego asystenta zdążającego do postawienia szpitala na stopie tak niebywalej traktował w sposób tak samo ironiczny, jak rozkradanie przez lokajów łóżek szpitalnych. Jeżeli Judym domagał się pomocy czynnej w materiałach, dr Węglichowski zgadzał się postępując i wydzielał ilości, rozumie się, do najwyższego stopnia zmniejszone. Gdy szpitalik był naładowany, dyrektor doświadczał niesmaku, choć tego nie dał poznać nikomu ani uczuć Judymowi. Ale żarty z zapalczywości „ordynatora” brzmiały wówczas w ustach dra „Węglicha” w sposób pobłażliwy, może cokolwiek zanadto przesadnie. Od czasu do czasu stary medyk zachodził do szpitala i po dawnemu tam

rządził. Wkraczał do izb w kapeluszu na głowie, z cygarem w ustach, mówił głośno, zadawał pytania, zrywał się, łajał panią Wajsmanową, pokrzykiwał na chorych i, zbadawszy przelotnie tego i owego, kreślił szerokim pismem recepty albo radził Judymowi, żeby temu dać to, innemu tamto...

„Ordynator” słuchał tych rozkazów z najzupełniejszym posłuszeństwem i każde zlecenie wykonywał w sposób nieodwołalny. Chodziło mu o zyskanie dra Węglichowskiego dla idei szpitala, o wciągnięcie go do pracy, toteż puszczał mimo uszu żarty i przepisy, na które się nie godził. Jeżeli nawet dyrektor kazał kogoś znanego sobie, jakiegoś „ptaszka”, wydalić bez pardonu z granic szpitala, Judym i wtedy zmuszał się do uległości. Taki stan rzeczy trwał do końca sierpnia.

W ostatnich dniach tego miesiąca liczba gości zaczęła się zmniejszać. Bryki, powozy i omnibusy zakładowe wywoziły codziennie jakieś towarzystwo, a przynajmniej jakąś rodzinę. Dr Judym rujnował się na bukiety pożegnalne, w któ-



rych nad innym kwieciem przeważały niezapominajki. Stał już w głębi parku pierwszy chłód ranny, siał wieczorami na murawach zimną, białą rosę, a w szczyty drzew wplótł tu i ówdzie żółty liść, jakby pierwszy siwy włos w czuprynę dojrzałego mężczyzny.

Cichy smutek ogarnął rozbawione kółka. Teraz właśnie wydobywały się na jaw sympatie ukrywane starannie. Nad osobami, które wtedy dopiero miały sobie mnóstwo słów do powiedzenia, zawisł złośliwy dzień wyjazdu.

Serce Judyma zostało nie tknięte, a przemijające „wrażenia” były dlań czymś w rodzaju deszczu, który rozkwasza ziemię i czyni ją niby to do niczego niezdolną, a właściwie udziela jej wtedy władzy stwarzania.

Przelotne smutki szybko uschły, dusza Judyma stężała i pchnęła go do roboty zdwojonej.

W pierwszych dniach września, kiedy przyszły słoty, w czworakach folwarcznych zapadło mnóstwo dzieci na tak zwaną *frybrę*.

Czworaki owe mieściły się za dużym i wilgotnym parkiem, który jak płaszcz ogromny

spływał po pochyłości wzgórza od szczytu dworskiego aż do rzeki płynącej w łąkach. Tam były owczarnie, obory i mieszkania służby folwarcznej. Plenipotent majątku, człowiek nadzwyczaj energiczny i świetny agronom, z rzeczulki bezpożytecznie płynącej skorzystał w ten sposób, że na skraju parku, w trzęsawisku podmytym przez tajemne źródła, wygrał kilka sadzawek idących jedna za drugą. Woda przez właściwie urządzone „mnichy” spadała z jednej do drugiej. Sadzawki te wykopane były w torfiastym gruncie. Ił, porzucony na brzegach i groblach, macerował się w słońcu i we właściwym czasie służył do użyźniania roli. Woda odpływająca stamtąd łączyła się podłużnym basenem ze stawami, które rozlewały się w parku zakładowym, co bardzo upiękoczyło wiecznie kwaśne pobrzeża. Miejsce i tak już mokre, przez wstrzymanie zbiorników martwej wody wyziewało ze siebie ciężki opar, którego słońce strawić nie mogło. Tam to właśnie (w czworakach i we wsi leżącej na drugim brzegu łąki) grasowała *frybra*. Dzieci przyprowadzone stamtąd

do Judyma były wyschnięte, zielone, z wargami tak sinymi, jakby je miały poczernione węglem, z oczyma, które nie patrzyły. Periodyczne ataki gorączki, ciągłe bóle głowy i owa jakby śmierć duszy w żywych jeszcze ciałach zmusiły Judyma po długim badaniu do smutnego rokowania, że ma przed sobą ofiary malarii. Wówczas wybrał się cichaczem na zwiedzanie miejscowości leżących w dole. Przekonał się, że wiele rodzin było dotkniętych tą klęską.

Mieszkańcy wioski, autochtonowie, znosili ją, widać, łatwiej, ale ludność folwarczna, wędrowna, przybywająca z innych okolic, padała ofiarą w bardzo wielkiej ilości. Judym brał do szpitala tylko dzieci bardzo chore, leczył je chininą i trzymał na słońcu w ogrodzie, zapędzając do różnych robót, a po trosze i do nauki. Ale nie mógł zabrać ani czwartej części. Ci zaś, co „na górze”, w cieple doświadczyli poprawy, musieli wracać do swych mieszkań nad wodą.

Mieszkania owe, dawno wzniesione, były stosunkowo bardzo porządne, murowane z cegły, tak samo jak owczarnie, stodoły, spichlerze

itd. Nie mogło być mowy o umieszczeniu tych rodzin w innym miejscu, gdyż to pociągnęłoby szalone koszty. Tam koncentrowało się życie folwarku.

Kiedy pierwszy raz Judym zapytał mimochodem plenipotentą, czy nie dałoby się przenieść czworaków na miejsce bardziej suche, ten zaczął mu się przypatrywać z uwagą, a w taki sposób, jakby doktor ni z tego, ni z owego w towarzystwie osób starszych i godnych szacunku zatańczył kankana albo wywrócił koziołka. Judym nie stracił przytomności i nie spuścił oczu. Czekał jeszcze chwilę, czy mu wszechwładny agronom nie odpowie, a gdy się niczego nie doczekał, rzekł z całą delikatnością:

— Tam, w tych czworakach panuje malaria. Przyczyniają się do tego w znacznej mierze... przyczyniają się do tego... zaprowadzone sadzawki.

Plenipotentowi lica i oczy krwią zabiegły. Sadzawki były to jego ulubienice. Sam je wymyślił, zarybił i osiągnął z nich dla majątku znaczny dochód. Ryby w ciągu całego roku szły

na sprzedaż i do kuchni zakładu leczniczego, czyniąc już dużą pozycję, a na przyszłość cała sprawa, prowadzona umiejętnie, miała stanąć jeszcze lepiej. Prócz tego lód, szlam itd.

Toteż wielkorządca i teraz nic nie rzekł, tylko błysnął oczami, a później przeszedł na inny temat w sposób zabójczo grzeczny.

Taki wstęp nie zwiastował zgody ani jakiegokolwiek kompromisu. Trzeba było wywierać nacisk. Do pani dziedziczki w kwestii tak czysto folwarcznej droga prowadziła jedynie *via*<sup>11</sup> plenipotent. Panny załamywały białe dłonie, ale nic poradzić nie mogły.

Jesień nadchodziła.

Po dżdżystych nocach stało nad łąkami i dolnym parkiem jakby błoto w przestworze. Gdy nim kto długo oddychał, uczuwał ból głowy i jakiś pulsujący szelest w żyłach. Wtedy również Judym zauważył, że i w zakładzie około stawów było powietrze jeżeli nie takie samo, to bardzo siostrzane. Liście zlatujące z olbrzymich grabów i wierzb sypały się w stojące ba-

---

<sup>11</sup>*via* (łac.) — droga; tu: przez. [przypis redakcyjny]

seny wody i tam w niej gniły. Na powierzchni stawów pieniała się masa wodorostów, które gdy było wyrwać i rzucić na brzegu, szerzyły woń cuchnącą. Kuracjusze przybywający do Cisów dla pozbycia się malarii nie tracili jej, a były nawet dwa wypadki febry zdobytej. Kiedy Judym zakomunikował te swoje obserwacje doktorowi Węglichowskiemu, ten zmierzył go takim samym wzrokiem jak plenipotent i żartobliwym, a jednak cierpką esencją zaprawionym tonem oświadczył, że to nie jest wcale ani febra, ani tym mniej — malaria.

— Główna rzecz — dodał — nie należy o tym wcale mówić...

Cmoknął go przy tym w czoło i uderzył bratnią, przyjacielską dłonią po ramieniu.

Judym zdziwił się, ale... nie mówił nikomu.

We wrześnie izby szpitalne pełne były dzieci większych i mniejszych. Ociężałe, mrukowate, senne istoty siedziały i leżały, gdzie się dało. W izbach panował zaduch i jakaś nieopisana nuda. Zdawało się, że tu spędzono pijaną szkołę, która za nic na świecie nigdy się nicze-

go nie wyuczy. Dzieci te wlepiały we wszystko ślepie bez żadnego wyrazu, bez chęci nawet do jadła. Jeżeli które z nich wypędzono za drzwi, lazło bezmyślnie przed siebie, wtulając głowę w ramiona.

Gdy trafiło się wolne miejsce, wnet je ktoś zajmował i przymykał oczy nie po to, żeby spać, tylko żeby na świat nie patrzeć, żeby wciągnąć się w siebie jak ślimak w skorupę i doznać cieplej ulgi. Zwiędłe kadłuby dziewczyn, na których twarzach malował się ból głowy, pozawijane w chustki i zapaski siedziały nieruchomo na ziemi, gotowe trwać całe doby w tej samej pozycji, byleby tylko nie lazić po błocie i deszczu. Kiedy doktor wchodził, wszystkie oczy patrzyły na niego jakoby ten dzień jesienny. Czasami gdzieś, w głębi przewinał się uśmiech...

Ta sentymentalna gościnność dla podrostków nie chorych obłożnie, sprzeciwiająca się tak jaskrawo tradycjom szpitala, zaczęła ludzi irytować. Plenipotent wprost mówił, że zanoszą się na demoralizację „w grubym stylu”, a nawet ze swej strony „za nic nie ręczył” i „umy-

wał ręce”. W gruncie rzeczy Judym sam nie wiedział, co ma robić dalej. Chininę ekspensował jak mąkę, miał „rezultaty”, ale do czego to *summa summarum*<sup>12</sup> prowadzić miało — nie bardzo wiedział. Gdy chore dzieci przychodziły jak owce do owczarni, pozwalał im rozkładać się i siedzieć, a gdy je stamtąd „ojcowie”, nasłani przez ekonomów i karbowych, wyciągali do roboty waląc pięścią po karku, nie protestował, bo nie wiedział w imię czego.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia dr Judym otrzymał bilet od pani Niewadzkiej, w którym wyrażona była prośba, żeby się niezwłocznie pofatygował do pałacu. Skoro się tam udał, wprowadzono go do małej alkowy, gdzie stara dama zwykle przebywała. Były tam obydwie wnuczki i kilka osób z rodziny dalszej, które zazwyczaj bawiły w Cisach przez sezon. Judym był już w tym pokoju kilka razy, ale zgromadzenie tylu osób odebrało mu pewność siebie.

---

<sup>12</sup>*summa summarum* (łac.) — wszystko razem, ostatecznie. [przypis redakcyjny]



Pani Niewadzka wyciągnęła doń rękę i kazała usiąść obok siebie.

— Prosiłam cię, panie doktorze, na naradę.

— Służę z gotowością.

— Co do tych bębnow<sup>13</sup> folwarcznych. Nie ma sposobu, prawda?

— Nie ma żadnego.

— Worszewicz ani słuchać podobno nie chce pańskich projektów przeniesienia Cisów na inne miejsce, na przykład w Góry Świętokrzyskie?

— Nie chce nawet paru czworaków posunąć wyżej na tutejszą, Cisowską górę, a cóż dopiero mówić o Górach Świętokrzyskich... — rzekł doktor w tym samym tonie.

— Hm... To źle! Bo tutaj Joasia proponowała inną kombinację.

— Panna Podborska?

— Tak, tak... Chciała oddać swój pokój w skrzydle na pomieszczenie malaryków, żeby od nich szpital uwolnić. Ona tam zresztą ma jakieś swoje mrzonki, na czym się nie znam.

---

<sup>13</sup>bębny — tu: dzieci. [przypis edytorski]

Ale że to jest przecie jasne jak płomyk i czu-  
łe jak powój, więc nie mogę temu nie ulegać.  
Samo chciało w pasażyku, uważasz, doktorze,  
obok stacyjki gospodyni... Otóż uradziłyśmy  
tu, żeby jej na urodziny, w listopadzie, zro-  
bić siurpryzę<sup>14</sup>. Jest w lewej oficynie od po-  
łudnia stara piekarnia, całkiem dziś pusta. Tam  
jest izba ogromna, sucha i widna. Prosiłam pa-  
na Worszewicza, żeby kazał stamtąd wynieść  
wszelkie rupiecie, obielić ściany, wyrestaurować  
piec, opatrzyć okna... Może byś zgodził  
się, panie doktorze, tam te dzieci przetranslo-  
kować! Niechże się to w zimie tam grzeje i ra-  
tuje... To dla niej, dla panny Podborskiej... na  
wiązanie...

— Czyżbym się zgodził!... Ależ...

— A, no to chwała Bogu.

— Te dzieci kuracji nie potrzebują, tylko  
suchego mieszkania tu, na górze. Gdzież jest  
panna Joanna?

— Nie, nie, jej mówić nie trzeba! Dopie-  
ro w listopadzie otworzy się tę salę malaryjną

---

<sup>14</sup>siurpryza (z fr. *surprise*) — niespodzianka. [przypis redakcyjny]

i odda jej pontyfikalnie<sup>15</sup>. Uważasz? Ona tam będzie sobie z tymi brudasami radziła. To jej rzecz... Pod pańskim zresztą dozorem lekarskim...

— Ach, tak... — szepnął Judym.

Uczucie niesmaku, a nawet odrazy przewinęło się w mrokach jego duszy.

## STARCY

Domek zajmowany przez dyrektora Cisów dra Węglichowskiego mieścił się na wzgórzu, z którego obejmowało się wzrokiem cały park i jego okolice. Dworek ten należał do M. Lesa. Kiedy dr Węglichowski zdecydował się przyjąć obowiązki dyrektora, M. Les zaczął niezwłocznie pod dozorem uproszonej kompetentnej osoby stawiać w Cisach „budę” dla siebie, w której, jak pisał, pragnął żywota dokonać. Była to willa drewniana, z zewnątrz niepokaźna i dość ciasna. Miała jednak rozmaite zalety wewnętrzne: były tam alkowy, piwniczki i spizarki, skrytki,

---

<sup>15</sup>*pontyfikalnie* — uroczyście. [przypis redakcyjny]

strychy itd. tak pobudowane, że czyniły z niej bezcenne gniazdo.

Kiedy dom był gotów, M. Les prosił Węglichowskiego listem gwałtownie różnojęzycznym o zamieszkanie w tej chałupie, a to w celu po prostu ustrzeżenia jej od złodzieja, ognia i wojny. Węglichowski odrzucił propozycję. Nie miał zamiaru korzystać z darowizny domu (gdyż taki był podstęp M. Lesa, zbyt prostacko sklejony, żeby się ktokolwiek na nim nie poznał). Wtedy Leszczykowski napisał list jeszcze bardziej nieortograficzny, w którym wymyślał po turecku „starym futurom”<sup>16</sup>, którzy dach przyjaciela uważają za cudzy. „Nie ma już — pisał — dawnego koleżeństwa! Wszystkoście zamienili na pieniądze, a skoro tak, to płać, płać komorne, jak Żydowi albo Grekowi! Ponieważ jednak ja ani Żydem, ani Grekiem, ani żadnym hyclem być nie myślę na stare lata, więc żądam, żebyście ten czynsz dzierzawny obracali na kształcenie jakiego osła z Cisów czy spod Cisów w pożytecznym kunszcie, w jakim ko-

---

<sup>16</sup>*futur* — tu w znaczeniu: kolega, kompan. [przypis redakcyjny]

szykarstwie, tkactwie, co by później w okolicy rozwinął — czy ja tam wiem zresztą, w czym i jak? Głupi jestem przecie w tych sprawach, jak zresztą we wszystkim, co się nie tyczy bezpośrednio targów z Azjatami...”

To dr Węglichowski przyjął z ochotą. Czynnosc dzierżawny oznaczono kolegiąlnie i wypłacono, według woli M. Lesa, naprzód ogrodnickowi, który się uczył w Warszawie, a później innemu chłopcu.

Szczególnie zadowolona z mieszkania była żona dra „Węglicha”, pani Laura. Była to osoba nadzwyczaj interesująca. Miała już pięćdziesiątkę z dużą górą, ale trzymała się wybornie. Siwe pasma włosów wymykające się spod czarnego ubrania głowy podczerniała tak starannie i systematycznie, że przybrały kolor szczególny, kolor zmulonego siana, które wyschło wprawdzie na słońcu, ale nie może się pozbyć odcienia czarnej, głębokiej zieleni. Policzki jej były zawsze rumiane, oczy żywe, a ruchy prędkie i gwałtowne po dawnemu, jak u osiemnastoletniej dziewczyny. Pani Laura była to oso-

ba małego wzrostu i szczupła. Od czasu zamieszkania w Cisach stopniowo zmieniała się na „gospodynię”, bardzo wiele czasu poświęcała „drelowaniu”, smażeniu, pieczeniu i gotowaniu. Nie można powiedzieć, żeby rondel świat jej zasłonił. Owszem, pani Laura lubiła patrzeć na życie szersze, i to okiem przenikliwym, co zresztą prowadziło nieraz do zbyt kategorycznego (między pieczeniem a deserem) rozstrzygnięcia zawiłych kwestii. Życie jej obfitowało w szczegóły, które mogłyby wypełnić romans, a właściwie opis podróży. Młodość, pierwsze jej lata poślubne upłynęły za światem, w wertepach, w pracy ordynarnej, w ciężkich i twardych cierpieniach. Ów sposób życia ujął wrodzony temperament pani Laury w mocne kluby i urobił go w szczególną całość. Doktorowa na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie babiny gadatliwej, chętnie decydującej i chłodnej. Nie cierpiała wszelkiej „egzaltacji”, mazgajstwa, uczuć i tkliwości. Palnęła nieraz takie zdanie, że się aż kwaśno robiło. W gruncie rze-

czy jednak czuła żywiej niż całe otoczenie. Były materie, które ją elektryzowały w mgnieniu oka. Wtedy robiła wrażenie nasrożonej kocicy. Mówiła w takich momentach krótko, węzłowato, jak dowódca wydający rozkazy swemu oddziałowi piechoty. W tej piechocie stał, rozumie się, na pierwszym miejscu dr Węglichowski. Czy siedział pod pantoflem, to jest wieczna tajemnica... W kwestiach szerokich, ogólnych, zasadniczych sprawiał wrażenie podkomendnego. Za to w interesach wszelkiego gatunku, wymagających przebiegłej kombinacji, był panem i rozkazodawcą.

U państwa Węglichowskich prawie co dzień gromadził się świątek Cisowski: Listwa, Chobrzański, plenipotent Worszewicz, ksiądz, Judym, kilka osób z kuracjuszków i kuracjuszek dłużej w zakładzie przesiadujących. Latem, a szczególnie pod jesień grywano w winta na małej werandzie domu, ocienionej dzikim winem. Kiedy Judym przybył do Cisów, zastał już między stałymi bywalcami tych posiedzeń wintowych nie tylko przyjaźń, ale jakieś zrośnięcie

się myślami, wyobrażeniami, całą masą upodobań i antypatii.

Niektóre osoby lubiły się tam wzajem a bezinteresownie. Pani Węgliczowska lubiła tak Listwę, a on ją. Młody proboszcz wiecznie pokpiwał sobie z tych „amorów” w sposób dystyngowany, a Krzywosąd w sposób rymarski. Pani Laura wyśmiewała się nieraz ze starego kasjerzyny, a lubiła go i brała w obronę zarówno od udręczeń żony, Dyzia, jak całego świata. Za tę opiekę Listwa odwzajemniał się formalnym uwielbieniem, admiracją stałą i wykluczającą krytykę. Krzywosąd wsunął się między Węgliczowskich, przywarł do nich i, poznawszy wszystkie ich zalety, błędy, dziwactwa, czynił, co trzeba, żeby zostać panem placu. Udało mu się to w zupełności. Dr Węgliczowski miał w nim istotną prawą rękę. Krzywosąd wykonywał wszystko po myśli dyrektora, przewidywał na cztery tygodnie jego życzenia, ale w zamian rozszerzał krok za krokiem terytorium swojej władzy.



Pomimo rozumu, siły woli i tęgości charakteru dr Węglichowski ulegał nieraz Krzywosądowi, ustępował mu, a nawet pokrywał jego czyny urokiem swego autorytetu. Ci dwaj ludzie dopełniali się i tworzyli jakąś całość władzy silnej i zgoła nierozzerwalnej. Plenipotent lubił towarzystwo tych osób i był lubiany. Dzień w dzień spierał się z Chobrzańskim, który go raził wszystkim, co robił i mówił, a mimo to przepadał za wszechstronnym administratorem. Całe to kółeczko stanowiło świat odrębny.

Byli to ludzie wypróbowanej, nieposzlakowanej uczciwości, ludzie, którzy w życiu swym straszną masę rzeczy widzieli, toteż uchodziło dla najbliższej okolicy za honor być na wincie u dyrektorostwa. Judym i proboszcz weszli do tego grona jak gdyby *ex officio*<sup>17</sup> z natury swego położenia towarzyskiego. Byli, rzecz prosta, dobrze przyjęci, ale nie mogli wejść w ściśle pobratymstwo z tamtymi. Judym nigdy nie

---

<sup>17</sup>*ex officio* (łac.) — z urzędu. [przypis redakcyjny]

mógł osiągnąć tego, żeby znajdował posłuch, żeby mówił przekonywująco<sup>18</sup> dla kogokolwiek.

Słuchano go z uwagą, odpierano jego zdania albo się na nie godzono, ale on czuł dobrze, że jest to tylko rozmowa. Między nim i grupą był jakiś płot nie do przebycia. Uderzało go zawsze patrzenie tamtych osób na terażniejszą, a raczej modłą traktowania, z której pomocą ujmowali każde zjawisko bieżące. Życie współczesne w Cisach stanowiło dla grupy dyrektorskiej jak gdyby tylko ramę wypadków ubiegłych. Wszystko, cokolwiek było i mogło być ważnego — leżało w przeszłości.

Ludzie, wypadki, kolizje, przejścia, radości i cierpienia z tych czasów dawnych miały jakąś moc aktualności, która przytłaczała rzeczy nowe. Wszystko, co współczesne — było dla nich prawie niedostrzegalne, jakieś błahe, bez wartości i wpływu, a najczęściej śmieszne. Tymczasem Judym żył taką pełnią sił, tak rzucał się na terażniejszą chwilę i porywał ją w swe

---

<sup>18</sup>*przekonywująco* — dziś popr.: przekonująco a. przekonywająco. [przypis edytorski]

ręce, że owe dawne rzeczy tylko go nudziły. To też w żaden sposób nie mógł znaleźć drogi do tych ludzi.

Czuł to na każdym kroku, że musi albo wziąć z ich rąk ster spraw Cisowskich, albo z nimi współdziałać w taki sposób, aby im się wydawało, że to oni robią. Już po upływie kilku miesięcy przekonał się, że tylko to drugie jest możliwe. Administrator i dyrektor byli tak silnie ze sobą złączeni i tak świadomie trzymali wszystko, że o pracowaniu pomimo nich mowy być nie mogło. Kiedy Krzywosąd po skończeniu sezonu sam, własnoręcznie reparował rury prowadzące ogrzaną wodę do wanien, a Judyń zrobił mu uwagę, że tak być nie powinno, że naprawianie rur — to rzecz specjalisty, gdyż w przeciwnym razie w ciągu sezonu wynikną awantury w kształcie pęknięcia tych szlachetnych naczyń, Krzywosąd odpowiedział mu kilkoma anegdotami i robił dalej swoje. Dyrektor, do którego zwrócił się młody asystent z tą samą radą, uśmiechnął się i odrzekł grzecznie, że to jest terytorium administratora, któ-

ry w swoim poświęceniu dla Cisów idzie aż za daleko, który oto własnymi rękoma pracuje, żeby zaoszczędzić grosza, który, krótko mówiąc, jest fenomenem. Zacytował mu nadto sześć przykładów nieposzlakowanej uczciwości Krzywosąda. Gdy Judym zastrzegł się, że on o szlachetności nie tylko nie wątpi, ale nawet nie mówi, rury zaś... — dyrektor powtórzył myśl swoją i urwał na niej rozmowę.

Taki proces powtórzył się z dziesięć razy, i to w najrozmaitszych okolicznościach. Wszystkie one wykazywały, że nie można w żaden żywy sposób wpływać na bieg spraw cisowskich, jeśli się nie idzie ręką w rękę z administratorem. Wówczas młody lekarz umyślił współdziałać z Krzywosądem i tym sposobem go opanować. Zabrał się tedy w sezonie jesiennym, kiedy wszelkie rozrywki ustały, do prac przeróżnych. Układał w zastępstwie starca księgi kancelaryjne, które tamten mazał w sposób niemożliwy, wglądał jako ekspert w sprawy kuchni, ogrodu, folwarku, sadił drzewa, jeździł do miasta na sądy, budował, przerabiał, zajmował

się wszelkiego rodzaju restauracjami mebli, spisywał kontrakty itd. Nie tylko Krzywosądowi, ale wszystkim podobała się ta gorliwość. Chętnie wyręczano się doktorem, który imał się każdej pracy. Były to dla niego środki, które uświęcał daleki cel: osuszenie Cisów, skasowanie sadzawek, stawów, basenów i cały na tym tle szereg chytrze przemyślanych reform. Od czasu do czasu nieznacznie, jak gdyby nigdy nic wysuwał łapę i badał sytuację, czy nie można by już ruszyć się w znanym kierunku... Ale za każdym razem musiał ją cofać i wracać do pospolitego wykonywania robót za Krzywosądą, za dyrektora...

Skoro tylko spostrzegano, że „młody” filozofuje, delikatnie usuwano go nawet od czynności, na które już zezwolono jak małemu, obiecującemu chłopczykowi, gdy był grzeczny. Judym nie zrażał się niczym. Robił ciągle z myślą, że nauczy się z czasem tych Cisów tak na pamięć, że je od a do z ogarnie pracą swoją i tym trybem posiedzie.

Z wolna, w głębi ducha pierwotna chęć do pracy zamieniała się na zgubną pasję. Cały zakład, park, okolica stawały się jego skrytą namiętnością, żyjącym, jak płód, wewnętrznym światem.

Jeżeli się zamyślił głęboko i chwycił na gorącym uczynku, o czym też myśli, to zawsze okazywało się, że coś knuje: nowe urządzenia, inne wanny, szpalery, ogrody dla dzieci, sale gimnastyczne, przytułki dla wyrobników zakładowych i inne, inne rzeczy — aż do białego słonia, aż do samego „muzeum Cisowskiego”. Nieraz w nocy, zbudziwszy się, łamał sobie głowę nad jakąś drobnostką, nad czymś, co nikt nigdy nie interesowało, czekał niecierpliwie ranka i, wstawszy o świcie, coś sam robił, dźwigał, kopał, mierzył.

Pewne przedsięwzięcia niezbędne dlań w systemacie, w owym planie zmierzającym do higienizowania, wykonał sam całe, z prawdziwą furją. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego raptem zajmował się rzeczą postronną, nie związaną z życiem rokrocznym, z formułą zakładową.

Uśmiechano się wtedy pobłaźliwie, układano cichaczem anegdoty — nie żeby mu szkodzić albo go dotknąć, lecz idąc za natchnieniem przyrody uczciwych, spokojnych, osiadłych ludzi.

Już w zimie młody doktor stał się figurą tak niezbędną w Cisach, tak do nich pasującą, jak na przykład źródło albo łaźienki. Służba, robotnicy, chłopstwo okoliczne, interesanci, dwór, goście — słowem, wszyscy przywykli do tego, że jeżeli trzeba coś ciężkiego zrobić na pewno, coś z forsą „odwalić” — to do „młodego”. O każdej porze dnia, a nieraz w zimowe noce, w mrozy, zawieje, roztopy, na małych saneczkach albo piechotą, w grubych butach snuł się po drożynach między wsiami do chorych na ospę, na tyfus, szkarlatyny, dyfteryty...

Jak to zwykle bywa na świecie z ludźmi silnymi — nie ominął go ani jeden wyzysk. Brał jego pracę każdy, kto tylko mógł. Ale Judym drwił sobie z tego. Czuł się tak dobrze jak inny, gdy zbija majątek albo buduje sobie sławę. Im silniej pracował, tym więcej czuł w sobie mocy, jakiegoś rozmachu i owej pasji, która potężnia-

ła i wyrabiała się od trudu jak mięsień. W tym życiu całą pierśią brakowało mu jednak towarzysza. Czasami popełniał błędy, leciał niepotrzebnie w jakimś kierunku i u końca jego dostrzegał, że się ośmiesza w mniemaniu tych, co siedząc na uboczu przypatrują się tylko i wiedzą z góry o śmieszności tego, co on czyni.

Istniał jeden wspólnik, ale daleko. Był nim M. Les. Od samego przyjazdu Judym wszedł z nim w korespondencję, która z czasem zamieniła się na ciągłe obcowanie. Kochanek dla kochanki nie ekspensuje takich stosów papieru jak ci dwaj praktyczni marzyciele. Judym podawał swoje projekty i uzasadniał je, M. Les wskazywał drogi urzeczywistnienia. Z początku Leszczykowski usiłował przekonać w listach radę zarządzającą, żeby wprowadzała takie a takie ulepszenia w Cisach. Wszyscy, rozumie się, powstali na niego z wyrzutami, że bierze się do rozstrzygania spraw instytucji, której na oczy nie widział.

M. Les musiał położyć uszy po sobie i zamilkł skompromitowany. Zaczęto się domy-



ślać, kto to inspiruje starego filantropa, i odgadnięto bez trudu. Zgadł to przed wszystkimi Krzywosąd i zabezpieczył się z tej strony. On sam począł pisywać sążniste listy do Leszczykowskiego i przedstawiać mu sprawy w innym oświeceniu. Na szczęście stary kupiec znał „zieloną małpę” do gruntu i zbyt kochał rzecz samą, żeby mu można zwichrzyć o niej pojęcie. W listach Judyma widział ciała swych planów urodzonych w tęsknocie, jakby dalsze wywody swych myśli. Toteż nie ustawał. Gdy nie pomagały przerozmaite chytre oddziaływania na dyrektora i Krzywosąda, M. Les polecał Judymowi uciekać się do „cichej kasy”. Tak było ze szpitalem i mnóstwem innych rzeczy. Jeżeli nie chciano zgodzić się na jakąś innowację, to ją wprost M. Les za pośrednictwem Judyma fundował dla Cisów. Rada zarządzająca krzywiła się, uśmiechała ironicznie, szeptała dowcipne słowa, ale koniec końców czuła się zmuszona do podziękowań.

W ciągu całej jesieni Judym obserwował, badał i mierzył stawy zajmujące środek par-

ku, a głównie basen wprowadzający wodę do pierwszego z nich. Basen urządzony był w ten sposób, że u samego wejścia rzeczki do stawu zbudowano groble, która podnosiła poziom wody rzecznej o jaki łokieć z górą. Nadmiar wody spadał z szumem do stawu. Ten zbiornik wody skonstruował Krzywosąd, ażeby ozdobić park w takim rodzaju, jak to widział w przeróżnych rezydencjach pańskich. Judym przyszedł do wniosku, że dla osuszenia Cisów trzeba przede wszystkim skasować ten wynalazek, później pierwszy staw, a dopiero drugi uczynić zbiornikiem poruszającym maszyny zakładowe. Należało tedy dźwignąć dno rzeczki do wysokości poziomu w niej wody i puścić strumyk po tym dnie twardo ubitym kamieniami. W tym celu trzeba było zbudować rodzaj tamy przed parkiem i podnieść wysokość wody w rzeczce płynącej wśród otwartej doliny, na dużej przestrzeni. Prąd podniesionej wody zlatywałby na twarde dno w parku, sączył się po nim bystro i spływał do pierwszego stawu. Tym sposobem liście z drzew nie gnęłyby

w wodzie basenu, roztopy wiosenne nie znosiłyby ich wraz z mułem do stawu, wskutek czego te zbiorniki wody nie byłyby tak szkodliwe.

Judym czuł przestrach na samą myśl wypowiedzenia tego projektu osobom zarządzającym sprawami Cisów, to jest dyrektorowi i „małpie”, a wykonać całej roboty na koszt M. Lesa również nie było możliwości. W tym czasie, to jest w lutym, przypadał właśnie termin wizyty w Cisach komisji rewizyjnej. Komisja, składająca się z trzech osób wybranych z grona wspólników, rzeczywiście zjeżdżała rokrocznie do zakładu, zwiedzała go, przerzucała księgi, jadła obiad i odjeżdżała do swych zatrudnień, gdyż wiadomą było rzeczą, że instytucja pod ręką Krzywosąda i Węglichowskiego idzie świetnie. Pewnego dnia, wchodząc do sali jadalnej, Judym spostrzegł trzech nie znanych sobie panów, którzy z ożywieniem rozmawiali o Cisach w sposób zdradzający ludzi świadomych rzeczy.

„Komisja...” — pomyślał Judym.

Dreszcz przebiegł wzdłuż jego nerwów i jakby na końcu swej drogi tajemniczej spotkał silną decyzję.

„Teraz im wszystko wyłożę!”

Przy obiedzie zawiązała się żywa rozmówka, w której Judym brał udział, ale więcej w celu zbadania przybyłych, wysondowania, co to za jedni. Niewiele mógł dociec. Raz mówili doskonale, bezwiednie popierając plany reform, a kiedy indziej zdradzali się z tak ordynarnym brakiem wiadomości, że ręce opadały. Dr Węglichowski zaprosił kontrolerów na radę do kancelarii, gdzie po drzemce mieli się zejść, przejrzeć księgi, rachunki, a między innymi nowe plany kwitariuszów zaproponowanych przez Judyma. Korzystając z grzeczności, których mu wobec rewizorów nie szczędził ani dyrektor, ani Krzywosąd, asystent wyraził Węglichowskiemu na uboczu prośbę, ażeby mu pozwolono być obecnym na tej radzie. Dr Węglichowski, skręcając według zwyczaju papierosa, wlepił w niego swe przenikające oczy i spytał otwarcie:

— Dlaczego kolega chcesz być na tym posiedzeniu?

— Chcę panom przedstawić mój projekt podniesienia zdrowotności w Cisach.

— Podniesienia zdrowotności w Cisach... Pięknie. Ale przecie my tu wszyscy myślimy, jak możemy, o tej samej sprawie. Twoje uwagi są cenne, ani wątpię, ale czyżbyś kolega miał powiedzieć jeszcze coś nadto więcej, niż wiemy wszyscy, na przykład taki Chobrzański, ci panowie z komisji, których słyszałeś mówiących ze znawstwem, no, wreszcie ja?

— Chciałem istotnie powiedzieć coś odmiennego. Może to jest niewłaściwa myśl... Panowie osądzą. Chciałbym jasno to wyłożyć i podać do rozważenia.

— Czy znajdujesz kolega — mówił Węglichowski powolnie i uśmiechając się leciuchno — że my źle coś w kierunku przeciwzdrowotnym broimy?

— Bynajmniej... To jest, ja się tak zapatruję, że wilgotność jest zbyt wielka w Cisach.

— Czy aby w niej znowu nie znajdziesz twojej sławnej malarii? Tej, co to w lecie?

Mówił to ze śmiechem niby dobrotliwym, toteż Judym nie mógł wytrzymać i powiedział:

— Zdaje się, niestety, że ominąć jej nikt nie potrafi.

Dr Węglichowski cmoknął ustami, później zaciągnął się mocno i patrząc zza dymu na swego asystenta rzekł:

— Widzisz, kochany panie Tomaszu, musimy postępować w myśl ustawy, która nie daje ci prawa uczestniczenia w naradach. Nie jesteś członkiem. Musimy się trzymać ustawy. Ten nasz brak poszanowania ustaw — to jest wada narodowa. Owo: co tam! prawo prawem, a przyjaźń przyjaźnią. Naszym hasłem...

— Panie dyrektorze...

— Przepraszam, że ci przerwę; naszym hasłem powinno być co innego... *Dura lex, sed lex*<sup>19</sup>...

— A... jeśli ustawa zabrania... — szepnął Judym — w takim razie...

---

<sup>19</sup>*dura lex, sed lex* (łac.) — twarde prawo, lecz prawo. [przypis redakcyjny]

Ta odmowa nie tyle zmartwiła go, ile jakoś zdegradowała. Judym w ogóle łatwo ulegał złudzeniu, że w samej rzeczy nie ma prawa do mnóstwa przywilejów, które są udziałem innych ludzi. Obecną w nim była pamięć na rzeczy dawne, na pochodzenie i owo jak gdyby bezprawne wejście do życia stanów wyższych.

Toteż po rozmowie z doktorem Węglichowskim doznał w głębi serca tego spodlenia dumy, tchórzostwa rozumnej woli. Odszedł do siebie, rzucił się na sofę i chciał zdławić uczucie nędznej pokory. W chwili gdy biedził się z tym bezowocnym usiłowaniem, zastukał we drzwi jego numeru stary kąpielowy, pełniący zimą w domu dyrektora obowiązki lokaja, i wyraził przysłane „na gębę” zaproszenie pani dyrektorowej. Judym wiedział, że będą tam kontrolerowie<sup>20</sup>, toteż z umysłu<sup>21</sup> wybadał starego Hipolita, kto właściwie to zaproszenie przysyła.

---

<sup>20</sup>*kontrolerowie* — dziś końcówka -owie w M lm przysługuje nazwom osób szacownych (profesorowie, senatorowie), w pozostałych zaś wypadkach stosuje się końcówkę -rzy (dyrektorzy, kontrolerzy). [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*z umysłu* — umyślnie, z rozmysłem. [przypis edytorski]

— Pana dyrektora nie było od rana na górze — rzekł stary.

— No, a kogóż tam dzisiaj będziecie podejmowali?

— Tych ta panów z Warszawy, trzech, pana administratora i pana rządcę ze dwora.

— Dobrze, przyjdę — rzekł Judym.

Wiedział teraz, że zaproszenie wydane zostało rano, a teraz pani Laura wprowadzała je w życie, nic nie wiedząc o utarczce poobiedniej.

Wieczorem, znalazłszy się w saloniku, przywitany został przez dyrektora w sposób jak tylko być może najuprzejmiejszy, otoczony grzeczną, miłą i jakby tkliwą atmosferą opieki.

Czuł, jak mu trudno będzie przełamać tę sieć pajęczą, a jednak wiedział, że ją zerwać musi, musi... Wspomnienie odczytu warszawskiego było tak dławiące, że chwilami nie zdawał sobie sprawy, o czym to ma mówić...

Jeszcze przed kolacją, kiedy zwyczajne kółko gości dopełniło trójcę przyjezdnych, Judym wmieszał się do rozmowy i zaczął w sposób kategoryczny wykladać teorię swego kanału. Dr



Węglichowski cierpliwie słuchał przez czas pewien, a naraz, we właściwej chwili odtrącił tę kwestię zręcznym aforyzmem. Wprowadził na stół inną kwestię, mianowicie kosztorys nowej willi dochodowej dla chorych niezamożnych.

Dyskusja zeszła na inne tory...

Judym wiedział, że wystawi się niemal na śmieszność, jeżeli znowu zanuci jak maniak swoją piosenkę o dźwiganiu dna rzeki, a jednak zaczął:

— Panowie pozwolą, że ja raz jeszcze wrócę do sprawy z rzeką.

— Ależ prosimy, prosimy... — rzekł dr Węglichowski.

Judym spojrzał na niego i zobaczył w tym wzroku błysk, który mógłby otruć człowieka.

Zaczął się wykład *ab ovo*<sup>22</sup>, dowodzenia szczegółowe o ruchu kropli wodnej i sile jej spadku z rzeki do stawu, o rodzaju mgły zalegającej łąkę w sąsiedztwie wód...

---

<sup>22</sup>*ab ovo* (łac.) — od początku, dosł.: od jajka; jajko stanowiło pierwszą potrawę na ucztach staroż. Rzymian. [przypis redakcyjny]

— Basenu niszczyć nie możemy — rzekł raptem Krzywosąd — gdyż na wiosnę w nim się utrzymuje nadmiar wody. Gdy przyjdą roztopy, wtedy pan doktor zobaczy, co to jest. Jeśli podnieść dno rzeki, to woda z brzegów wystąpi i zaleje park...

— Łąkę, nie park — rzekł Judym.

— Tak, łąkę, a na niej myśmy posadzili najpiękniejsze krzewy.

— To i cóż z tego? Cóż kogo mogą obchodzić pańskie krzewy?

— Jak to? — rzekł dr Węglichowski. — Ja koledze pokażę, ile te krzewy kosztowały! Posadziliśmy tam tuje, jesiony, najpiękniejsze sosny Weimutha, nawet platany, nic już nie mówiąc o tych ślicznych zagajnikach grabowych...

— Panie dyrektorze, co obchodzi chorego, który tu przyjeżdża po zdrowie, zagajnik, a nawet tuja? Tam jest błoto! Łąka nasiąknięta jest zgniłą wodą, która stoi w nieruchomym kanale. Ten kanał trzeba zaraz zniszczyć, a łąkę przerznąć kilkoma rowami. Osuszać, osuszać...

— Osuszać... — śmiał się Krzywosąd.

— Mnie się wydaje, że może pan doktor Judym ma rację — rzekł jeden z członków komisji. — Ktoś w rzeczy samej skarżył się przede mną na wilgoć w Cisach, na dziwne zimno, jakie tu panuje po zachodzie słońca. Na polach okolicznych, mówiła ta osoba, jeszcze ciepło, jeszcze żar idzie z ziemi, a nad stawami już tak chłodno, że kaszel drapie w gardle. Ja nie znam się na tym, ale skoro doktor Judym potwierdza... Nawet moja żona...

— Ach, z tymi młodymi lekarzami! — zawołał na pół żartobliwie doktor Węglichowski. — Zdaje im się, że gdzie oni postawią nogę, tam z pewnością leży Ameryka, którą, rozumie się, należy co tchu odkryć. Przecie ja tu, moi panowie, siedzę zimą i latem, znam ten zakład i życzę mu dobrze... Jak sądzicie, czy mu życzę dobrze? Otóż tedy — cóż mi zależy na tym, żeby istniał jakiś kanał, który wilgoć wytwarza... gdyby ją wytwarzał. Ale ja ręczę, że to są fikcje, szukanie w całym dziury. Kanał jest potrzebny tak samo jak most, jak staw, jak droga, więc go trzymamy. Okaze się, że jest szkodliwy —

to go zniesiemy, ale dla fantazji rozpoczynać jakieś prace i rzucać w to kilkaset rubli, pieniędzy nie naszych przecie, pieniędzy, które żadnego dochodu nie dadzą, które będą zmarnowane...

— Należy w takim razie zrobić tylko małą poprawkę w ogłoszeniach, w opisach Cisów. Nie należy twierdzić, że tu leczą, przypuśćmy, febry uparte, choroby dróg oddechowych, bo tego tutaj spodziewać się nikt nie może.

Dr Węglichowski chciał coś powiedzieć na to, ale się wstrzymał. Tylko szczęki jego kilka razy drgnęły. Po chwili dopiero rzekł lodowatym głosem:

— Ja także jestem lekarz... i mniej więcej wiem, co tu można leczyć, a czego nie. Zapewne... nie wiem tego tak dokładnie jak szanowny kolega doktor Judym, ale o tyle, o ile... Miałem tu wypadki malarii znakomicie wyleczonej, wypadki bardzo częste, więc nie widzę potrzeby nic wykreślać z opisów...

— Mnie się zdaje — zwrócił się do Judyma któryś z kontrolerów — że może pan cokol-

wieczek za krańcowo bierze tę sprawę. Przecież frekwencja gości stale się zwiększa.

— Frekwencja gości, proszę pana, niczego nie dowodzi. Jeden artykuł uczonego lekarza, udowadniający, że Cisy nie są zdrowe dla tych, od kogo się przecie bierze pieniądze za powietrze mające ich jakoby uleczyć, może całą sprawę obalić. Zakład może upaść w ciągu jednego roku. Ja także źle nie życzę temu kochanemu miejscu i dlatego to mówię.

— „Jeden artykuł uczonego lekarza...” uważasz? — mruknął z cicha dr Węglichowski do Krzywosąda, zwijając grubego papierosa.

— O cóż zresztą chodzi, o koszta?

— A tak, my wiemy! — zaśmiał się Krzywosąd. — Pan doktor znajdziesz sumę potrzebną na pokrycie wydatków... w kieszeni tego zagnanego Lesa. Ale czy to jest sprawa jak należy? Stary da, rozumie się, ale on nawet nie wie, na co daje...

— I czy to dobrze, czy to dobrze namawiać tego samotnego człowieka do wydatków tak wielkich? — mówiła pani Laura. — On jest

wprawdzie zamożny, ale nie milioner, nawet nie krociowy pan. Co zarobi, to rozda. Jeszcze tak być może, że na stare lata nie będzie miał gdzie głowy położyć.

— Tak, panie doktorze — mówił ów kontroler trzymający stronę Judyma — Leszczykowski za wiele na te rzeczy wydaje. My wprost na to zezwolić nie możemy. Rozumiem jakiś drobiazg, ale takie sprawy fundamentalne, to nie uchodzi.

Judym zawstydził się. Przyszła mu do głowy myśl, że w tej chwili Krzywosąd podejrzewa go o intencję skorzystania z sum, które by M. Les przysłał na podniesienie dna rzeki... Myśl ta była tak niespodziewana i tak ogromna, że przydusiła wszystkie inne.

Judym zamilkł i siadł na uboczu.

Tak obalił się projekt do prawa o przekształcenie zbiorników wody w parku Cisowskim. Po wyjeździe komisji wszystko szło dawnym trybem i na pozór w stosunkach nic się nie zmieniło. Dyrektor był dla Judyma uprzejmy,

Krzywosąd przesadzał się w grzecznościach. W głębi kryła się zimna nienawiść.

Judym upokorzony widział swój projekt w świetle jeszcze lepszym. Odrzucenie go wydało mu się i ruiną zdrowia kuracjuszków, i postępkiem przeciwspołecznym. Mała w istocie swej kwestia wyrosła w jego myślach do niebывałych rozmiarów i zakrywała inne sprawy, stokroć większej doniosłości. Tak gzems dachu chlewika stojący na prost okna, z którego patrzymy, zakrywa rozległy łańcuch gór dalekich.

Antagoniści: dyrektor, Krzywosąd, Listwa, plenipotent, spierali się właściwie nie o podniesienie dna rzeki. Każdy z nich załatwiał w tej sprawie jakiś rachunek z Judymem. Dyrektor obliczał się z nim za szpital, Krzywosąd za swe upokorzenia, Listwa za mącenie ciszy, która była jego rozkoszą życiową, plenipotent za projekty przeniesienia czworaków.

Przede wszystkim jednak wszystkich czterech złościła jego młodość. Gdyby o tym, co projektował Judym, którykolwiek z nich mruknął przy kartach, zyskałby, nie licząc krótkich

wyprysków starczego uporu, zgodę, rozumie się, z tym zastrzeżeniem, aby ten, kto ma piękne myśli, dokonał pracy. Skoro jednak wystąpił z tą samą kwestią człowiek młody, starcy czuli się tak dotknięci w swej ambicji, jakby ich sponiewierał. Toteż zamknęli się i postanowili bez umowy wzajemnej nie dać przewodzić takiemu „smykowi”. Osobliwie mocno wziął się dyrektor.

Prócz młodości drażnił go w Judymie ten sam zawód lekarski. Nie zdając sobie z tego sprawy, stary medyk nie uznawał Judyma za równego sobie lekarza i kiedy ten przemawiał albo uśmiechał się w imię „medycyny”, dyrektor siłą woli trzymał za zębami krótkie obelżywe nazwisko. Cóż mówić, gdy młody wydarł się spod wpływu i samopas działał.

Nie ma takiego środka, który by w imaginacji dra Węglichowskiego nie przesunął się i nie mamił go nadzieją rychłej i absolutnej satysfakcji. Żaden jednak nie okazywał się dosyć i chwalebnie skutecznym. Usunąć entuzjastę dla jakiegoś powodu, który ustami plotki



można by rozdać do miary występku. Tuż jednak nasuwała się refleksja, że wówczas trzeba by samemu prowadzić szpital, i to w taki sposób, jak to czynił tamten. W przeciwnym razie sława Judyma wzrosłaby u tłumu do wysokości niebywalej i wprost szkodliwej... Zmusić go szykanami, szeregiem drobnych ukłuc, upokorzeń, drażnień, ośmieszeń do ucieczki dobrowolnej... Ale czy wówczas ten szewski synek nie zemści się w swój sposób „naukowy”, czy nie przyczepi Cisom w jakimś piśmidle takiej łaty, że jej później sam diabeł nie odpruje? Dr Węglichowski przeklinał dzień, w którym zwrócił się do Judyma z propozycją objęcia posady. W pasji targał sieć, którą się dobrowolnie oplatał. W tej sieci bowiem były pewne okaszczególne. Doktor Węglichowski szedł w życiu dotychczasowym drogą prostą, zawsze, jak to lubił mówić o sobie, „rznął prawdę, a o resztę nie pytał”. Nigdy nie trudnił się matactwem, podstępem, nie walczył z żadną istotą ludzką ukrytym dla jej oka puginałem. Ludzie znali go wszędzie jako człowieka „zacności”. Sam

nawykł nie tylko do tego przydomka, ale i do tego rysu swego charakteru, jak się przywyka do swego futra albo laski — aż oto, po raz pierwszy w życiu, dla walki z tym „młodym” macał w ciemności i szukał w sobie czegoś nieznanego, jakiejś innej broni. Judym czuł to wewnętrznie i dlatego chciał ich wszystkich zwalczyć tym goręcej, że bez reform zdrowotnych, które zaczynały się od wzniesienia dna rzeki, jak sztuka czytania od abecadła, nie warto było w Cisach pracować. Toteż w zupełnej ciszy i wśród grzecznych ukłonów, wspólnego picia herbaty wraz z czytaniem gazet kipiała walka ukryta.

W pierwszych dniach marca po tęgich mrozach, trzymających świat w ciągu całego prawie lutego w żelaznych pazurach, nastąpiła odwilż.

Śniegi raptownie spłynęły i ziemia do gruntu odmarzła. Rzeka w parku wezbrała, zniosła sztuczną tamę nad pierwszym stawem i wystąpiła z jego brzegów. Judym stał nad tą zamulo-

ną wodą, gdy waliła się głębokim nurtem, i patrzył na potwierdzenie swych wywodów.

Było ciepło, jasno, po wiosennemu. Zadumany, nie dostrzegł, kiedy zbliżyli się do niego Krzywosąd i dyrektor.

— A co? — rzekł administrator — co by teraz było, panie doktorze, gdyby tu nie było kanału. Którędy szłaby ta wszystka woda?

— Raczej zapytaj pan, gdzie się podziewają fury zgniłych liści z kanału. Idą w tej chwili do stawu, żeby wydzielać ze siebie „powietrze”, za które pan każesz płacić ludziom z daleka przyjeżdżającym.

— Znacie tę bajeczkę — więc posłuchajcie...<sup>23</sup> — śmiał się dyrektor klepiąc Judyma po ramieniu.

— Piorunujemy w gazetach na publiczność owczym pędem dążącą za granicę, do tak zwanych *badów*<sup>24</sup>. Jakież to *bad* zniósłby podobne rzeczy?

---

<sup>23</sup>Znacie tę bajeczkę — więc posłuchajcie... — aluzja do „powiedzonka” z komedii Aleksandra Fredry *Pan Jowialski*. [przypis redakcyjny]

<sup>24</sup>*bad* (z niem.: *Bad*) — miejscowość kąpielowa, uzdrowisko. [przypis redakcyjny]

— Kochany panie...

— Nie, nie, ja się nie zapominam! Ani trochę! Ja mówię o samej rzeczy, kiedy panowie tego chcecie. Wpuśćmy tu Niemca, i patrzmy, co by on zrobił. Co wpierw urządzi: wspaniały salon do tańca czy szlamowanie stawu?

— No, chodźmy, Krzywosąd, chodźmy...

— rzekł dyrektor — mamy jeszcze niejedno na głowie...

**„TA ŁZA, CO Z OCZU TWOICH  
SPŁYWA...”<sup>25</sup>**

Kilkaset rubli złożone przez doktora Tomasza umożliwiły jego bratu wyjazd za granicę. Parę dni Wiktor spędził w domu wśród płaczu i perswazji rodzinnych. Kiedy wszakże nadeszła chwila odpowiednia, ruszył w świat.

Był to wczesny ranek w lutym. Jednokonna dorożka z woźnicą znużonym i zagrzebanym

---

<sup>25</sup>*Ta łza, co z oczu twoich spływa...* — początkowe słowa wiersza Adama Asnyka. Sens ukrytej w tytule aluzji wyjaśniają dalsze słowa pierwszej zwrotki, która brzmi: „Ta łza, co z oczu twoich spływa, / Jak ogień pali moją duszę; / I wciąż mnie dręczy myśl straszliwa, / Że cię w nieszczęściu rzucić muszę...” [przypis redakcyjny]

w kozuch wlokła się ulicami. W cieniu nastawionej budy siedział Wiktor z żoną. W nogach mieściły się dzieci, którym ta ostentacyjna jazda sprawiała niewymowną uciechę. Chudy, zbiedzony koń-wyrobnik ślizgał się na obmarzłych kamieniach, utykał, gdy zerwane nogi trafiały w jamy zadęte przez zaspę śniegowe i włókł przekleństwo swego żywota, budę na kołach, ulicą Żelazną w kierunku wolskich rogatek. Z przecznicy, od Wisły, dął wicher i z furią miotał się na wszystko. Bił w nozdrza i w pyski, rozwarte przez wędzidla, strudzone konie pociągowe, które z całej siły, wszystkimi mięśniami wlokły po barbarzyńskim bruku wielkie fury frachtowe. Ciął w oczy biednych ludzi, od świtu dnia pędzących dokądś po kawałeczek nędznego chleba. Szarpał na wszystkie strony małą, zabłąkaną psinę, która przytulała się do zimnych schodów. Usiłował wyrwać haki i zatrzaskać drzwi prowadzące do sklepów. Zdawało się, że w pewnych sekundach doznaje szalonej wściekłości na widok szyldów, że cisną się, chwyta zębami ogromne litery, targa je

we wszystkie strony, jakby zamierzał strząsnąć z nich na ziemię głupie napisy. Skoro w swej drodze dalekiej spotykał wysokie kamienice, wdzierał się na ich dachy i stamtąd wydymał zasyпы śniegu w brudne ulice. Cieniutkie włókienka przecinały widownię jakoby żywe, ruchome sieci pajęczce. Lotne płatki snuły się tak szybko i tak ciągle w jednym kierunku, że zostawiały w oczach wrażenie długich nici. Zdało się, że początki ich snują się, niby z kądzieli, z zasyпы pod rudym parkanem, w oczach rosnącej, a przeciwległe końce zwijają na druty telefonowe<sup>26</sup>, krążą mechanicznie dokoła słupów z poprzecznymi ramionami i lecą w maszynowym pędzie dokądś nad rynny.

W sieci tej uwikłany miota się na rogu ulicznej poślaniec. Skacze i tupie, uderza nogą o nogę, rozciera sobie ręce i biega na małym dystansie tam i z powrotem, tam i z powrotem. Gdy zwrócił się twarzą ku północnej stronie, wichur czyhający za węglem rzuca się nań jak tygrys, wszczepia w niego pazury i oddech wtła-

---

<sup>26</sup>telefonowe — dziś popr.: telefoniczne. [przypis edytorski]

cza do gardła. Wówczas ten mały, zgarbiony człeczyna odwraca się i drepce w miejscu, a wichher bije go w plecy i pcha przed sobą, podwiewając szarą sukmanę. Są chwile, kiedy posłaniec przyczaja się przed wichrem, wtula się w zagłębienie muru i stoi tam bez ruchu, jakby bez życia...

Tam dalej idzie szerokimi krokami ogromny Żyd-furman z biczyskiem w ręku. Głowę ma obwiązaną jakimś dużym, czerwonym gałganem, na sobie ze trzy opończe, nogi w buciorach z wojłoku. Twarz jego, zarośnięta, krwawa, schłostana przez wiatry, góruje wśród tłumu, przekrwione oczy patrzą jak wichher spod brwi zsuniętych. Ten człowiek z pola, człowiek należący do drogi jak słup wiorstowy albo bariera mostu, przygotowany do obcowania z burzą, ze śniegiem i mrozem, zaciekawia do żywego Karolę i Franka. Zapominają o świecie i, gdy dorożka daleko już odlazła, widzą go jeszcze i pokazują sobie nawzajem palcami. Na Srebrnej i Towarowej, gdzie wskutek ścisku fur dorożka idzie wolno, noga za nogą, i huśta się

w wybojach jak łódka, dzieciom aż oczy wyłażą z ciekawości. Oto wozy frachtowe trzeszczące pod ciężarem pak z towarem, czarne fury naładowane węglem, inne lodem, cegłą, drzewem. Obok nich idą woźnice zadęci śniegiem, z osędziałymi brodami na czerwonych twarzach, i wrzeszcząc poganiają zwierzęta. Spomiędzy brudnych kamienic wyrywają się tu i ówdzie dzikie kształty murów fabrycznych, nawet wśród takiej zamieci nie tracące swej barwy czarnej, jakby wieczną śniedzią okrytej. Dachy o formie spiczastych schodów, zza których szklą się ciemne, stalowe szyby, nie po to wprawione, żeby przez nie na świat boży oczy ludzkie patrzyły... Wśród duszących murów uderzają te szyby blaskiem nie swoim, obcym ich naturze, niby oczy kota pod światło widziane. Gdzie indziej wyrywa się w niebo wielki komin z cegły albo czernieje żelazny, przymocowany drutami, i rzuca olbrzymie kłęby burego dymu na mury sąsiednich domów i w okna ich mieszkań. Konwulsyjne ruchy budy spychały jadącym na brwi kapelusze i zasłaniały oczy. Wiktor siedział bez ruchu.



Spod obwisłej linii ronda patrzył na przesuwa-  
jący się obraz. Kiedy niekiedy z oczu jego wy-  
taczała się łza i przez nikogo nie dostrzeżona  
biegła po wynędzniałej twarzy.

Gdy minęli roгатkę, wrzawa ustała. Oto-  
czyły ich parkany, pustki, sady, rozległe dzie-  
dzińce zavalone węglem, wapnem, deskami.  
Gdzieś tam nawijał się przed oczy samot-  
ny, chudy dom, jakby wydmuchnięty z czer-  
wonego piasku. Drzwi jego piętra wychodziły  
w szczerze pole, a nie znajdując przed sobą bal-  
konu, dokąd miały prowadzić, tylko dwie rude  
szyny sterczące w murze, zdawały się żywić za-  
miar wyrwania się z zawias i rzucenia w prze-  
paść. Wkrótce i te ostatnie siedziby znikły i za  
jakimś parkanem odchyliło się pole, dziedzina  
wichru. Daleko zostało miasto rysujące się ni-  
skłymi liniami jak symbol czegoś niejasny, a pe-  
łen boleści i takiego żalu, takiego żalu...

Do budy wdzierał się teraz tęgi, zimny wi-  
cher.

W drzewach przydrożnych huczał złowrogo, czasem między orczykami, jakby u tylnych kopyt szkapy, gwizdał przeraźliwie.

Cała rodzina przytuliła się do siebie. Judykowa niby to instynktownie pod wpływem zimna cisnęła kolanami nogi męża. On siedział sztywny, ręce wsunął w rękawy i patrzył przed siebie. Myślami był już daleko, w podróży. Badał swoją nieznaną, przyszłą drogę za pomocą błędnych przeczuć. Skądś, z dalekich, Bóg wie kiedy odebranych wrażeń, z napomknień słyszanych wytwarzał sobie dziwne narzędzie poznania niewiadomej doli. Wzrok jego błędził po śniegach przydrożnych, tak dziwnych jak wypadki, jak myśli, jak wszystko. Oto kształty zasp dziewiczych, bez żadnej formy, niezgodne z niczym, przeładowane jakimiś szczególnymi efektami, jakby ornamentem w rodzaju barokowym. To jakby liście powykęcane, krzywe, pełne zgięć do wnętrza, niby to przypominające naturę, ale od form jej prawdziwych dalekie; liście nie istniejące, liście wielkie a niepełne; to

znowu jakby strzały tytaniczne, którymi można by przebić kościół świętokrzyski<sup>27</sup>.

Tu ciągnęły się jakieś chwilowe wzgórza, co zalecały się oku łagodnym kształtem swoim, gdzie indziej ohydne jamy, przypominające najgorszą a niewiadomą i ciemną boleść życia, a przypominające tak żywo, niby krzyk prze-  
rażliwy...

Świat z prawej i lewej strony zasłonięty był burą czarniawą<sup>28</sup>, z której łona wicher wydymał i niósł nad ziemią śniegi lotne.

Okolo południa dorożka przybyła wreszcie na miejsce i zatrzymała się przed samotnym budynkiem w szczerzej pustce, którą łączył ze światem plant kolejowy. Na dole był sklepik z jaskrawym szyldem. W głębi mieścił się lokal rodziny żydowskiej, której liczni przedstawiciele ukazali się we drzwiach, gdy dorożka obok nich stanęła. Dzieci, skostniałe prawie od zimna, wytrzeszczonymi oczyma przypatry-

---

<sup>27</sup>kościół świętokrzyski — kościół Świętego Krzyża w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście, należący do największych kościołów w stolicy. [przypis redakcyjny]

<sup>28</sup>czarniawa — tu: chmura burzowa. [przypis redakcyjny]

wały się tej „kamienicy”, zbudowanej z belek na pół zmurszałych, zapewne po spadłej z etatu karczmie lub stodole, a umalowanej na kolor cielisty z czerwonymi ornamentami około drzwi i okien. Wiktor wysiadł i poprosił jedną z osób przypatrujących się, czy nie można by dla rozgrzewki dostać kieliszka monopolu. Zaraz wyniesiono przed dom butelkę i cała rodzina wychyliła po kieliszku. Dryndziarz zmuszony był przełknąć dwa, gdyż po pierwszym całkiem nie mógł dojść istotnego smaku.

We mgle widać było jakieś szare zarysy. Żyd-kowie objaśnili, że to właśnie jest dworzec kolejowy. Pociąg idący w stronę Sosnowca<sup>29</sup> miał ukazać się za jakie trzy kwadransy. Judym musiał się spieszyć. Familia miała go odprowadzić jeszcze kawałek drogi, a nie dochodząc miasteczka cofnąć się, wsiąść w czekającą dryndę i wrócić do Warszawy.

Szli tedy wszyscy prędko, prędko, brzegiem plantu, po zmarzniętej grudzie ścieżki. Wiktor

---

<sup>29</sup>w stronę Sosnowca — w okresie zaborów na trasie kolei warszawsko-wiedeńskiej Sosnowiec był stacją graniczną w Królestwie Polskim. [przypis redakcyjny]

biegł przodem. Zdawało mu się, że już późno, że pociąg idzie... Wtedy biegł szybko...

Oni pospieszali za nim, naśladowując jego ruchy. Czasami znowu zwalniał kroku i mówił jeszcze urywanymi zdaniem, radził żonie zrobić to i tamto... Ona chciała jeszcze poruszyć tysiące rzeczy, miała nadzieję, że go co może zatrzyma, choćby na dzień, na parę godzin. Myśli w jej głowie splątały się i tak jak te płatki śniegu snuły po mózgu. Czowała w ustach, w gardle, wewnątrz siebie palący smak wódki i jakieś odurzenie zmysłów. Było jej wszystko jedno, a razem taki żal! Serce ścisnęło się, jakby je cienka nić przewięzała i rznęła. Ale nade wszystkim stała nierozumna pewność, że cokolwiek kto kiedy zrobił na świecie i w jakimkolwiek celu, to ona jedna jedyna musi dźwigać ciężar tego wszystkiego. Musi wyżywić te dzieci. On, Wiktor, odchodzi. To nie ma gadania, musi... Och, jak pali ta wódka! Taki dym w głowie, taki głupi dym... Trzeba przecie rozumieć, co i dlaczego. Skoro urodziła dzieci, to je musi nieść na sobie. Jak to zwierzę, jak to

zwierzę. Wiadoma rzecz. Ojciec może odejść, a ona nie. Ona matka. To się nazywa tak — matka. Rozumie się, że on musi iść, jeszcze jak się to rozumie! Pod sercem leży to rozumienie niby dziecko poczęte, jak rana leży otwarte, w którą się wieczny piasek sypie. We wnętrzu piersi leży zgoda na to odejście.

O kilkaset kroków przed pierwszymi domami miejsciny Wiktor zatrzymał się i rzekł, jako trzeba się już pożegnać... Głos jego drgnął.

Po obydwu stronach twardej i szerokiej szosy, na którą weszli, czerniały rokiciny. Ciemnobrunatne, śliskie, okrągłe pręty ich gałązek tłukły się o drewna mocnej bariery pomalowanej czarną farbą. Był to okrutny, przejmujący głos. Wiatr ciął dołem, pod barierami, i zmiatał z drogi cienkie fałdy śniegowe, odsłaniając lód ciemny i grzebienie grudy startej przez koła wozów.

— Wiktor — jęknęła Judymowa — nie rzucisz mię? Bój się ty Boga, Wiktor...

— Masz ci... teraz...

— Bo jakbyś mię *puścił kantem!*

— No i teraz pora na takie rzeczy... Kolej idzie! Trza przecie mieć rozum.

— Żebyś wiedział, że te dzieci, to przecie twoje... Wiktor, Wiktor... — łkała cichym, bojaźliwym, umierającym głosem.

— Ale napiszę, jak tylko pierwszą robotę dostanę. I pierwszy pieniądz to samo przyślę. Cóż ty myślisz...

Prędko ją objął, uścisnął. Później dzieci.

Nim się obejrzel, odszedł drogą. Wlekli się za nim, ale machnął ręką raz i drugi, nakazując im powrót. Z dala jeszcze raz krzyknął, żeby wracali, bo dryndziarz zniecierpliwi się i odjedzie. Stanęli tedy w miejscu i patrzeli na jego postać. Widać było palto odsiedziane, spodnie z nędznego kortu, wypchnięte na kolanach, szerokie, nie zakrywające cholewek kamazków, kapelusz zrudziały, płaski „melon”. Tylko twarz już im zginęła.

Judymowa rzekła do dzieci wśród łkania:

— Widzicie, to ojciec tam idzie... To ojciec... tam...

Franka nie zdziwiła ani trochę ta wiadomość. Stał sobie najspokojniej i dłubał palcem w nosie.

Postać Judyma coraz słabiej czerniała wśród lecącego śniegu, wreszcie raptem zsunęła się za pochyłość gruntu i znikła z oczu.

Wtedy Judymowa chwyciła Karolę za rękę i biegła z powrotem, żeby jak najmniej tracić czasu, za który płaciło się dorożkarzowi. Jęła przywoływać Franka, który z niekłamaną satysfakcją puszczał na szosę bryłki zmarzniętej grudy...

## O ŚWICIE

Bardzo rano doktor Judym wybrał się na rewizję swoich zdechłaków we wsiach okolicznych. Miało to miejsce w pierwszych dniach kwietnia. Jeszcze łąki były mokre, role ciemne, na gościńcach kisły głębokie bajora. Powiększał je drobny, nieustanny deszczyk, siejący mgłę ruchomą, lecącą z głębi płynnych, wolnych westchnień wietrzyka. Można było,



skacząc tu i ówdzie przez rowy, czepiając się pleciaków<sup>30</sup>, iść bez zamoczenia choćby i kilka wiorst drogi.

Doktor miał na sobie ciepłą kurtę, a na nogach grube buty z cholewami. Szedł tonąc w srogich myślach i wygwizdując pewną znaną arię z takim fałszowaniem głównego motywu, jakie Europejczycy mogli ujść na sucho tylko w okolicach Cisów, i to w szczerym polu. Droga ciągnęła się brzegiem lasu, po gruncie pagórkowatym i urwistym. To zapadła w wąwóz, to pięła się na wzgórze, to znowu jak prosty szew odcinała pole rozesłane na placu wykarczowanym w lesie. W nizinach o gruncie bardzo wilgotnym leżały już jasne murawy, budzące wspomnienie precudownego rumieńca życia na obliczu człowieka, który był w ciężkiej chorobie śmierci bliski. W działkach włościańskich stała jeszcze mokra martwota. Doktor pospieszał, żeby wejść na punkt wyższy, panujący nad okolicą, a to w celu zobaczenia tarczy

---

<sup>30</sup>*pleciaki* — zapewne chodzi o plecione (np. z wikliny) płoty. [przypis edytorski]

słonecznej, która jeszcze nie wychyliła się zza przeciwległej góry, choć już płynęła nad ziemią.

W lesie, którego brzegiem postępował, chwiała się wilgoć wiosenna. Mchy wiszące na sękach świerków jak siwe, obmarzłe futra zimowe były mokre i co chwila kapały z nich ciemne krople. Tylko one sprawiały ruch między uśpionymi drzewami. Zdawało się, że to z nich wydziela się ostry, wilgotny, leśny zapach. Tu i ówdzie na pniach wisiały obdarte płaty kory, które wiosna niby brzydkie łachmany syciła wodą i wolno ściągała ku ziemi. Głębie przeźrebionego lasu zalegała jeszcze mokra ciemność, w której miętosił się opar leśny. Pnie osiczyzny były jakies żółtawe. Graby od deszczu lśniły się i czerniały jak stal. Na jasnej podszczytowej korze sosen tworzyły się zacieki niby rysunki dziwnego kształtu, kontury jakichś rzeczy, sylwetki szczególnych twarzy... Między obmokłymi pniami i gęstwiną gałęzi zwisających pod ciężarem dżdżu przywabiała oczy, niby senna mara nie dająca się żadnym sposobem

odegnać, to brzózka schylona, to młoda osika mnóstwem świeżych pąków obrzucona jakby rozzarzonymi węglami. W człowieku się coś cieszyło na widok tych drzewek i coś je pozdrowiało z głęboką czułością.

Doktor Judym czuł nawet, że w tym jest może trochę jakiego sentymentalizmu albo tam czego jeszcze gorszego, ale nie mógł na to poradzić.

„Pewno, że tego sentymentu — myślał — nie można ani krajać mikrotomem<sup>31</sup> ani zgoła obejrzeć pod mikroskopem, ale cóż z tego, kiedy sentyment istnieje i jest takim samym faktem spełnionym jak najlepiej opisany bakcyl”.

Zajęty tak pierwotnymi myślami wszedł między drzewa, usiadł na starym pniaku i czekał. Ciemne chmury tworzyły jakby włók szeroki, który ciągnął się od jednego do drugiego krańca widnokręgu i zwisał długimi matniami. Każde ich oko wytrząsało deszcz sypki, ciepły,

---

<sup>31</sup>*mikrotom* — aparat do krajania bardzo cienkich skrawków tkanek roślinnych czy zwierzęcych, które bada się pod mikroskopem. [przypis redakcyjny]

lecający jakoby puch. W głębi zostawał czysty przestwór, rozkoszna, seledynowa toń, w którą wcielała się purpura zorzy rannej. U samego brzegu dalekiego horyzontu pokazały się białe i rumiane obłoczki, budzące widokiem swoim dziwne wzruszenie, niby otwarte, prześliczne oczy kobiece, gdy marzą. Było cicho, tak cicho, że dawało się słyszeć siąpienie cichego dżdżu w kałużach dziobatych od padających kropelek. Po ziemi sączyły się wszędy małe strumyki, jak dzieci pełne wesela, które nie wiedzą, z jakiej przyczyny i dokąd z radością w podskokach lecą.

W tej ciszy ucho doktora uderzył szorstki odgłos turkotu wozu. Wkrótce na szczycie góry ukazały się konie okryte tumanem pary i bryczka. Konie były zdrożone, zachlastane tak błotem, że z gniadych stały się szarymi, bryczka unurzana w bagnie, a nawet furman i figura zajmująca siedzenie — dźwigali ślady długotrwałej podróży.

Judym wpatrzył się pilnie w rysy damy siedzącej na bryczce i poznał „osobę” z pałacu, pannę Joannę.

Miała na sobie francuski jasnozielony płaszcz z kapiszonem. Ten kapiszon wciągnęła na głowę dla ochrony jej przed deszczem. Zdawała się drzemać.

Doktor żywo zaciekawiony, skąd może wracać panna Podborska o tej godzinie i drogą nie prowadzącą w stronę świata, półwiedząc, w jakim celu to czyni, wstał ze swego pniaka i szedł brzegiem gościńca naprzeciwko wolanta. Gdy był od niego w odległości kilku kroków, panną Joanna dźwignęła głowę i spostrzegła go. Na twarzy jej odmalował się wyraz pomieszania, a nawet jakby przestachu. W pierwszej chwili pociągnęła kaptur na oczy, później odwróciła głowę... Doktor pozdrowił ją ukłonem i z pytającym uśmiechem na ustach stanął przy bryczce.

— Cóż to za eskapada, panno Joanno? Skąd pani wraca?

— Jak pan widzi... Z podróży.

— Widzę, widzę nawet, że podróż musiała być daleka.

Furman zatrzymał konie. Przez chwilę panna Joanna skubała w zakłopotaniu brzeg okrywki. Na jej „niemożliwie”, jak mówiono, prawdomównej twarzy malowało się usiłowanie zatajenia czegoś. Rumieniec rozpalał się na policzkach. Rzekła cicho:

— Jeździłam do spowiedzi... do Woli Zamckiej.

— Aż do Woli? I dlaczegoż nocą? Niechże pani drugi raz tego nie robi. Któż widział?... Deszcz pada, chłód w nocy, pani cała zmoknięta. Proszę mi darować, że wchodzę nieproszonej ze swą interwencją, ale jako lekarz uważam sobie za obowiązek zrobić tę uwagę.

Tymczasem robił ją z pobudek bynajmniej nie lekarskich. Serce mu biło w piersiach. Ta twarz ze spuszczonej oczami w głębi zielonego kaptura, przepyszne, rozrzucone włosy, wysuwające się na czoło, a szczególnie oczy, oczy i płomień rumieńca... Było to jakby urok dziwnego lasu, jakby się łączyło ze słońcem,

które zza mgieł wypływało nad cichą, senną leśną głuszą. Judym stał bezradnie przy stopniach bryczki i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w płochliwe rysy.

— E, proszę łaski panienki, cóż ta ukrywać przed panem, przed doktorem... — rzekł znie-nacka furman odwracając się bokiem. — My nie do spowiedzi, proszę pana doktora, jeździli z panienką.

— Felek! — krzyknęła panna Podborska.

— Jeżeli sobie pani nie życzy... — rzekł Judym uchylając kapelusza. — Nie chciałbym zrobić najmniejszej przykrości.

— No, przecie się ta rzecz nie ukryje, choćby my na głowie stanęli. Już i tak ludzie mielią jęzorami... — prawił Felek.

— Cóż takiego?

— My jeździli, proszę pana doktora, szukać jaśnie panienki, panny Natalii.

— Jak to szukać? — szepnął Judym ze zdumieniem. — Jak to szukać?

Zamiast odpowiedzi panna Joanna zerwała się szybko i wysiadła z bryczki. Twarz jej by-

ła udręczona. Całe ciało trzęsło się jak w febrze. Dała Judymowi znać oczyma, że chce mu całą prawdę powiedzieć, ale nie wobec furmana. Odeszli kilka kroków drogą w górę. Felek zrozumiał swą rolę i wstrząsnął z lekka lejcami. Konie ruszyły i noga za nogą, wolniuteńko zstępowały ze wzgórza. Stukanie kół bryczki o korzenie sosen i świerków przerzynających drogę zagłuszało rozmowę.

— Natałka — mówiła panna Joanna — odjechała z domu bez wiedzy babki.

— Czy sama?

— Nie.

— Z panem Karbowskim?

— Tak... z panem, z panem... Karbowskim.

Mówiła otulając się zarzutką, jakby ją przejmowało dręczące zimno:

— Biedna babunia... Tak strasznie nad tym cierpi. Poszła zaraz na grób pana Januarego i leżała w kaplicy krzyżem. Nie wiedzieliśmy... nie wiedzieliśmy, gdzie jest. Taki popłoch!

— No, a skądże wiadomo?



— Pan Worszewicz powziął skądś wiadomość jeszcze wczoraj, że Natalka odjechała do Woli Zameckiej. Nie mogę zrozumieć, skąd to mógł wiedzieć. To taki bystry człowiek... Domyślił się, że wezmą ślub w tym właśnie kościele, w Woli. Jest tam ksiądz, jakiś, podobno, niesympatyczny. I rzeczywiście... Zgodził się dać ślub. Widać na tej podstawie babunia wysłała mię wczoraj na noc. Pojechałam niezwłocznie. Pędziliśmy co koń skoczy, ale wszystko na nic. Istotnie tam ślub wzięli. Gdym przyjechała, już było po wszystkim: wyjechali. Kazali powiedzieć, gdyby się ktoś dopytywał, że jadą wprost za granicę.

— Proszę pani, to było... Może było do przewidzenia, nie to właśnie, ale coś w tym rodzaju.

— Ach, panie doktorze! Cóż za rola moja w tej całej sprawie.

— Rola pani?

— Byłam jej nauczycielką, mentorką, niby powiernicą. Ja domyślałam się, ja nawet wiedziałam o tej miłości. Nie cierpiałam tego pana

i widać dlatego sądziłam, że cały afekt minie. Teraz każdy może powiedzieć, że to zapewne mój wpływ. Każdy może to powiedzieć i, niestety, będzie nawet miał słuszność. Ja często rozmawiałam z Natalką o tym, że są w małżeństwie bez miłości rzeczy potworne, które mnie przejmują wzgardą, że nie powinna, że nie powinna nigdy w życiu... Któż mógł przewidzieć, że ona tak to zrozumie!

— Niech się pani uspokoi. Na pannę Natalię tego rodzaju dyskusje małe wywarły wrażenie. To była natura samodzielna, śmiała, bezwzględna.

— O, tak, bezwzględna. W liście do babki, który wiozę, zaznaczyła wyraźnie, że majątek swój złożony w banku, majątek swój osobisty, odziedziczony po matce, podniesie w całości, gdyż jako pełnoletnia ma do tego prawo. Tak napisała do tej babuni... „Jako pełnoletnia”...

— Czy to duży majątek?

— Podobno bardzo znaczny.

— Będzie miał pan Karbowski przez czas pewien co puszczać.

Panna Joanna stanęła, jakby sobie coś przypomniała. Rzuciła na Judyma oczami pełnymi blasku i jakby chytryści.

— Ale ja mówię to wszystko i ani mi na myśl nie przyjdzie, jaką to panu musi sprawiać przykrość...

— Mnie? przykrość?

— Ach, przecież... Przecież to i pan kochał się w Natalce... Przepraszam pana bardzo...

— Ja? — rzekł Judym — ja się kochałem?

— Niech mi pan wierzy, że nie przez złość mówiłam to wszystko!

— Próżno by mię pani żałowała, bo nie czuję się wcale zmartwiony. Daję pani na to słowo uczciwego człowieka, że nie kocham się w pannie Natalii. Nie, nie! — zawołał z radością w głosie i oczach — nie kocham się w niej wcale!

To przeczące wyznanie było niby ostatni dźwięk rozmowy. Do dna ją wyczerpało.

Szli jeszcze obok siebie kilkadziesiąt kroków w milczeniu, po prostu nie będąc w moż-

ności mówić więcej. Panna Joanna przyspieszyła kroku i rzekła:

— Muszę już jechać.

Judym odprowadził ją do bryczki.

Gdy mu podawała rękę, miała na twarzy wyraz jakiejś bolesnej trwogi, niby człowiek, który siłą przeczuć coś dostrzega, czego zmysły objąć jeszcze nie mogą. Judym patrzył na nią szerokimi oczyma. Gdy jej pomagał wskoczyć na stopień bryczki, która zatrzymała się wśród błotnistej drogi, i uczył ciało jej przy sobie, prawie w objęciach, miał jakieś cudne złudzenie.

Któż by uwierzył, że to ta sama, ona, że to zapach jej włosów? Widział w niej dotąd siostrę-człowieka, rozum i serce, istotę ze swej dziedziny, z tego kręgu, gdzie o jedno nic, wysokie a niezrozumiałe dla motłochu egoistów, kłopotą się bez wytchnienia i trudzą z radością braterskie duchy. I oto szalał ze szczęścia: ona nie tylko taka! Iście czartowskie marzenie jak wąż ślizgało się po jego piersiach. Tak z nim

było, jakby kolor jej włosów, jakby ich nikły zapach na wieki stał się jego własnością.

Jakaś bolesna troska i niewysłowiona czułość przystąpiła do serca, jakaś omglona litość niby kwiaty pachnąca. Było to obce duchowi i budziło swym przyjściem podziw i zadumanie.

Bryczka oddaliła się i znikła na zakręcie.

Judym wtedy uczuł, jak serce jego ściska się i drży. Stał na brzegu lasu i wyrzucał sobie z okrucieństwem, czemu nie rozmawiał dłużej.

Tyle jeszcze trzeba było powiedzieć, tyle rzeczy niezmiernie ważnych! Każde ze słów, które teraz z mroku się wysuwały, miało przedwieczny swój byt, swój jakiś własny kształt, swój sens i miejsce, treść i logiczne znaczenie, jak ton w symfonii niezbędny, konieczny, doskonale umieszczony. W każdym z nich były zamknięte całe obszary, całe jakby okolice wiosenne, gdzie mokre pola wonieją i wysokie drzewa szeleszczą.

Leniwym krokiem włókł się w swoją stronę, ku wsi stojącej na drugiej stronie doliny.

Gdy był u szczytu wzgórza, słońce wydzierało się z chmur nad odległymi lasami. Dusza Judy-  
ma szła ku temu światłu jak olbrzym, którego  
barki dosięgają nieba.

Zatrzymał się na dawnym miejscu i wśród  
błotnistej drogi ujrzał ślady małych trzewików  
panny Joasi. Wzrok jego padał na te forem-  
ne wyżłobienia w piasku i w zachwycającej wi-  
zji oglądał stopy, które tych miejsc dotknęły.  
Widział ciało wysmukłe, subtelnie piękne, bu-  
dzące nieopisaną rozkosz, które się nad nimi  
przemknęło.

Zamknawszy oczy patrzył w głębinę swej  
duszy.

W tej chwili schyliła się ku niemu cicha  
wiedza, wesoły szept męczącej zagadki, rozstrzy-  
gnięcie trudnego pytania, proste jak czysta praw-  
da. Powitał je radosnym śmiechem:

„Ależ tak! Rozumie się! Przecie to jest moja  
żona”.

## W DRODZE

Na początku czerwca Judymowa dostała list od męża ze Szwajcarii z żądaniem przyjazdu. Pisał, że zarabia w fabryce więcej niż w Warszawie, że musi dużo wydawać na siebie, gdy się w knajpie stołuje, że mu jadło szwajcarskie *ani weź* nie służy. Wyliczał potrawy, jak zupę z sera szwajcarskiego, kartoflane sałaty, napoje, jak *most*<sup>32</sup>, i w podziw wszystkich wprowadził dziwacznością takiego stołu.

Judymowa nie miała żadnego wyjścia. Zarobić na dom, dzieci i ciotkę sama nie mogła, lękała się, że ją mąż może opuścić i zginąć gdzieś na kraju świata. Skoro chciał, skoro kazał, żeby przyjeżdżała — nie pozostawało nic innego.

Graty sprzedała i uzyskawszy paszport ruszyła w drogę. Ktoś ze znajomych powiedział

---

<sup>32</sup>*most* (z niem.: *Most*) — sok ze świeżo wyciśniętych winogron. [przypis redakcyjny]

jej, że przez granice niemieckie<sup>33</sup> zabraniają przewozu sukien materialnych<sup>34</sup>, więc wszystko, co miała lepszego, popruła, okręciła się cała najrozmaitszymi szmatami i tak, z zielonym, drewnianym kuferkiem w ręku odjechała. Na dworcu zebrało się gronko przyjaciół Wiktora. Ciotka łkała... Dzieci były zrazu uszczęśliwione. Ona sama, odwykła od bezczynności, drzemała ciągle w wagonie. Kupiła bilet wprost do Wiednia, gdzie miał ją na dworcu czekać jeden towarzysz, gadający po polsku.

Judymowa nie umiała ani jednego obcego wyrazu. Ponauczano ją słów: *Wasser*, *Brot*, *zwei*, *drei*<sup>35</sup>, itd., ale i to jej się splątało w głowie.

Przejechała granicę, noc nastąpiła, a tymczasem w wagonie wciąż jeszcze po polsku rozmawiano. Judymowa była dobrej myśli:

---

<sup>33</sup>przez granice niemieckie — Z Królestwa Polskiego jechało się do Szwajcarii przez Śląsk, należący wówczas do Rzeszy Niemieckiej, i kraje ówczesnej monarchii austro-węgierskiej (Czechy oraz Austrię właściwą). [przypis redakcyjny]

<sup>34</sup>materialny — tu: jedwabny. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup>*Wasser*, *Brot*, *zwei*, *drei* (niem.) — woda, chleb, dwa, trzy. [przypis redakcyjny]



„Taka ta i zagranica! Przecie się tu doskonale z ludźmi rozmówi... Troszkę jakoś inaczej gadają, ale po naszymu”.

Ułożyła przy sobie dzieci, sama się skurczyła. Jej nerwy, przywykłe do wiekuistej czujności, skorzystały z chwili. Zapadła w sen, ów sen w wagonie klasy trzeciej, w stan dziwnej półjawy, kiedy czuje się wszelkie łaskoty i drżenia, wie wszystko, a zarazem jest o tysiąc mil...

Pociąg leciał w ciemności. Często-kroć w szyby wagonu uderzały światła stacji i po krótkiej chwili ginęły, jakby dokądś uniesione przez świst lokomotywy. Gdy pociąg stawał, sły-chać było dygotanie dzwonków elektrycznych. Skowyczał w nich jakiś frazes złowieszczy, rozbity na tysiące jednolitych wzdrygnięć...

Judymowa czuła to w sennym marzeniu. To na nią zewsząd wiał strach olbrzymiooki, to się przeistaczał w widzenia miłe, w rozmowy z ludźmi bliskimi albo w pospolity, znany, obrzydły widok wnętrza fabryki cygar. Zmysły, przyuczone jak pociągowe bydłeta do zaduchu, łaskotu, wrzawy i męki, wpływały teraz

w jakieś nieznane przestwory. Snuła się w nich słodkawa, tchórzliwie-zwycięska podświadomość o wyższości nad wszystkim, co zostało w Warszawie, co teraz w brudach pracuje.

Ona jedzie w świat, w świat, w świat. Do Wiednia... Gdy kiedyś zjawi się w Warszawie, już nie pozwoli ciotce imponować sobie radami, dobrymi na każdy wypadek. Co ciotka wie? Co ciotka może wiedzieć? Była ciotka, na przykład, w takim chociażby Wiedniu? Widziała ciotka świat, Europę?

I dostrzega w sennym złudzeniu starą tuż obok siebie. Zbeczane ciotczysko siedzi na kuferku pod oknem. Gdzie to jest, w starym mieszkaniu na Ciepłej czy gdzie indziej? Jakaś stacja na poddaszu czy w suterenie... Kąty izby zalega mrok, wilgoć i smutek. Tylko na jeden policzek ciotki Pelagii i na chudą, zaciśniętą rękę pada z okna blade światło. Stara nic nie mówi i wiadomo, że się nie odezwie. Zaciekła się. Beczała swoim zwyczajem przez całą noc, a teraz już milczy i tylko patrzy spode łba zimnymi oczami. Czasem po jej wargach za-

mkniętych przewinie się blady, chory, krótki uśmiech. Ale żeby westchnęła... Żeby się choć przemówiła z człowiekiem... Wie ona wszystko — ho! ho... Nic się przed nią nie ukryje. We trzy miesiące po takim dniu wymieni, co było wtedy a wtedy, o której godzinie jakie słowo albo wejrzenie padło. Judymowa czuje jakiś głupi, nieznośny żal. Chciałaby zwrócić się do ciotki, chciałaby ją z wrzaskiem zapytać:

„I czegoż ciotka siedzi, u diabła, jak Kopernik na słupie! O co ciotce chodzi? Skradli my co, czy my kogo spalili?”

Ale nie to, nie to! Wcale nie to chciała do niej mówić... Na takie słowa miałyby ciotka nie jedną, ale sto odpowiedzi. Tu chodzi o co innego. Przecie musiała wyjechać, musiała iść za mężem, gdzie jej kazał. Niechże ciotka powie, że to źle zrobiła! Tak, dobrze! Uwolni się raz na zawsze od starej... Tylko to jedno, to jedno... Taki żal! Nie może patrzeć na starą, tak jej już obrzydła, ale zarazem nie może oczu od niej oderwać!

Nagle coś ją potrafiło i cisnęło na ścianę. Drzemiąc pochyliła się i wsparła ramieniem o czołowieka siedzącego obok niej na ławce. Był to wysoki, barczysty mężczyzna z fajką w zębach. Zmierzył ją złymi oczyma i coś mruknął. Twarz jego była ciemna, duża, nos orli. Wszedł do wagonu, gdy zasnęła. Przy skąpym świetle Judymowa obejrzała ukradkiem tę nową figurę i kilka innych zapełniających przedział. Byli to jacyś nowi ludzie. Widać wsiedli dość dawno, bo zdążyli się pospać. Ktoś z nich głośno chrapał. Naprzeciwko kiwał się jakiś mężczyzna w twarzym, okrągłym kapeluszu. Widać było tylko ten kapelusz, gdyż cała głowa zwiśla na pierśsi, a twarz skryła się w postawionym kołnierzu paltota. Kapelusz zniział się bardziej i cały korpus coraz śmieszniej szedł naprzód. Zdawało się, że lada chwilka runie na Karolę śpiącą w rogu przeciwległej ławy. Judymowa chce krzyknąć, ale dziwny lęk dreszczem ją przenika. W kącie spał ktoś inny. Twarz chuda, oparta o ścianę, trzęsła się wraz z nią i z hałasem się tłukła. Z ust śpiącego, roztwartych jak można

sobie wyobrazić najszerzej, wydzierało się spazmatyczne chrapanie...

Judymowa złąka się czegoś patrząc na tych ludzi. Wyjrzała oknem i ze zdziwieniem zaczęła dostrzegać okolicę. Krótka wiosenna noc miała się już rozwiać. Szary zakres dalekiej płaszczyzny majaczał przed oczyma, a widok ten ścisnął serce tak boleśnie, jakby je dławił.

„To już musi być obca ziemia...” — pomyślała sobie Judymowa.

Wówczas z wielkim strachem i z jakimś pokornym uszanowaniem rozejrzała się po obliczach ludzi śpiących w wagonie.

Pociąg pędził. Okolica stawała się coraz ludniejsza. W szczerym polu czerwieniały fabryki. Wszędzie widać było domy, kościoły...

Był już dzień zupełny, gdy ukazała się wielka rzeka, szeregi czarnych, zadymionych murów.

Wkrótce pociąg stanął. Wszyscy wysiedli z wagonu, więc i Judymowa ruszyła się z miejsca. Dzieci były zaspane, znużone, blade, ona sama chwiała się na nogach. Gdy stanęła wśród

szerokiego peronu, zbliżył się do niej jakiś człowiek biednie ubrany i przemówił po polsku:

— Zaraz-em was poznał.

Judymowa wpatrzyła się w rysy nieznanego i przypomniała je sobie. Towarzysz zabrał jej rzeczy i kazał im iść ze sobą. Wyszli na miasto i długo maszerowali różnymi ulicami. Wiedeńczyk mówił dużo i chętnie. Był to dobry znajomy Wiktora. Zetknęli się znowu ze sobą tu, we *Widniu*. Tamten pisał do niego, żeby się zajął żoną, gdy będzie w oznaczonym dniu przejeżdżała. Wyprawi ją dalej.

Nie poszedł dziś do fabryki, bo chce *festownie*<sup>36</sup> zająć się nimi. Są znużeni — ba, ba — tyli świat. Wprost z Warszawy! I cóż ta w tej Warszawie? Miła to jest miejscina, ta Warszawa, nie można powiedzieć, wesołe miasteczko, choć ani się umywała do *Widnia*... Judymowa mówiła półgębkiem. Wstyd jej było nieznanego. Pragnęła spocząć co prędzej...

---

<sup>36</sup>*festownie* — tu: jak najlepiej (por. niem. *fest*: mocno, porządnie). [przypis redakcyjny]

Zeszli w dzielnicę uboższą, wdrapali się na czwarte piętro wielkiego domu. Wkrótce byli w zwyczajnym, ciasnym, robotniczym mieszkaniu. Przyjaciel Judyma żonaty był z wiedenką, która ani słowa po polsku nie rozumiała. Plotła jednak do dzieci i do Wiktorowej śmieszne jakieś wyrazy, zadawała im tysiące pytań, śmiała się, ocierała oczy... Po śniadaniu zasłano betami szeroką kanapę i Judymowa złożyła na nich swą głowę, ale mimo zmęczenia oka zmrużyć nie mogła. Godzina za godziną upływała jej na rozmyślaniu o tym, jak to jechać dalej.

Teraz dopiero pojęła, że jest między obcymi. Towarzysz Judyma, który mówił po polsku, stał się tak dla niej bliski i drogi jakby brat rodzony. Gdy wychodził z pokoju, drżała na samą myśl, że już odszedł i nie wróci.

Pod wieczór musieli wyruszyć na dworzec. Opiekun ulokował ich w wielkim furgonie przewozowym jak śledzie w beczce i odstawił na Westbahn<sup>37</sup>. Tam kupił Judymowej bilety do

---

<sup>37</sup>Westbahn (niem.) — Dworzec Zachodni. [przypis redakcyjny]

samego Winterturu w Szwajcarii, a gdy wy-  
czekiwali na drugi dzwonek — prędko ją uczył  
rozmaitych słów niemieckich. Przede wszyst-  
kim kazał jej spamiętać dwa: *umsteigen* i *Am-  
stetten*. Wlepiał w nią swe wylupiate, blade  
oczy i poruszając grdyką szyi, gadał:

— Amstetten — to jest stacja, gdzie bę-  
dziecie przesiadali na *Zug*, co rżnie do Salzbur-  
ga — a *umsteigen* — to znaczy przesiadać. Py-  
tajcie się *ciągiem* konduktora: Amstetten? Am-  
stetten? Jak powie, że tak, albo kiwnie gło-  
wą, wtedy przesiadać na *Zug* do Salzburga —  
*umsteigen!* Rozumiecie?

— Rozumiem... — szeptała Judymowa drżąc  
ze strachu.

Uczył ją prócz tego kilkunastu niezbędnych  
wyrazów, gdy wtem uderzył drugi dzwonek.  
Tłok ludzki wwałił się we drzwi i do wagonów.

Towarzysz Kincel znalazł dogodne miejsce  
i zdobył je dla swych protegowanych nie bez  
trudu. Przy okazji stoczył kłótnię z jakimś gru-  
basem, który na tę właśnie ławkę usiłował się  
wpakować. Judymowa nie rozumiała, rzecz pro-



sta, o co chodzi, ale z tonu mowy wносиła, że ma się na awanturę. Zaczęła tedy prosić swego przewodnika, żeby dał spokój, gdyż bała się teraz wszystkiego. Towarzysz Kincel udobruchał się. Dzieci ulokował, pakunki złożył na górnej ławce i ciągle jeszcze uczył Judymową. Ale oto trzeci dzwonek rozległ się jakby krótki zły krzyk i towarzysz zgasł w wąskich drzwiach przedziału.

Wagon był pełen ludzi. Panował gwar...

Judymowa ogarnęła rozpacz, gdy wsłuchując się z całej siły w tę mowę nie chwyciła ani jednego zrozumiałego dźwięku.

— *Amstetten, umsteigen, Amstetten, umsteigen...* — szeptał głos towarzysza, choć jego samego już dawno nie było.

Pociąg wolno ruszył się z miejsca. Ogniaste, białe latarnie co pewien czas przyskakiwały z zewnątrz do okien wagonu na podobieństwo jakichś pysków pałających, które zdawały się ścigać to ruchome gniazdo ludzkie. Błysła ostatnia — i pociąg runął w ciemność, jakby się urwał i odleciał od światła. Dzieci były

rozkapryszone. Karola beczała na głos, Franek sprzeczał się o jakieś głupstwo. Judymowa była wprost rozszarpana w sobie. Dusił ją brak punktu oparcia. Była w tym strasznym kręgu czucia, kiedy człowiek nie panuje nad sobą, kiedy w nim coś się rozrywa, wybucha jak ładunek prochu i kiedy jego ciałem ślepy czyni rzuca, jak chce. Czuła duszność w gardle i zamęt, zamęt. Siedziała cicho na ławce, ale nie była pewna, czy za chwilę nie porwie się, nie roztworzy drzwi i nie uciecze wraz z tym pociągiem dokądś naprzód, w głuchą, straszliwą, w bezbrzeżną ciemność. Nie umiałyby powiedzieć, jak to długo trwało.

Nagle drzwi się otwarły i prosto w oczy zaświeciła jej latarnia konduktora. Judymowa wydobyła swe bilety i podała je urzędnikowi. Ten je obejrzał starannie, przeciął i oddając, monotonnym głosem wymówił:

— *Amstetten, umsteigen...*

Słowa te w uchu Judymowej zabrzmiały jak najczulsze pocieszenie. Może Bóg da, że będzie rozumiała wszystko tak samo jak te wyrazy.

Chwała Panu Bogu Najwyższemu... Niech będzie imię Jego błogosławione...

Blask latarki konduktora zgasł we drzwiach. Wagon zaległa półciemność. Panował jeszcze gwar rozmów, z przeciwnego kąta wybuchały co chwila śmiechy i wrzaski jakichś bab obrzydliwych, ale już to wszystko nie było takie bolesne.

Pociąg huczy, huczy... A gdy się dobrze wsłuchać, to można uchwycić słowa, nie-słowa, które spod jego kół płyną. Ach, nie, nie słowa... To jest jak ta odmiana, którą śpiew robi z człowiekiem. Sam niewiadomy grot muzyki, który na wzór żądła zostawiają w duszy człowieczej głębokie, święte tony. To jest sama sprawa i skutek melodii, do której należą wyrazy „Gorzkich żalów” rozlegające się pod sklepieniem wielkiej głębinie kościoła Świętojańskiego<sup>38</sup>:

Zasłona się potargała,  
Ziemia drży, łamie się skała...

---

<sup>38</sup>kościół świętojański — katedra św. Jana na Starym Mieście w Warszawie.  
[przypis redakcyjny]

Pieśń ta unosi człowieka, bierze go od obecnych, przeszłych i przyszłych męczarni żywota, wydziera z kleszczów wszelkiej niedoli, usuwa bez bólu od męża, od pamięci rodziców, od miłowania i nienawidzenia, nawet od Francka i od Karoli. Wszystko obce, zimne, cudze. Tam gdzieś daleko, daleko ciągnie ze sobą na święte pole jasną murawą zasłane. Perliste rosy na kwiatach stoją. Komu te białe wody obmyją bose, skrwawione nogi, ten znowu staje się człowiekiem, samym sobą, całą, samotną, swobodną duszą. Łzy łagodne płyną do serca jako cudotwórcze lekarstwo, które ogień każdej rany uśmierza. Chłodny pokój czy może wiatr pachnący owiewa znękane czoło.

Czasami jeszcze schyla się rozpacz... Czasami trwoga śmiertelna tak oczy zaostrzy, że widzą tuż obok siebie jakieś przerażające widma nieszczęścia, ale to wszystko z wolna zacicha, zacicha...

Począł szemrać cichy deszcz. Zaludnienie wagonu zmieniało się. Wchodzili ludzie prości, chłopci w krótkich spencerach, z fajkami w zę-

bach, jechali dwie, trzy stacje i wysiadali, ustępując miejsca innym gromadkom. Powietrze było straszne, tak straszne, że mała Karola dostała mdłości. Gdy się nieco uciszyła i zasnęła, Judymowa siadła obok niej w rogu i przespała okrzyki „Amstetten!” rozlegające się za oknem.

Większość jej towarzyszków podróży wysiadła, weszli znowu całkiem inni, a ona o tym wszystkim nie wiedziała wcale. Gdy się ocknęła, był już dzień. Wagon był prawie pusty. Z okien widać było kraj pagórkowaty i dziwnie zielony. Śliczne łąki ciągnęły się tam między wzgórzami. Przed południem wagon stanął i wszyscy pasażerowie wysiedli.

„To musi być przecie Amstetten...” — pomyślała Judymowa.

Ściągnęła swoje tobołki z góry, zebrała je i wysiadła. Drząc przeczytała na dworcu stacyjnym inną nazwę. Wtedy ją znowu opanowała wielka bojaźń: czy aby nie stało się co złego?...

Była to niewielka stacyjka. Pociąg, którym przyjechała, zvekslowano na drugą linię, od-

czepiono lokomotywę. Stał pusty jak wóz bez koni. Podróżni rozeszli się, nawet tragarze znikli z peronu. Judymowa nie wiedziała, co ma robić. Stała obok swych rzeczy, z przestraczem rozglądając się dokoła. Zdawało jej się, że w tym oczekiwaniu na coś niewiadomego upłynęły godziny...

Nareszcie z biura stacji wyszedł urzędnik kolejowy, zbliżył się i o coś zapytał po niemiecku.

Nie rozumiała oczywiście nic a nic. Po długiej chwili zdołała wydobyć z gardzieli bojaźliwie pytający dźwięk:

— Amstetten?

Kolejarz spojrzał na nią z uśmiechem, zadał znowu jedno, drugie pytanie, gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, usunął się. Wrócił po chwili i znowu rzucał jakieś wyrazy. Widząc, że nic nie rozumie, wziął ją za rękę, wyprowadził z peronu na dziedziniec i wskazał gestem miasto leżące w dali. Wtedy zrozumiała, że z nią coś złego się dzieje. Wydobyła z kieszeni bilet i pokazała urzędnikowi. On przeczytał to, co

tam stało, wytrzeszczył na nią oczy, wzruszył kilkakroć ramionami, oddał jej bilet i znowu, jak tylko mógł najwyraźniej, gadał wywijając rękami. Wreszcie mruknął coś ostro, chrapliwie i poszedł. Czekwała na tym samym miejscu w nadziei, że może wróci i jakoś nią pokieruje, ale daremnie.

Już się więcej nie ukazał. Tymczasem zaczęły na dziedziniec wjeżdżać wozy frachtowe, dorożki, karety. Gdy chciała znowu wyjść na peron, zastąpił jej drogę portier i, nagadawszy się do syta, odprowadził z powrotem za dworzec.

Był upał. Dzieci głodne, spragnione kwiliły. Chora Karola chwiała się i skarżyła na ból głowy. Trzeba było dostać gdzie trochę herbaty, gdyż dziecko płacząc o nią prosiło. Judymowa powlokła się w stronę miasta dźwigając rzeczy w rękach i na plecach. Szła szosą pustą, zalaną słońcem, po której wśród tumanów kurzu waliły ogromne fury. Była udręczona, bez sił i prawie bez duszy. Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby ją kto zrzucił z drogi do rowu i kopał

nogami. Oczy jej widziały ciągnące bryki, domy w oddali, zarysy wysokich wież, kominów fabrycznych, ale prócz tego chłonęły w siebie co chwila jakieś niebywale rzeczy. Zdawało się, że wygięty parkan, obielony wapnem, coś tu innego ma do czynienia. Z ogrodu zasadzonego burakami coś biegło, coś niewidzialne, a tak straszne, tak obmierzłe. Dojrzała to w oparze drżącym nad ziemią. Uczuła jego straszne oczy w piersiach swych, w stawach, w sercu, w korzeniach włosów, w palcach zdrętwiałych... To Zły tam szedł zza parkanu, na giętkich nogach, w ziemię wrośniętych. Śmiechem się dławił... Rozszerzał się, trząsał, wydłużał, miętosił. Miał ręce tak długie i oczy, oczy, co gryzą jak psia paszczyka...

— Zbawicielu, Zbawicielu miłosierny...

Obcierała rękami pot z twarzy i tarła oczy, żeby zegnać widmo, ale nie mogła się uwolnić. Strach ją opłatywał jak sieć szeroka, którą dokoła niej ktoś okręca, okręca, okręca. I ten szept cichy, ten szept znany, pamiętny jeszcze z dzieciństwa...



Franek szedł przodem i wnet wziął się do zabawy. Zbierał kamienie i frygał do ogrodów. Cisnął tak raz, drugi, trzeci. Za czwartym razem gdzieś daleko brzękła stłuczona szyba. Judykowa usłyszała ten dźwięk, pojęła, że to Franek stłukł szybę, i z nagłą uczuła do tego chłopca straszną niechęć.

Tak sobie to pomyślała:

„Wezmę tego psa i uduszę! Jeszcze mię tu zaczna *tyrpać* o szybę. Tylko patrzeć, jak się zleca...”

Szła drogą i dzikim wzrokiem patrzyła na głowę Franka, który, wygwizdując, z rękoma w kieszeniach rozglądał się po okolicy. Co chwila zmuszona była wstrzymywać się, opierać swe pakunki o pryzmy tłuczonego kamienia albo je składać na ziemi. Pot zalewał jej ciało, każdy szew wrzynał się w skórę. Ociężałe i jakby rozdęte nogi zdawały się krwią broczyć. Mała Karola wlokła się obok matki i nie sprawiała na niej wrażenia idącego dziecka, istoty drogiej i lubej, lecz jakby wiadra wody, pod którego ciężarem ramię drętwieje.

Tak przypełzli do mostu nad szeroką wyrwą, w której głębi toczyła się jasnoniebieska woda.

Na moście panował hałas. Każde uderzenie koła, każde stąpienie nogi końskiej wywoływało huk długo nie milknący. U wejścia na most Judymowa siadła w zupełnym omdleniu. Spoglądała na miasto jaśniejące w słońcu z drugiej strony rzeki... Czowała w sobie przez małą chwilę myśli jakieś czyste i spokojne. Zdawały się radzić jej, żeby szła ku jasnej łące, namawiać ją mądrymi słowy. Ale już łąki tej nie mogła zobaczyć w sercu swoim. Uderzyła w nią rozpacz jak wichler halny.

— Po cóż ja tam idę? — pytała samej siebie z łkaniem wewnętrznym, co zdawało się wydzierać z niej wnętrzości. — Przecie to nie jest ani Wintertur, ani Amstetten... Co to może być za miasto! — wołała głośno, patrząc w niewyschłymi oczami.

Siedziała tam głupia i bezsilna, jak plewa prześladowana od wiatru.

Dzieci zeszyły z chodnika i bawiły się rzuca-  
aniem kamieni w głąb wąwozu. Mogły były  
pozlatywać w przepaść, a nie byłaby tego do-  
strzegła.

Z tego odrętwienia zbudził ją głos jakiś.  
Stał nad nią wysoki policjant w mundurze i ka-  
sku i gadał coś, wskazując oczyma rzeczy i dzie-  
ci. Spojrzała mu przelotnie w oczy i głośno rze-  
kła po polsku:

— A szczekaj, psie, choć i cały dzień! Wszyst-  
ko mi jedno.

Żołnierz powtórzył swoje głośniejsze.

Judymowa rzekła ze złością:

— Jak się to miasto nazywa?

Niemiec wytrzeszczył oczy i znowu coś za-  
czął mówić. Gdy mu nie odpowiadała i nie zwraca-  
ła uwagi, chwycił w rękę tobół i wskazał jej  
gestem, żeby go zabierała na plecy. Tchnęła nie  
tylko najszczerszą chęcią, ale wprost porywem  
fizycznym, żeby mu plunąć w ślepie, i tylko  
siłą wstrzymała się od tego. Szła kilkadziesiąt  
kroków na powrót, zupełnie martwa. Zimne  
zdrętwienie wolno kształtowało się w jakiś plan

mętny. Nie miała siły rozumieć tego. Resztkami myśli chwyciła to błędne, zaskórne chcenie, żeby tylko wiedzieć, co to jest, i zaraz wykonać...

Policjanta już nie było... Więc znowu wsparła toból o żelazną barierę i tak stała na miejscu, ślepy wzrok tocząc naokół. Czuła już tylko, że ciężar tłomoka parzy ją w plecy, i owo zachcenie zdradliwe, dające nadzieję spokoju.

Stała tam bardzo długo, jakby żelaznymi mutrami przyśrubowana do żwiru chodnika i do bariery.

Środkiem ulicy po okrągłych kamieniach toczyły się w stronę dworca kolejowego omnibusy i powozy. Nagle wzrok Judymowej zatrzymał się na jednej parokonnej dorożce i osobach w niej siedzących. Byli to młodzi i piękni państwo, ubrani wykwiłtnie. Dama w skromnym słomkowym kapelusiku zasłaniała jasną parasolką młodego człowieka. Obydwoje śmiali się czegoś i rzucali wokoło siebie szczęśliwe, rozbawione spojrzenia.

Judymowa drgnęła, jakby ją kto pchnął naprzód. Przywołała dzieci i poszła za tą dorożką. Idąc tak, głośno mówiła do siebie:

— Takie szczęśliwe ludzie, takie szczęśliwe... Może mi pomogą... Zbawicielu, Zbawicielu miłosierny...

Dorożka toczyła się wolno i Judymowa biegnąc co sił, miała ją ciągle przed oczyma. Głowy osób jadących co chwila pochylały się ku sobie. Dwa razy prędzej niż w tamtą stronę Judymowa przebyła odległość między dworcem a mostem.

Stała na podwórzcu stacyjnym mało co później niż dorożka. Właśnie młodzi państwo wysiedli i stali obok, gdy tragarz odbierał z rąk woźnicy dwa kufry. Judymowa nie wiedziała, co pocznie, ale czekała na chwilę, kiedy do tych ludzi przemówi. Dlaczego do nich — nie wiedziała. Istota jej zmieniła się teraz w jeden tylko wybuch woli: przemówi!...

Nagle młoda pani rzekła do swego towarzysza po polsku:

— Weź od niego numer i chodźmy do sali.

Judymowa zachwiała się na nogach. W oczach jej pociemniało. Zbliżyła się do tej pani jak pijana i zaczęła bełkotać wyrazy przeplatane śmiechem, krzykiem i łkaniem:

— Pani! Pani! O, moja przenajśliczniejsza... Pani, pani anielska!

Nieznajomi z uśmiechem życzliwości zwrócili się do niej. Zamienili ze sobą kilkanaście wyrazów francuskich, a potem żywo i ze współczuciem słuchali bezładnej historii przygód. Szczególnie młoda kobieta wypytywała się ciekawie o wszystko.

Judymowa pokazała im bilet i to ich ostatecznie upewniło, że nie mają przed sobą żebraczki ani oszustki. Na rozkaz tej pani tragarz wziął rzeczy z rąk Judymowej i odniósł je na salę razem z walizami. Dzieci dostały po kubku mleka. Wtedy dopiero Judymowa mogła zapłakać. Pani anielska sama przez chwilę miała łzy w oczach. On poszedł z biletem do kasy i siedział tam długo. Wrócił z wiadomością, że wszystko jest dobrze, że na skutek jego reklamacji Judymowa wróci do Amstetten,

a stamtąd pojedzie we właściwą drogę, kiedy oni przesiądą się na pociąg idący do Włoch. Sama wzmianka, że się z nimi rozstanie, przejęła Judymowa dreszczem. Uspokoił ją obydwójce zapewnieniem, że teraz jej zginąć nie dadzą, że zobowiążą konduktorów i władze, aby ją odstawiono na miejsce, do Winterturu.

Młoda pani zaczęła pytać się z żywością o rozmaite rzeczy. Między innymi rzekła:

— Pani jedzie z Warszawy?

— Tak, proszę pani, z Warszawy.

— A jakże się pani nazywa?

— Nazywam się, proszę paniusi, Judymowa.

— Jak, Judymowa? — ze zdumieniem pytała piękna dama, otwierając swe śliczne, błękitne oczy.

— Takie nazwisko, proszę paniusi — Judymowa.

— To jest — mąż pani nazywa się... jakże? Judym?

— Tak, Judym.

— Doprawdy? — szepnęła z zaciekawieniem. — A może jakim kuzynem męża pani jest doktor Judym, pan Tomasz Judym?

— To rodzony brat męża! Brat rodzony! — wołała Judymowa. — To paniusia zna brata?

— Tak, znam troszkę — rzekła pani Natalia.

Zwróciwszy się do męża, szepnęła:

— Czy słyszysz?

— Okazuje się, że miałaś wielbicieli ze wszystkich sfer towarzyskich... — rzekł pan Karbowski.

— Chciałabym widzieć teraz naszego ambitnego doktora...

— Istotnie, byłoby to ciekawe! Jak by też witał swoją rodzinę podróżującą w tak oryginalny sposób...

Sala zaczęła się napępniać. Uderzyły dzwonki, zaszedł przed peron pociąg i Judymowa została usadowiona w klasie trzeciej. Państwo Karbowscy jechali pierwszą. Miało się już pod wieczór.



Na stacjach, gdzie zatrzymywano się po kilka minut, młodzi małżonkowie wysiadali ze swego wagonu i przechadzając się po peronie gwarzyli z Judymową, z dziećmi. Pani Natalia interesowała się zdrowiem małej Karolki, która spała niespokojnie na ręku matczynym. Przyносиła jej to wina, to coś do zjedzenia, to jakieś lekarstwo otrzeźwiające. Dała im nieco nadwiednięty bukiet kwiatów, pół flaszeczki perfum, wachlarz swój — chłopakowi różne wykwiłtne drobiazgi.

Gdy ukazywali się na peronie i chodzili ze sobą, żywo mówiąc, pieszcząc się wzajemnie oczyma, ustami i każdym ich wyrazem, Judymowa nie spuszczała z nich oka. Wargi jej szeptały czułe nazwy, słodkie, prostackie, pół-ludowe spieszczenia, a cała dusza oddychała błogostwieniem tych dziwnych, prześlicznych postaci.

— Żeby cię tak wiecznie chciał twój mąż jak teraz!... — szeptała. — Żebyś mu była zawsze luba... Żeby się w tobie kochał do samej śmierci... Żebyście mieli śliczne, duże, zdrowe, mądre dzieci... Żebyś je bez bólu wielkiego ro-

dziła... Żebyś nad nimi po nocach łąz dużo nie wylewała...

Bukiet róż trzymała przyciśnięty do ust i po-  
iła się jego zapachem. Wąchała perfumy z lu-  
bością i czcią dla jasnej pani. Ta woń podnie-  
cała jej wdzięczność i zamieniła ją na tęskny  
zachwył. Każdy ruch pani Natalii Judymowa  
chłoneęła oczyma, śledziła jej postać i widziła  
ją w źrenicach wtedy nawet, gdy pociąg ruszał  
z miejsca i biegł wśród wzgórz ozłoconych za-  
chodem słońca.

W nocy w Amstetten państwo Karbowscy  
rozstali się ze swą protegowaną. Zanim wszak-  
że to nastąpiło, konduktor pociągu dążącego  
w stronę Innsbrucku zajął się nią w sposób tak  
niesłychanie gorliwy, że ta furia pieczołowito-  
ści świadczyła o *memento*<sup>39</sup> co najmniej pięcio-  
guldenowym. Podróżująca familia ulokowana  
została w osobnym przedziałku, na klucz za-  
mykanym.

---

<sup>39</sup>*memento* (łac., dosł.: pamiętaj) — tu użyte żartobliwie dla określenia napiw-  
ku. [przypis redakcyjny]

Judymowa do takiego stopnia była znużona, że przez całą noc nie mogła zmrużyć oka.

Leżała na twardej ławce i wyteżonym wzrokiem patrzyła w szybę okienną.

Noc była widna, księżycowa. Rozległy horyzont nad ranem zasłonił góry. Grzbiety ich, z początku okrągłe, coraz bardziej szczybiły się i biegly wyżej. Judymowa widziała góry pierwszy raz w życiu. Ten widok tak niesłychany dla człowieka z nizin i z miasta był jak gdyby dalszym ciągiem dnia minionego. W duszy jej te widoki i zdarzenia odbijały się gdyby w wodzie i tworzyły tam obraz zadziwiający. Patrzyła przez okno nie na góry, lecz na ten obraz w głębi siebie samej. Serce jej drżało i wzrok wewnętrzny wlepił się w to cudne skupienie rzeczy.

„Co to jest ta ziemia? I czy to ziemia?

Kto są ci przepiękni ludzie, których ujrzała tam pod tym miastem bolesnym?

I czy to ludzie? Kto jej powiedział, żeby szła za nimi? I...?”

Przed tym pytaniem serce jej mdlało i we łzach tonęło. Wtedy w niewysłowionym struchleniu pytała się głębin nocnych, łańcuchów górskich i tego świętego odbicia w samej sobie, odbicia w czymś czułym i wiotkim, jak gdyby w morzu łez:

„Kto ich posłał?”

Najwyższe szczyty były niby posrebrzone blaskiem księżycy. Ich ostre kły miały teraz łagodny ludzki wyraz. Zdawało się, że dumają, że zamyśliły się i patrzą kamiennymi oczyma w lazur bezchmurny, usiany gwiazdami. I jeszcze zdawało się, że tak samo jak człowiek — nie mogą zobaczyć...

Kiedy niekiedy wzrok Judymowej spadał w otchłań, gdy pociąg leciał na skalnych gzymsach arlberskiej drogi. Gdzieś w głębi, w przepaści, w niezmiernych szczelinach snuły się białe, zielonkawe piany wód Innu po sennych, śliskich, czarnych gładkach.

Widoki te nie dziwiły Judymowej. Serce przyjmowało je i cicho, ostrożnie, troskliwie jak drogi skarb, chowało w sobie. Czasami do-

koła wagonu roztaczała się głucha ciemność, którą wypełniał dym i łoskot. Judymowa nie wiedziała, co to jest, ale nie czuła lęku. Była tej nocy jakby nad słabością swego ciała i nad wzruszeniami ducha.

W pewnej chwili srebrne brzegi szczytów pogasły, jakby je kto zdjął z wyżyny. Coraz bardziej nasuwały się z cienia szare zręby i granie skał, rozdzierając sobą ciemność leżącą w dole. Z wysoka zstępował górski poranek.

Jechali tak przez cały następny dzień i całą noc. Znużenie dzieci stało się jakąś tępą omdłością. W ustach, z braku właściwego napoju, utworzyły im się krosty. Kaszlali wszyscy troje i rzucali się we śnie.

W Buchs konduktor austriacki doręczył Judymową szwajcarskiemu, który ironicznym okiem oglądał tych podróżnych. Zrewidowano ich rzeczy, zamknięto znowu w wagonie i ruszyli dalej.

W blasku nowego dnia ukazało się wkrótce coś niezmiernie, coś, na co patrząc Judymowa oczom wierzyć nie chciała: błękitne,

zimne, tajemnicze jezioro Wallensee. Pierwszy promień zza szczytów wpadający w nizinę ślizgał się na falach, które się chwiały w chłodnym mroku. Ta głębia przezroczysta, a zstępująca w ciemną otchłań, znowu do drżenia zmusiła serce Judymowej. Wydało jej się, że widziała we śnie te wody, że przez nie szła z rozkoszą i że tam na ich dnie kamienistym leży ów sekret święty.

Tymczasem brzeg jeziora wygiął się prędko i jakby zamknął przed oczyma błękitną wodę. Pociąg wybiegł na szerokie błonia. Góry znikły i tylko regle świerkowe snuły się w dali. Łąki białe od miodownika, wśród których stały gęsto drzewa owocowe, tworząc jeden sad nieprzejrzany, ciągnęły się jak okiem rzucić.

Okolo godziny jedenastej pociąg stanął w Winterturze. Usłyszawszy tę nazwę Judymowa przelekła się i bała ruszyć z miejsca. Konduktor otworzył drzwi i dał jej znak, żeby się wyniosła z wagonu. Gdy dźwigając swe toboły i dzieci złaziła ze stopni, ujrzała Wiktora, jak przeciskał się wskroś tłumowi i szukał ich oczami. Zaraz w złość

wpadła. Gdy ich zobaczył i podbiegł, sypnęła od razu:

— Gdzieżeś, ty, człowieku, miał rozum, żeby nas w tyli świat!... O, Jezu, Jezu...

— A cóżem ci — rozkazywał? Mogłaś niejechać. Widzisz ją! Powitanie małżeńskie! Od trzech dni przylatuję, jak kto głupi, na każdy pociąg...

— Ale, powitanie! *Spojrzyj no se*, co się z tymi *dzieciami* zrobiło. W gębach mają jakieś krosty, nawet nie wiem... Masz ty rozum! Jeżeli my nie pomarli w drodze, to prawdziwe zdarzenie.

— Takaś znowuż delikatna! I ja przeciejechałem tą samą drogą. Cóżem miał zrobić, skrócić ją czy co?

— Ij, stuliłbyś gębę, bo doprawdy...

— To ty mi stul gębę, żebym ci na powitanie czego zaś nie ofiarował. Jak ci się nie podoba, to siadaj w kolej i *rznij*, gdzie ci wypada.

Wziął na ręce Karolę, toból pod pachę i wyprowadził ich za peron. Szli jakiś czas w milczeniu po szosie usypanej żwirem.

Obok drogi stały domy, przeważnie piętrowe, w małych ogródkach z żelaznymi sztachtami. Każde okno było zasłonięte zieloną żaluzją. Te mieszkanca, jak wszystko dokoła, zdawały się kwitnąć i posiadać w sobie zielen roślinną. Na ścianach zwróconych ku południowi rozpięte były gałęzie wina, którego szarozielone gronka gęsto między liśćmi zwisały.

— Ty masz, Wiktor, jakie mieszkanie? — cichszym głosem spytała Judymowa.

— Przecie że mam.

— Jedną izbę?

— Dwie nieduże i kuchenkę. Ciasne, ale niczego.

— Daleko to?

— Kawałeczek drogi. Nie bardzo daleko.

W istocie, minawszy kilka ciasnych i krzywych uliczek, wprowadził ich wkrótce do sieni szczupłej kamienicy i na schody wąziutkie, czysto umyte, a wydeptane tak, że z desek stopni



tylko cienka warstwa została. W klatce schodowej panował zaduch, pomimo że wszystkie sprzęty były tam wyczyszczone i błyszczące. Na drugim piętrze Wiktor otworzył drzwi i wpuścił swoją rodzinę do mieszkania. Było istotnie ciasne i niskie tak dalece, że się głową dotykało powały, ale miłe. Obadwa<sup>40</sup> pokoiki były wyłożone drzewem i malowane olejno na kolor błękitny. Aż na środek pierwszej izby laził ogromny piec z brunatnych kafli. Całą ścianę zewnętrzną zajmowały okna, których w dwu stancyjkach było cztery. Judymowa z uśmiechem patrzyła na ten lokal i doznawała wrażenia, że wcale jeszcze nie wyszła z pociągu, tak bardzo te dwa pudełka wymalowane i lśniące przypominały przedział wagonu. Ale oto w drugiej izdebce dostrzegła łóżko, łóżko pod sam sufit zasłane betami. Zaczęła się co tchu rozbierać.

Judym wyszedł do swej fabryki. Dzieci nie chciały iść spać i wybiegły z ojcem na miasto.

---

<sup>40</sup>*obadwa* — dziś popr.: obydwu. [przypis edytorski]

Tonąc w puchu, Judymowa wodziła oczami po czystych ścianach, po prostych sprzętach, które nie miały na sobie ani jednej plamki, i usiłowała zatrzymać je w miejscu. Wszystko jej w oczach szło, szło, szło bez końca jak wagony. Ściana wysuwała się ze swego miejsca i przechodziła... Krzesło, komoda, szafa, tłumok, leżący na środku pierwszego pokoju — wszystko to sunęło dokądś, bez przerwy... Gdy zamykała oczy, żeby usnąć, natychmiast w nich i w głębi mózgu snuły się nieskończone szeregi wagonów.

Koła ich stukając pędziły przez całe ciało, przez głowę i piersi, ze drzeniem, z hukiem i zgrzytem. Ani usnąć, ani odpocząć...

Czuła doskonale, jak mija czas, słyszała głosy zewnętrzne, rozumiała, gdzie jest, ale odegnąć owego pędu wagonów ani na sekundę nie była w stanie.

Z dźwięków ulicznych zajmował ją i nęcił szczególnie jeden. Był to jakby śpiew, jakby wydawanie lekcji czy chóralne odmawianie pa-

cierza przez gromadę dzieci. Judymowa słyszała nie tylko ogólny ton, ale każdy głosik z osobna, wymykający się z harmonii. Było w tym coś wesołego nad wszelki wyraz, coś tak miłego, że nie mogła dać sobie z tym rady. Wstała z łóżka, narzuciła odzienie i czając się w głębi izby zaczęła wypatrywać, skąd te głosy pochodzą.

Z drugiej strony wąskiej uliczki na tej samej wysokości były roztwarte okna jakiejś dużej sali. Na małych drewnianych stołeczkach siedziało tam kilkadziesiąt, pewno ze czterdzieści sztuk indywiduów w wieku lat od czterech do sześciu. Osoby te gwarzyły, beczały, śmiały się, spierały, swawoliły, ale co pewien czas, na znak dany przez otyłą kobietę w latach, każde ujmowało w ręce szydełko i rozpoczynało pracę. Wtedy to za głosem przewodniczki cały chór, wykonywając szydełkiem każdy ruch, kiwał się i śpiewał ową jakby piosenkę. Judymowa nie rozumiała wyrazów, ale nie mogła się wstrzymać, żeby nie powtarzać płynących dźwięków:

Ine stache,

Fadeli ume g'schluh'

Use ziehe

Abe Loh'...<sup>41</sup>

Bawiło ją to i zajmowało do żywego.

„Co też to może być? — myślała. — Szkoła? Ale czyżby kto posyłał do szkoły takie małe berbecie?”

Tymczasem w uczelni znowu wybuchały gwarry, zabawa, krzyki, gonitwy, a po upływie jakiegoś czasu dawała się słyszeć recytacja:

Ine stache...

Patrząc na tę swawolę połączoną z robotą, słuchając chóralnego gwarzenia, które nie było jeszcze śpiewem, ale już było rytmem podniecającym do wykonania bez przykrości pracy, doznała dziwnego uczucia. Przytulona do ściany, z oczyma utkwionymi w ten obraz, który miała przed sobą, myślała o czymś, co jej nigdy, przenigdy nie przychodziło do głowy.

---

<sup>41</sup>*Ine stache (...)* Lob (dialekt niem.-szwajc.) — wbij, owiń nitkę, wyciągnij i spuść. [przypis redakcyjny]

I wnet, ledwie pojęła tę rzecz głęboką i mądrą, uczuła w sobie żal śmiertelny. W głowie jej sunęły się wciąż mury, okna, żaluzje, a z oczu leciały łzy rzęsiste. Wzdychała nad sobą i nie tylko nad sobą... Trzymała w sercu bezsilną mękę patrzenia na dzieci swoje rosnące ponad rynsztokiem.

Z tej zadumy wyrwało ją gwałtowne stukanie we drzwi. Ktoś ruszał klamką i pukał. Bała się otworzyć, więc jakiś czas siedziała przyczajona, ale gdy dobijano się coraz gwałtowniej, przekręciła klucz w zamku. Wszedł do mieszkania mężczyzna wysoki, w kamizelce, z miną tak nasrożoną i oczami tak wściekłymi, że Judymowa ze strachu aż siadła na krawędzi łóżka.

Przybysz zaczął wrzeszczeć i machać rękami.

Pokazywał co chwila liście, które trzymał w ręce, ciskał je na podłogę, znowu brał i pchał w kieszeń... Zbliżał się do Judymowej i zadawał jakieś pytania, a gdy ona wciąż jednako skromnie milczała, wrzeszczał coraz głośniej. Używał

tak z kwadrans. Wreszcie trzasnął drzwiami i wyszedł.

Ledwie Judymowa zdołała oddać się uczuciu szczęścia, znowu wrócił z całymi garściami liści. Kładł je na stole i błyskając białkami oczu, co kilka słów powtarzał:

— *U se!*<sup>42</sup>

Nie wiadomo skąd jej taka chęć przysła, dość że zaczęła ziewać. Osłaniała wprowadzie usta ręką, ale jegomość widział to i doświadczał paroksyzmu furii, bo trzął się cały i tupał nogami. Przyglądała mu się uważnie, od stóp do głów, poprzysięgając sobie w duszy, że gdyby tak, co daj Boże, drugi raz wyszedł z izby, to już nie głupia otwierać mu drzwi z klucza. W istocie awanturnik wyskoczył krzycząc jeszcze na schodach. Co tchu zamknęła drzwi, położyła się do łóżka i przykryła pierzyną. Tak w pół-sennym odurzeniu leżała ze dwie godziny, aż ją znowu zbudziło stukanie we drzwi. Był to Wiktor w towarzystwie owego złego Szwajcara i dzieci.

---

<sup>42</sup>*U se!* (dialekt niem.-szwajc.) — precz! [przypis redakcyjny]

Wiktor coś bąkał, ale prędzej dla okazania żonie, jak się to rozmawia po niemiecku, niż dla wyjaśnienia sprawy.

— Czegóż ten od nas chce, Wiktor? — spytała Judymowa.

— A to nasze dzieci obdarły mu wino.

— Co za wino?

— Wiesz, oni tu mają winne krzewy na ścianach... Ten *biurger*<sup>43</sup> miał calutki front domu pokryty. Przyszedł Franek z Karolą, wzięły i obdarły wszystkie liście, powyrywały badyle ze ziemi. No i trzęsie *hajba*<sup>44</sup> morowe powietrze ze złości.

— Po cóżeście wy toto zrobiły?

— Wielkie święto, że my liście urwali! — zaperzył się Franek. — Masz mama o co piekło robić...

— Ten *hajb* mówi, że tu już do ciebie przychodził — rzekł Wiktor do żony.

---

<sup>43</sup>*biurger* (z niem.: *Bürger*) — obywatel, mieszczanin. [przypis redakcyjny]

<sup>44</sup>*Hajb* (dialekt niem.-szwajc.) — określenie pogardliwe, odpowiadające polskiemu: chamidło. [przypis redakcyjny]

— A przychodził. Nawet dwa razy. Gadał sobie coś, ja słuchała. Wygadał, co wiedział, i poszedł.

— Ech, już z tym narodem to człowiek nigdy do ładu nie dojdzie. To prawdziwy kryminal ten kraj! Tu o godzinie dziesiątej wieczorem już ci nie wolno we własnym mieszkaniu tupnąć obcasem w podłogę, bo się cały dom zleci. Nie wolno ci rozmówić się z drugim głośniej, nie wolno ci w kuchni trzymać wiązki drzewa, palić ognia, jak wiatr wieje, nie wolno chlusnąć naftą dla podpalenia w piecu, bo zaraz dwadzieścia pięć franciszków kary — diabli wiedzą, co tu wolno...

Szwajcar tymczasem wciąż do nich gadał. Judym wytłumaczył żonie, że on się tak dopytuje, po co te dzieci zrobiły mu taką krzywdę, żeby niszczyć dojrzewającą gałąź winną. Kto ich tego nauczył, żeby takimi łotrami być już w dzieciństwie.

Sprawa została odłożona do późniejszego czasu, gdyż sam Judym nie rozumiał dobrze, co tamten gada. Wiedział tylko, że z tego miesz-



kania stanowczo go wyleją i że drugiego w mieście bezwarunkowo nie znajdzie. To go wprawiło we wściekłość. Przeklinał *hajbów*, na czym świat stoi, wymyślał im po polsku i po szwajcarsku.

Wreszcie rzekł do żony:

— Ja ci otwarcie powiem, że ja tu nie myślę siedzieć.

— Gdzie?

— A tu.

— Cóż ty znowu gadasz?

— Ja rznę do Ameryki.

— Wiktor!

— To jest niewola, nie kraj! Zarabiam tu wprawdzie więcej niż w Warszawie, ale wiesz ty, ile przy Bessemerze płacą w Ameryce? Pisał mi Wąsikiewicz detalicznie. To jest dopiero pieniądze

— Cóż ty mówisz, cóż ty mówisz... — mamrotała. — To my już do dom nigdy...

— Do Warszawy? Masz ci! Jakże ja mam wracać? Zglupiałaś? A zresztą po jakie sto tysięcy diabłów?

Myślał chwilę, a później mówił głośno, wstrząsając głową:

— Moja kochana, Bessemer jest wszędzie na świecie. Ja idę za nim. Gdzie mi lepiej płacą, tam idę. Mam tu siedzieć w tej dziurze? Nie ma głupich!...

W oczach Judymowej wędrowały wciąż ściany, okna i sprzęty. Upadła na poduszki jak bezwładne drewno i osłupiałymi oczyma patrzyła się w malowane deski sufitu, który się z nią dokądś, w nieskończoność, w zaświaty posuwał, posuwał...

## O ZMIERZCHU

W życiu doktora Judyma zaczął się okres szczególny. Na pozór była to taka sama egzystencja, te same obowiązki, także dążności i starcia. W gruncie rzeczy jednak młody lekarz stał się jak gdyby inną osobistością. To, co czynił, czym się zajmował, było zewnętrzną powłoką jego istotnej natury, czymś niby ciało, w którego głębi wykwitł duch samoistny. Leczenie

chorych, rzeczy szpitalne i zakładowe, wyjazdy do dworów i wsi okolicznych nie uległy zmianie, owszem, przychodziły z większą jeszcze łatwością, ale była to tylko eksploatacja żywej, kipiącej siły. Głęb duszy doktora Tomasza zajęło coś tak nowego, jak nową jest wiosna po twardej zimie.

Między jednym a drugim wschodem słońca zamknięte były jakby gaje czarodziejskie, dalekie od tego świata, schowane za wysokimi murami. Ciągłe trwało to pachnące wrażenie, jakiego doznał w dniu kwietniowym, kiedy, przybywszy po raz pierwszy do Cisów, stał w oknie i patrzył w głębinę alei.

Jeszcze gałęzie drzew wysokich są nagie, szare i chude jak chrusty leszczynowe. Barwa ich sprzecza się z dziwnym błękitem, co się kurzy i stoi tuż nad ziemią, między pniami, niby rzadki, rozwiany dymek. Za ledwie pierwsze, zmarszczone i słabe liście wyprysły z końców cienkich gałązek bzu. Ciężkie pęki jak złotolite gruzły zdają się spływać z brunatnych prętów kasztana. Słońce to płomienistym poza-

rem spada na wilgotną ziemię, to odlatuje do modrych królestw swoich i ginie w różnobarwnej sukni obłoków. Jasne murawy ukazały się na szarym, parującym gruncie. Pierwsze ich pióra drżą, odwracają się i chylą ku słońcu. Radosny świergot ptaków i z oddali wesołe krzyki dzieci dają się słyszeć, a cały przestwór pełen jest woni fiołków.

W tej dziedzinie wstawiała z każdym wschodem słońca ostra noc duszy. Ona to sprawiła, że oczy widziały teraz wszystko z podwójną jasnością. Rzeczy i sprawy zewnętrznego świata łączyły się i rozchodziły inaczej, a wszystkie przedmioty ukazały swe fizjonomie pełne mądrości i porządku. Myśli codzienne wypadły ze swoich siedlisk i były jak młode ptaki spłoszone z gniazda, co na wszystko patrzą w zdumieniu.

Po co jest wiosna? Czemu noc przemija i czemu dzień? Dokąd żeglują pracowite chmury, czasem niewinne jak sny dziecięce, a czasem straszliwe jak trzewia rozrąbane toporem, z których czerwona krew się leje? Dla kogo ro-

sną kwiaty wiosenne i czemu zapach z nich się rozszerza?

Co to są drzewa i z jakiej przyczyny w biały dzień upuszczają na ziemię coś jakby noc: czarujące cienie swoje?

Wieczory, kiedy księżyc był wystawiony w jasnych niebiosach, które, jak mówi Biblia, są sprawą palców bożych, przemieniły się w święte misterium. Były tajemnicą niedocieczoną, do której dusza jak do skończonej formy swojego szczęścia w tęsknocie wzdychała.

O zmierzchu panna Joanna częstokroć przychodziła do parku z jedyną teraz uczennicą swoją, panną Wandą. Tam przypadkowo spotykały doktora Tomasza. Chodzili we trójkę w ciemnych alejach, rozmawiając o rzeczach obojętnych, naukowych, artystycznych, społecznych.

Był w tym szczególny urok, że prawie nie widywali swych twarzy ani oczu. Tylko ciemne postaci, ciemne osoby, ciemne istoty, jakby same dusze... Tylko z dźwięku głosu mogli poznawać wzajemnie upragnione marzenia. Czasami, z rzadka, spotykali się w towarzystwie

i wówczas, gdy usta tak samo jak w parku wymawiały obojętne frazesy, oczy prowadziły inną rozmowę, pełną zapytań, odpowiedzi, próśb, wyznań i obietnic, rozmowę stokroć wymowniejszą niż słowna.

Judym był jakby szalony na samą myśl, że zobaczy swoją „narzeczoną”. Tak ją mianował w myślach, chociaż nigdy jeszcze nie wyjawiał jej ani swojej miłości, ani prośby o rękę. A gdy mógł widzieć te oczy, w których uśmiechał się z rozkoszą cudowny wdzięk miłości, zdawało mu się, że krew zaczyna wypływać z jego serca, że słodka śmierć na podobieństwo fali oceanu otacza go i niesie do stóp tego zjawienia. Radość i słodycz tych obcowañ była tak niezrównana, że nawet wszelkie żądze cielesne tłumiała.

Judym nie pragnął panny Joasi jako kobiety, nigdy z niej w marzeniu nie zdierał szat dziewiczych. Pachnące dymy błękitne otoczyły ją i zasłaniały od myśli pożądliwych. Nade wszystko, nad piękność, dobroć i rozum kochał w niej swoją czy jej miłość, ów zaklęty

wirydarz<sup>45</sup>, gdzie człowiek wchodzący zdobywał nadziemską zdatność pojmowania wszystkiego. Drżał na samą myśl, że jeśli tej łaski niebios, którą, Bóg jeden wie dlaczego, zobaczył na swojej drodze, dotknie się wolą, jeśli wyciągnie rękę i zechce ujrzeć lepiej to coś ziemskie, to ono zginie natychmiast. A myśl o zniknięciu szerzyła w nim zimno śmierci.

I tak ciągle płynęły w jego sercu dwie strugi: tęsknota i trwoga. Gdy przypatrywał się wykwintnej i delikatnej postaci panny Joasi, stała mu w oczach, jak nieodłączne widmo, sułterena z ulicy Ciepłej. Wszystko zdobyte zniknęło. Pamiętał o swojej rodzinie rzemieślniczej, o ciotce, która go wychowała, o towarzyszach jej zabaw... Zdawało mu się, że skulony, obdarty, głodny i zdeptany, stojący na samym brzegu upodlenia, jest w ciemnej izbie piwnicznej. I oto zstępuje po schodach ciemna osoba. Słychać cichy szelest jej sukien, pachnący szmer jej nadejścia... Z wolna schodzi, zatrzymuje się na każdym głązie. Niesie w oczach dalekowi-

---

<sup>45</sup>wirydarz (stpol.) — ogród ozdobny. [przypis redakcyjny]

dzących przedziwne posłannictwo swojej miłości.

Wolno mu na nią patrzeć, ale jeśli się dźwignie i przemówi jedno słowo błagalne, jeśli dotknie jej ręki wyciągniętej, to wówczas nastąpi coś przeczuwanego, coś, co czyha, co czeka cierpliwie i wlepionymi oczyma patrzy na każde postanowienie.

Pewnego dnia w drugiej połowie czerwca Judym szedł do jednej z odleglejszych wiosek. Z umysłu skracał sobie drogę, idąc na przelaj ścieżkami, dla prędszego załatwienia „wizyty” i powrotu jeszcze przed zachodem słońca.

Ścieżka szła nad brzegiem rzeki, która u jednego krańca rozległej łąki, w dolinie między dwoma płaskowzgórzami, wiła się wśród zarośli. Dróżka ta, kryjąca się w cieniu drzew, wyścinięta na miękkim gruncie, była tylko z wierzchu obeschnięta, a głąb jej ugiwała się jeszcze pod nogą. Naokół były trawy, wikle i rokity. Judym szedł prędko, z rękami w kieszeniach i oczyma spuszczoneymi, nic prawie dokoła sie-



bie nie widząc, gdy wtem na zakręcie drogi zobaczył pannę Joannę. W pierwszej chwili był tak oszołomiony, że nawet się z nią nie przywitał. Szedł kilka kroków myśląc o tym, czy ona czekała tu na niego, czy to może jest sen...

Nie zdziwiłby się wcale, gdyby znikła w powietrzu jak mgła znad łąki. Nie czuł także szczęścia. Spoglądał na jej twarz bladą, pomieszaną i obojętnie zauważył, że jej prosty nosek z tej strony widziany jest jakiś inny... Po niejakej chwili domyślił się wreszcie, że to jest jakby cud... Nie będzie czekał na nią w parku, nie będzie spieszył do chorych, nie będzie skracał sobie godzin pozostających do zmierzchu różnymi sposobami, bo ona tu jest z nim razem, sama jedna... Był w tym nawet pewien jakby zawód.

— Pani na spacer?... — rzekł czując w tej samej chwili, kiedy mówił te wyrazy, że postępuje jak zupełny, ordynarny głupiec, bo przecie ta chwila, która mija, jest najważniejszą i będzie pamiętną w całym życiu. Ale zaraz po sekundzie tego przeświadczenia nadeszło zapo-

mnienie o wszystkim i obojętność tak zupełna, jakby kto poprzedzające wrażenie przysypał worem piasku.

— Ja chodzę tutaj co dzień, jeżeli, rozumie się, deszcz nie pada... — odpowiedziała panna Joanna.

Judym wiedział, że skłamała. Wiedział, że przyszła w to miejsce pierwszy raz i dlatego, żeby go spotkać. Słowa jej słyszał dobrze, ale zdawało mu się, że przychodzą z jakiejś oddali. Nie rozumiał ich zresztą, zajęty radością patrzenia w jej serce.

— A panna Wanda?

— Wanda o tej porze jeździ konno z panem plenipotentem.

— Pani nie jeździ konno?

— Owszem... Bardzo lubię. I niegdyś, niegdyś... mój Boże... Teraz już nie mogę. Muszę mieć troszkę, tyłą odrobinę wady serca czy czegoś takiego, bo każda przejażdżka nabawia mię bólu tu właśnie, gdzie bije to przebrzydłe. Mam później bezsenność.

Judym, słysząc te słowa, uczuł w swym sercu literalny, fizyczny ból i taki żal, taki niezgruntowany, bezbrzeżny żal, że musiał ścisnąć zęby, aby nie wybuchnąć płaczem.

— Dlaczegoż się pani nie poradziła jakiego dobrego lekarza w Warszawie?

— Ech!... Dobry lekarz nie poradzi na takie rzeczy. A zresztą, kto by tam zwracał uwagę. Nie jeździć konno — to taka łatwa rzecz do zrobienia...

— To nie jest wcale wada serca i ani cienia choroby w tym nie ma... — mówił z uśmiechem. — Zwyczajne, najzwyczajniejsze zmęczenie. Organizm nieprzyzwyczajony...

— Mój organizm?

— ...Pod wpływem forsownego wysiłku ulega na czas pewien wyczerpaniu... Może byłoby dobrze, gdyby się pani przemogła i jakie dwa, a nawet trzy razy w tygodniu bez zmęczenia, rzecz prosta, jeździła na tej siwce.

— Tak pan myśli?

— Naprawdę. Pani musi prześlicznie wyglądać na koniu...

Powiedział to zdanie bez chwili namysłu i faktycznie bez wiadomości, jaki sens mają te słowa.

— A to dopiero terapia! — rzekła panna Joanna nie patrząc na niego. Złoty uśmiešek, najpiękniejszy z uśmiechów, otoczył jej twarz jakby blaskiem słonecznym. Brwi i wargi drgnęły wesoło. Judym przez chwilę daremnie czekał, że usta powiedzą wyraz skrzydlaty, który chował się w tym prześlicznym uśmiechu. Nikły rumieniec jak zorza płynął po jej policzkach.

— Proszę pana — mówiła rumieniąc się coraz bardziej — pan jeździł czasami tramwajem na Chłodną czy na Waliców?

— Jeździłem... Rozumie się... A dlaczego się pani pyta?

— Tak się tylko pytam. Kilka razy widziałam pana jadącego w tamtą stronę. Był pan wówczas troszkę inny, nie taki jak teraz. Może zresztą w cylindrze tak się pan wydawał. To było ze trzy lata temu, a może nawet więcej.

— Dlaczego pani zwróciła wtedy na mnie uwagę?

— Nie wiem, dlaczego.

— Za to ja wiem dobrze.

— Czyż tak?

— Wiem na pewno.

— Niechże pan powie, dlaczego.

— Dlatego, że...

Judym pobladł. Uczuł, jak skóra cierpnie mu na głowie i jak zimny dreszcz falą spływa przez całe ciało.

— Nie — mówił — nie powiem teraz. Kiedy indziej...

Panna Joanna zwróciła na niego oczy, przyjrzała mu się szczerym, rzetelnym spojrzeniem i zamilkła. Szli długo.

Na kresach łąki, po urwisku płaskowzgorza rozrzucone były chaty wsi, do której Judym zdązał. Droga, wąska w nizinie, zmieniała się w szeroki wygon poryty mnóstwem kolein i wygradzony żerdzianym płotem. Panna Joanna szła tą dużą drogą kilkadziesiąt kroków. Z nagła stanęła i mówiła:

— Pan idzie do wsi?

— Tak, do chorych.

— Ja tam już nie pójdę.

— Dlaczego?

— Nie, nie pójdę.

— Już pani wróci do domu? — pytał z żalem w głosie i oczach.

— Tak, już trzeba wracać. Zresztą... Długo pan tam zabawi?

— Nie bardzo, z jakie pół godziny.

— A tak... Ja tu poczekam. Albo lepiej...

— Panno Joanno...

— Albo lepiej tam, na kraju tego wzgórza.

— Ach, to dobrze, to śliczna, śliczna myśl!

Poszedł szybko tą drogą. Byłby biegł pędem, byłby zresztą całkiem, do licha, zaniebdał chorych. Wstrzymywał go tylko przesąd, że ona tam czeka. Gdyby nie spełnił... Ta pewność sprawiała mu rozkosz bezbrzeżną. Czuł, że jest to już zbliżenie, coś jakby schadzka, jakby umówiony czas radości wspólnej, a zarazem przesądnie cieszył się, że szczęście samo przyszło, że go nie wołał ani wypraszał.

Chciał załatwić się z chorymi co tchu, ale jak na złość przed każdą chatą, do której wchodził, zgromadzały się baby z dziećmi, chłopci z okaleczonymi palcami... Musiał ich badać i opatrywać. Był już prawie zmierzch, gdy wreszcie wybiegł ze wsi i rozpalonym wzrokiem szukał panny Joanny. Były chwile, że tracił władzę nad sobą.

— Odeszła... — szeptał połykając łzy jak dziecko.

Zobaczył ją wówczas dopiero, gdy blisko podszedł do wzgórza. Siedziała na ziemi między ogromnymi jałowcami.

— Chodźmy nie tędy łąką, bo już mgła się ścięła i wilgoć... — mówił zbliżając się do niej.

— A którądy?

— Można przejść górą, wprost przez pola, a stamtąd brzegiem łązińskiego lasu.

— No, dobrze, tylko musimy się bardzo spieszyć, bo już noc prawie.

Weszli na szczyt urwiska i znaleźli się w polu otoczonym z trzech stron lasem. Z dwu stron był to bór liściasty, z trzeciej — sosnowy. Słoń-

ce padało na milczącą ścianę drzew, złocąc nieruchome kępy grabów i brzoź barwami tak żywymi, że oko chwyciło dokładne kształty liści bardzo dalekich. Za parowem, z którego wyszli, w nieskończonym oddaleniu, u kresu pól mieniących się od zboża, słońce zachodziło. Poziome jego promienie leżały na jasnych drogach, na szybach wód, zwykle skrytych, na bezbarwnych powierzchniach domostw wieśniaczych. Figury idących, Judyma i panny Joasi, rzucały dwa cienie, jak gdyby dwa niezmierne widma ich bytów, które przed nimi idą, łączą się, zbliżają i odsuwają od siebie. Purpurowozłocisty blask przedmiotów trwał krótko. Tarcza słoneczna wlała się w ziemię i utonęła. Wówczas daleki gaj liściasty przygasł. Zaczął oddalać się, oddalać, odchodzić...

Judym wpatrywał się w tę okolicę i doznał niewytłumaczonego uczucia. Był już tam nieraz, to prawda, ale zdało mu się, że już podobne uczucie przeżył w tym samym miejscu.

Już niegdyś, niegdyś...



To jest miejsce, do którego szedł przez całe swoje długie, tułacze życie.

„Dlaczegoż to tak? — marzył wpatrując się w tę dziwną polanę. — Dlaczegoż to tak?”

I oto przez chwilę, przez mgnienie źrenicy, gościło w jego wiedzeniu coś niby odpowiedź, tak jakby dźwięk słowa, które wiatr przyniósł z oddali, ale natychmiast z ucha wyrwał i rozwiał.

Część tego pola, jakby wzgardzonego przez ludzi, była zasiana. Obok ciągnęła się niwa zorana i zawleczona, co było widokiem niezwykłym o tej porze roku. Ta ziemia była jeszcze ciepła, pulchna i miękka. Nie więziła nóg, jak piasek na wydmie, lecz je ogrzewała delikatną głębią swoją. Stopy panny Joanny, obute w pantofle, zupełnie ginęły w roli. Obydwoje nie zwracali na ten szczegół uwagi, ale o nim dobrze wiedzieli.

Z szarej gleby zaczęła się dźwigać w górę jej barwa, zaczęła wchłaniać połyskujące przed chwilą kolory lasu i słać dokoła, daleko i blisko, zmrok cichy, zmrok ciepły, zmrok wonny.

— Nie powiedziałem wtedy — rzekł Judym — dlaczego pani zwróciła na mnie uwagę, gdy jechaliśmy tramwajem w stronę ulicy Chłodnej... Otóż mnie się zdaje, że wiem.

— Pan to wie?

— Tak, wiem.

— Bardzo jestem ciekawa.

— Pani musiała wówczas po prostu przeczuć...

— Co przeczuć?

— Wszystko, co ma nastąpić.

— Cóż takiego?

— Że to ja właśnie będę mężem twoim.

Panna Joanna nie okazała zdziwienia. Szła w spokoju. Błada jej twarz wydawała się uśpio-  
ną. Judym nachylił się ku niej.

— Czy aby dobrze, czy z rozwagą pan to czyni? — mówiła cichym, głębokim głosem.  
— Niech pan dobrze nad tym pomyśli...

— Już wszystko przemyślałem.

To twarde oznajmienie istoty rzeczy nie wy-  
rażało, ale dźwięk jego był tak decydujący, że  
panna Joasia nic nie odrzekła.

Judym teraz dopiero uczuł, jak bezgranicznie jej pragnął. Wszystko zginęło mu z oczu. Mrok wdarł się do głębi duszy i wszystko w niej zgasił. Zdawało się, że opór miękkiej, głębokiej ziemi, w której nogi brodziły, nie ma końca, że ciągnie się setki godzin. Szary zmierzch, to pożądliwe zrzekanie się światła, sprawiało dziwką rozkosz. Był to niewiadomy żywioł, który zdawał się rozdymać w jakiś płomień i poprzedać tę świętą, boską, tajemną noc, jak krzyk wesoły wołający w szerokiej pustce nad ziemią.

Prawą ręką Judym objął swą „żonę” i lewe ramię jej uczuł na swej piersi, a głowę tuż przy policzku. Schylił się i zanurzył usta w bujne, wzburzone, czarne włosy dziewicze, owiane czymś pachnącym...

Łzy płynęły z jego oczu, łzy szczęścia bez granic, które zamknięte jest w sobie i którego już się nie doświadcza po wtóre.

Wzdrygnęli się, gdy stopy ich uczuły grunt twardy na skraju lasu, ale nie zwolnili kroku. W gąszczu sosen stała już ciemność jak czarny marmur, którą kiedy niekiedy niby złota żyłka

przecinał lecący robaczek świętojański. Wzrok ich spostrzegał te złote nici i omijając świadomość umieszczał piękny, nikły ich półblask na wieczne czasy w pamięci jak drogocenny skarb życia.

Było tak cicho, że słyszeć się dawał jakiś odległy, odległy szmer wody, gdzieś sączący się z upustu.

Pannie Joannie wydało się, że ten głos coś mówi, że to on woła...

Podniosła głowę, żeby usłyszeć... Wtedy uczuła na swych wargach niby rozzarzone węgle. Szczęście jak ciepła krew wpłynęło do jej serca falą powolną. Słyszała jakieś pytania, słowa ciche, święte, spod serca. W ustach swych wyrazów znaleźć nie mogła. Mówiła pocałunkami o głębokim szczęściu swym, o dobrowolnej ofierze, którą witała...

## SZEWSKA PASJA

Sposobem z roku na rok praktykowanym Krzywosąd załatwiał szlamowanie stawu, gdy wtem

już w pierwszej połowie czerwca zjechało tyle kuracjuszków, że ukończyć roboty nie było można. Tylko z części stawu od strony rzeki muł był wybrany do głębi. Reszta przedstawiała się w postaci bagna, które woda ledwo była w stanie przykryć. Po spuszczeniu jej błotko wysychające okryło się zielonym kożuchem wodorostów i szerzyło woń ohydłą. Robotnicy pracujący przy rydlu i taczkach dostawali febry, nawet sam Krzywosąd miał gorączkę i dreszcze.

W okolicznościach tak trudnych, gdy przy obcych nie było sposobu wywozić za park furami zgniłego szlamu, Krzywosąd wpadł na myśl genialną. Nic nikomu nie mówiąc, kazał w pewnym miejscu rozkopać groblę do gruntu, wstawić w ten otwór pochyłą rynnę z desek szerokości łokcia i puścić na nią strugę wody, która sączyła się na dnie spuszczonego stawu. Utworzyło to rodzaj kaskady, która zlatywała dość bujnie do koryta rzeki. Wówczas Krzywosąd postawił kilkunastu silnych ludzi z taczkami, innych z rydlem, rozkazał im wybierać szlam,

zwozić go po narzuconych deskach do rynny i rzucać w to drewniane łożysko strumienia. Woda pędząca z wysoka porywała szlam i niosła go w stronę Morza Bałtyckiego.

Był to figiel tak wyborny, że wszyscy zdumieni byli jego oryginalnością. Ciężkie wozy nie roznosiły po parku ciekącego szlamu, brudni ludzie nie łazili ścieżkami — i tylko sam staw cuchnął jeszcze ile się dało. Liczono jednak, że przy wzmożonym natężeniu pracy za dwa, trzy tygodnie dno stawu obniży się i wodę można będzie wstrzymać.

Judym zatopiony po uszy w miłości nie wiedział o niczym. Gdy idąc przez groblę do zakładu na obiad zobaczył po raz pierwszy maszynę wodną, stanął oniemiały. Tak dalece nie rozumiał, co to ma znaczyć, że zapytał pierwszego z brzegu pracownika:

— Co to, chłopcy, robicie tutaj?

— A szlam na wodę puszczamy, proszę pana doktora.

— Na wodę szlam puszczacie?

— Juści.

— A przecież nad tą wodą stoją wasze wioski. Jakże ludzie będą bydlę poili i korzystali z tej wody?

— A to nie nasze *dzieło*. Pan administrator kazał, my wywalamy, i spokój.

— A... skoro pan administrator kazał, to wywalajcie, i spokój!

— Tu już chłopcy przylatywały z Siekierek — rzekł któryś — prawowały się z panem, z administratorem, że, *padają*, w całej rzece woda zmulona, ale ich pan sklął i wygnał. Tyle wygrali.

Judym odszedł. Udał się brzegiem strumienia w zamiarze, nie bardzo zresztą wyraźnie sformułowanym, zbadania, czy w istocie woda jest zmulona. Szedł długo po łące świeżo skoszonej i z wzrastającą wściekłością patrzył na burą, gliniastą ciecz, która leniwie toczyła się w korycie rzeki.

W pewnej chwili złość ta ustała. Zastąpiło ją promienne przypomnienie czegoś miłego... Judym zapomniał o rzece. Zapomniał tak doskonale, jak gdyby stracił z oczu rzeczywistość,

i sam widział senne marzenia, daleko bardziej realne i niewątpliwe niż staw, rzeka, szlam, chłopi, Krzywosąd... Dopiero w parku ocknął się i podniósł głowę.

Przy świeżo zbudowanej śluzie stał Krzywosąd i dyrektor.

Na ich widok młody lekarz uczuł wstręt fizyczny. Uczuł, jakby te dwie figury wydzielały ze siebie ohydny fetor szlamu. Postanowił, że nie zbliży się do nich, uda, jakoby ich nie widział, i odejdzie inną drogą.

Cóż go, u stu tysięcy, obchodzą wszelkie sprawy ze szlamem! Czy ta rzecz jest jakimś ważniejszym nadużyciem w szeregu miliarda innych? Czemuż jej właśnie ma poświęcać tyle uwagi? A niech robią dziady, co im się żywnie podoba! To ich rzecz. Zamiast leżeć od dawna, niech bryka jeszcze ten chodzący cmentarz! Dość się z nim i tak nasiepał. Wykazał wszystko, co uważa za złe i dobre. Nie chcą go słuchać, robią swoje — no to niech będzie!



Szybkimi kroki szedł w swoją stronę i na samym szczycie wszelkich innych argumentów znalazł w głowie jeszcze jeden:

„To jest rola zakładu leczniczego: dostarczać najciemniejszej warstwie ludności zmulonej wody do picia. Zamiast tę warstwę... Cha, cha... Pyszna ilustracja całej afery. Ten śmierdzący szlam w rzece — to jest działanie zakładu leczniczego. Ilustracja szumnych frazesów o »roli społecznej zakładu w Cisach«”.

Nie mógł wytrzymać. Ten tylko dowcip im powie — no i basta! Powie to Krzywosądowi, nie, nie, nie Krzywosądowi! Powie dyrektorowi w żywe oczy i raz na zawsze skończy dyskusję. Będzie to ich pyrrusowe zwycięstwo<sup>46</sup>.

Zdawało się, jakby ten argument ujął go za kołnierz i nawrócił z drogi. Jasność faktu i logika rozumowania była tak oślepiająca, że wobec niej wszystko znikło jak cień wobec świa-

---

<sup>46</sup>*pyrrusowe zwycięstwo* — zwycięstwo okupione zbyt wielkimi stratami, równające się klęsce. Określenie pochodzi od imienia króla Epiru Pyrrusa (319–272 p.n.e.), który w wojnie z Rzymianami (280 i 279 p.n.e.) w dwóch wygranych bitwach poniósł tak poważne straty, że miał wówczas zawołać: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a jesteśmy zgubieni!”. [przypis redakcyjny]

tła. Gdyby kto biciem zmuszał Judyma w owej chwili do wyszukania argumentu, który by osłabił siłę konceptu o tej mniemanej roli zakładu, nie wydusiłby z niego ani jednej myśli. Dyrektor i Krzywosąd widzieli zbliżenie się młodego asystenta, ale udawali, że prowadzą ze sobą dyskurs ważniejszy niż wszystko na świecie. Dopiero gdy witał się z nimi, zwrócili się doń nie przerywając zresztą ani na chwilę ożywnego traktatu o jakimś włosieniu do materaców. Judym długo milczał, obojętnie patrząc na chłopów unurzanych w błocie, bosych, bez ubrania, którzy pchali przed sobą wielkie taczki.

Wszystko kipiało w nim i przewracało się do góry nogami. W myśli powtarzał swój dowcip i układał go w formę literacką. Chciał to wyrazić w uwadze niewinnie zjadliwej, która by pomogła treści wejść jak lekkie ukłucie, a na zawsze otruła umysły przeciwników.

Rzekł wreszcie, pasując się ze sobą, żeby ani jeden dreszcz muskułu nie zdradzał wzruszenia:

— Co to panowie robią tutaj? Czy można zapytać?

— Jak kolega widzi... — rzekł dyrektor, troszkę blady.

— Tak, widzieć widzę, ale wyznaję, że nie rozumiem.

— Wozić teraz nie można, więc Krzywosąd wymywa staw wodą.

— A... wymywa staw...

Dyrektor umilkł. Po chwili zapytał tonem zimnym i zdradzającym gniew:

— Panu się to nie podoba?

— Mnie? Owszem. Dlaczegoż miałoby mi się nie podobać? Jako motyw do rodzinnego pejzażu...

— Jako motyw do rodzinnego...

— Jest to zasada dobrego gospodarstwa, żeby zużytkować każdy środek na korzyść przedsięwzięcia. Skoro mam... — mówił Krzywosąd.

Judym, z ostentacją nie słuchając tego, co mówił administrator, powtórzył z naciskiem, zwrócony tylko do dyrektora:

— Jako motyw do rodzinnego pejzażu. Przekonałem się, że to, co częstokroć zowiemy rolą zakładu w historii okolicy, przypisywanie mu jakiegoś społecznego czy higienicznego znaczenia, jest tylko rodzimą blagą, efektem, reklamą, obliczoną na głupotę histeryczek. Dla mnie tedy jest to widok taki sam jak każdy inny.

— Nie lubię tych pańskich lekcji! Jestem człowiek stary...

— A ja jestem człowiek młody, który starcem w danej chwili żadną miarą być nie może.

— Mój łaskawy panie!

— Jestem lekarz! Uważam za rzecz ze stanowiskiem lekarza niezgodną to, co pan dyrektor pozwala czynić swemu totumfackiemu.

— Mój dobrodzieju! — mruknął groźnie Krzywosąd — rachuj no się, z łaski swej, ze słowami! Także! Totumfacki... *Nec sutor ultra crepidam*<sup>47</sup>.

---

<sup>47</sup>*nec sutor ultra crepidam* (łac.) — przysłowie odpowiadające polskiemu: pilnuj, szewcze, kopyta. [przypis redakcyjny]

— No, no! daj no pokój z twoją tam łaciną... — krzyknął dyrektor. — Ja ci tu dam łacinę!

Zwracając się zaś po chwili do Judyma, mówił z cicha, ale dobitnie:

— Pańskie admonicje nie wywrą tutaj żadnego wpływu ani na mnie, ani na nikogo.

— Wiem o tym dobrze. Ja...

— Jeżeli pan wiesz o tym dobrze, to nie rozumiem, po co się mieszasz w nie swoje rzeczy. To do pana, kochany panie, wcale nie należy.

— Czy kwestie higieny należą do pańskiego totumfackiego?

— Tu nie ma wcale ani kwestii higieny, ani tym mniej nie ma totumfackiego. Co się panu wydaje? Gdzie Rzym, gdzie Krym? Higieny!

— Higiena jest, ale dla ludzi bogatych. Chłopy i ich bydło niech piją muł z naszego stawu. Otóż ja panu dyrektorowi krótko powiem: przeciwko temu, co się tu robi, ja kategorycznie protestuję!

— A protestuj sobie, kochany panie, ile wlezie... Ile tylko wlezie! Krzywosąd, najmiesz mi na jutro dwa razy tyle robotników co dziś.

— Panie Piórkiewicz — zawołał Krzywosąd do ekonoma — każ pan pójść komu po wsi, żeby do roboty przyszło jeszcze z ośmiu, z dziesięciu.

Zwracając się do Judyma, administrator zaśmiał się szyderczo, z całego serca, i rzekł:

— No, i cóż pan na to, panie reformatorze?

— Ja nic na to, stary ośle! — rzekł Judym spokojnie.

Krzywosąd przez chwilę patrzył w niego wlepionymi oczyma. Wtem zbladł i, wznosząc pięść, o krok się posunął. Judym dostrzegł ten ruch i stracił świat z oczu. Jednym susem przypadł do Krzywosąda, chwycił go za gardziel, targnął nim z dziesięć razy, a potem pchnął go od siebie. Administrator stał tyłem do stawu. Rzucony przez Judyma, zleciał z grobli, runął w szlam i zanurzył się w rzadkie bagno, tak że ledwo go było widać. Chłopi cisnęli rydle i pospieszyli mu z pomocą.

Judym nie widział, co było dalej. Oczy mu zaszły wściekłością, jak bielmem. Szedł drogą klnąc głośno, ordynarnie...

## GDZIE OCZY PONIOSĄ

Nad wieczorem oddano mu list dyrektora ze słowami: „Wobec tego, co zaszło, spieszę oświadczyć Sz. Panu, że umowę naszą, zawartą przed rokiem w Warszawie, uważam za rozwiązana. Sługa — Węglichowski”.

Judym przeczytał to pismo z niedbałością, odwrócił się na drugi bok i sennym wzrokiem patrzył w deseń pokrowca kanapy. Wiedział doskonale, że lada chwila taki list mu przyniosą. Wmawiał w siebie, że nań ze wzgardą oczekuje.

Starał się nie myśleć o niczym, wypocząć, uciszyć się, ostygnąć i dopiero przyłożyć ręki do wszystkiego, co trzeba przed wyjazdem załatwić. Był nawet kontent ze siebie, z tego mianowicie, że się uspokaja świadomie, systematycznie. Przenikliwym wzrokiem wewnętrznym

spostrzegał dygoczącą chorobliwie namiętność do Cisów, która teraz musiała być zwalczona, żeby się nie mogła zmienić w coś głupiego. Przy-  
mknął powieki i zaczął usilnie wyliczać pół-  
głosem pewne związki chemiczne. Ledwie jed-  
nak szepnął trzy nazwy, uczuł pytanie, które go  
pchnęło z miejsca jak cios fizyczny:

„Czemu ja przed tą awanturą nie posze-  
dłem do domu?”

Żałość ukryta w tych słowach była tak nie-  
nasyconie bolesna, tak ostra, tak wydzierająca  
z wewnątrz, że można ją przyrównać chyba do  
haka, którego koniec utkwił w żywym płucu,  
drze je, a zarazem całe ciągnie ze sobą. Ale kie-  
dy jego żelazo największą szerzyło boleść, kiedy  
zdawało się wyczerpywać swą siłę, wtedy uka-  
zała się jeszcze inna katusza: uśmiech panny  
Joasi spotkanej na łące.

W całym tym zdarzeniu Judym o niej za-  
pomniał, a raczej nie mógł pamiętać. Teraz zja-  
wiła się niby zdumienie bezsilne, bolesne, mil-  
czące...



„Cóż tu teraz począć? Wyjechać, rozstać się? teraz właśnie? Dziś, jutro, pojutrze?”

Uczucie, które go wtedy opanowało na samą myśl o wyjeździe, było głupie, tchórzowskie i nędzne. Trząśł się wewnątrz ze strachu i szalał z żalu. Wszystko zerwało się w jego duszy. Męskie uczucia rozprysły się jak kupa zgonin<sup>48</sup>, w którą podmuch wichru uderzył.

Nadszedł wieczór. Roztwarte okno wpuszczało do pokoju zapach róż kwitnących. Nad murem, który część parku otaczał, między pniami drzew, lśniła się jeszcze zorza złotoczerwona. Ciepły mrok napełniał już pokój i wolno zaścielał uliczkę w środku grabów.

Judym spostrzegł jeszcze głąb jej czarującą i szary mur w oddali, ale w pewnych momentach tracił wszystko z oczu, jak gdyby ciemność wzrok mu wyżerała. Pomimo wszelkich usiłowań obrony zapadał coraz głębiej w jakąś nieprzeniknioną ciemnicę. Czuł to, że z nim razem idą tam wszystkie wzruszenia miłosne i że na dnie przeraźliwym zostaną w pył rozsypane.

---

<sup>48</sup>*zgonina* — plewa. [przypis redakcyjny]

Leżał bezsilny jak drewno, doświadczając tylko dreszczu nagłych postanowień, o których w tej samej chwili miał dziwne wiedzenie, że zwiastują tylko obecność w duszy jakiejś nędznej choroby.

W pewnej chwili posłyszał szelest, który mu sprawił ból, jakby od ukłucia. W błękitnej tafli okna ukazała się postać kobieca. Judydym bardziej po łzach płynących do serca niż siłą wzroku uczuł Joasię. Gdy stanął przy oknie i złożył jej głowę na swych piersiach, zaczęła coś mówić do niego, prędko i cicho...

Nie był w stanie tych słów pojąć, czuł tylko, że teraz dopiero ma w sobie swojego ducha. Z piersi jego wydarło się westchnienie:

— Już jutro...

— Jutro...

— Nie mogę być ani chwili, ani chwili;

— Po cóż to było, po co to było?

— Musiałem tak zrobić. To nie ode mnie zależało. Teraz mszczą się na mnie moje własne usiłowania. Gdybym był człowiekiem spokojnym, gdybym się zgodził na wszystko... „Kto

zmaga się ze światem, zginąć musi w czasie, by żyć w wieczności”.

Mówił to zdanie z rozkoszą, z pewnym szczególnym a przyjemnym samochwalstwem, z jakąś czułą dumą. Wtedy pierwszy raz pachnące, małe usta znalazły jego wargi i złożyły na nich cudowną pieśczętę.

— Dokąd pojedziesz? — pytała wyrywając się z jego ramion.

— Czy ja wiem? Zapewne do Warszawy. Jeszcze o tym nie myślałem.

— A o czym?

— Zupełnie o czym innym.

— O czym?

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnął ręce, ale w tejże chwili znikła mu z oczu. Miał pełne serce i usta najczulszej mowy... Tymczasem już ani jeden wyraz nie mógł być przez nią wysłuchany. Judym patrzył w mrok ogarniający ogród, w mrok, co zdawał się być jej żywiołem, z którego ona pochodzi, który jest nią samą. Pachnie i napełnia szaleństwem...

Długo, do późna w nocy, został sam, zatopiony w sennym oczekiwaniu, na które z ciemności zdawały się patrzeć jej oczy. W pewnej chwili ten urok zgasł, jakby spłoszony przez mokry wyziew idący z ciemnego parku. Judym przypomniał sobie, że rano ma jechać.

Nie myślał ani przez chwilę, dokąd się uda, ale znowu przyszły go szarpać paroksyzmy żalu. Zapalił lampę i martwym wzrokiem oglądał swój lokal zimowy. Były to dwie ogromne sale na parterze starego zamku.

Zostały tu w nich jeszcze niektóre ślady dawnej, zeszlowiecznej okazałości. Ściany zastawione były makatami w ramach, drzwi i okna ujęte w boazerie pełne wdzięku. Dokoła biegły stare, proste, złożone gzymsy, które tu i ówdzie rozkwitały w filigran królewskiego stylu. W kątach pokoju i między oknami błyszcząły stare konsole, złożone z kilku tafel lustrzanych.

Nad pięknym kominkiem uśmiechał się w głębi starych ram portret młodej kobiety z odsłoniętymi ramionami i z uśmiechem, który

do każdego widza zdawał się przemawiać: „kochaj życie nade wszystko...” Gęste i bujne zwoje włosów leżały u jej czoła jak pęki czarnych kwiatów. Purpurowe usta, jeden policzek i ramię oświetlone były jakimś blaskiem rozkosznym, niby srebrem marzycielskim księżycy. W rysach tej twarzy zamknięty był szatański czar, może miłość twórcy tego malowidła. Judym lubił patrzeć w „swój” portret. Piękne bóstwo wystawione na tym płótnie było dlań jakby siłą, która pociąga w przeszłość, w lata zamierchłe. Ono sprawiało, że w subtelnej wizji przypatrywał się tym, co te pokoje zamieszkiwali, co tam cieszyli się i cierpieli, byli dumnymi paniami, a później dokądś odeszli jak obłoki przesuwające się w górze...

Teraz, gdy światło lampy upadło na portret, na te miłe, wykwintne, przyjemne sale, na sprzęty wygodne — Judym zadrżał. Rozumiał, że nie ma siły, aby to wszystko opuścić. Każdy mebel zdawał się wychodzić z mroku i coś wspominać. Każdy z nich był jak najwierniejszy przyjaciel, który w siebie przyjął jakiś

szczegół, jakąś cząsteczkę sekretu miłości dla panny Joasi, a teraz wszystko wyznawał. Tu, w tym apartamenciku, wszystko było nią samą. Ani razu w nim nie była, ale radosne marzenia i myśli pełne rozkoszy ukryły ją tutaj ni-  
by tajemniczą mieszkankę, której nigdy niczyje oczy nie zobaczą. Wiedział o niej stary portret i uśmiech jego grozić się zdawał, że lada chwila rozpowie wszystkim cudowną plotkę.

Ileż niewysłowionego uroku chowało jego milczenie!

Mały stoliczek w rogu zarzucony książkami... Na jego widok Judym łkał i szlochał wewnątrz. Wówczas gdy wbiegł do tego pokoju z radosną tajemnicą, którą w sobie odkrył ujrzawszy Joasię na skraju leśnym, zatopiony w muzyce rozkwitającej rozkoszy siedział nad nim podparłszy głowę rękami...

Teraz żal brał w nikczemne swe dłonie tamtą chwilę, chwilę jak prześliczne kwiaty nadobne, których siedem kielichów zawsze razem wykwiata. Ten żal obrywał i gniótł ich płatki podobne do płomienia.

Na widok tych wszystkich rzeczy Judym spostrzegł w sobie nędzne uczucie, które swój łeb obrzydły jak czoło foki wysuwało od chwili do chwili z ciemnej głębin. Zamyślił się i, przymknąwszy oczy, badał, w jakiej by formie pogodzić się z Krzywosądem, przeprosić dyrektora. Przyszła mu na myśl intrygantka Listwina, żona starego kasjera. Jej użyje...

Rzucił się na sofę i głęboko, rozpaczliwie, nikczemnie marzył, jak przeprowadzić to wszystko. Sto razy układał swój plan, swą intrygę. Wyjedzie za dwa dni, wyjedzie pojutrze. Jutro! Nie, nie jutro, za skarby świata! Przez cały dzień będzie się krzątał około tego, żeby zjednać dyrektorową i tamtą jędzę. Te baby urządzają porozumienie między nim i dyrektorem. Dyrektor ze swej strony udobrucha Krzywosąda.

Gdy wróci, zacznie nowe życie. Och, nowe, ciche, domowe życie! Raz trzeba skończyć z głupotą! Raz trzeba stać się człowiekiem poważnym! Cicho wezmą ślub jeszcze w tym miesiącu... I znowu odsunęło się wszystko na plan daleki. Oto spacer we dwoje po alejach. Mijają

wystrojone kuracjuszki, piękne i brzydkie panie. Wszyscy zwracają na nich uwagę. Judym czuje coś podobnego jak chudopacholek, który za pan brat rozmawia z wielkim i sławnym mężem wśród tłumu, który zazdrości... Chełpi się narzeczoną, pyszni się nią, jej olśniewającą, wszechwładną pięknnością, jej każdym ruchem, gibkim jak drzenie młodej gałęzi. Idą pośród tłumu nikogo nie widząc, zatopieni w sobie jak w zapachu tuberozy...

Był już brzask, gdy Judym zasnął na krótko. Zbudził się przeziębły. Usiadł na łóżku i zdumionym wzrokiem patrzył dokoła siebie. Jak młyński kamień spadła wtedy na jego piersi konieczność wyjazdu. Już nie rozmyślał nad nią ani jej pragnął odsunąć, tylko zbierał w sobie siły do dźwigania.

Ze trzy godziny pakował swe rzeczy, ubranie, książki w starą walizę. Około ósmej, kiedy wózek pocztowy odchodził do kolei, był gotów. Zostawało jeszcze kwadrans czasu na śniadanie. Judym wypił filiżankę kawy w restauracji z takim pośpiechem, jakby go kto gonił,



i szedł rzucić jeszcze okiem na szpital. Gdy stanął u furty tego zakładu, w który tyle włożył swych namiętności, trysło w duszy jego nowe, niewiadome źródło. Uśmiech wyniosłości otoczył mu usta, oczy nabrały lodowatego wyrazu. Z tym uśmiechem na twarzy minął salki szpitalne, prędko obejrzał chłopca chorego na tyfus i nikogo nie żegnając wyszedł. Nie spojrział nawet w stronę pałacu i w okna, za którymi mieszkało serce jego serca. Tylko w rogu uliczki, nim na zawsze stracił widok szpitala, odwrócił się i przez kilka sekund wpatrywał się weń przymrużonymi oczyma. Twarz skurczyła mu się od tego i spazmatycznie zadrgała. Wtedy odszedł dużymi krokami.

Już wózek pocztowy stał przed werandą zamkową i furman prosił z oddali o pośpiech. Judyś szybko wbiegł do mieszkania i coś jeszcze chciał włożyć do walizy. Odpiął prędko sprzączki pasów rzemiennych, otworzył wieko, umieścił co trzeba we właściwej przegródce i począł ją co tchu zapinać. Gdy tego dokonał, zdało mu się na chwilę, że jest nie w tym miejscu...

Jest w przedpokoju ciotki. Spieszy się na lekcje, co żywo, co żywo! Musi się spieszyć, bo, po pierwsze, od tego zależy jego życie, po drugie, może dostać złe świadectwo, po trzecie, ciotka może zauważyć, że tu jest jeszcze, może się we drzwiach ukazać i z wściekłości kopnie go nogą w zęby albo mu plunie w oczy.

Musi iść, musi iść...

Co prędzej, psie nikczemny!

Czemuż go coś w sercu tak niewysłowienie boli? Czemuż daleko gorzej niż wtedy? Zawsze i wszędzie...

I jakby cień jego osoby, na małą, na niewymownie małą miareczkę czasu stanęło przy nim coś tak wiadome, coś bliskie, coś najbardziej bliskie, coś tak bliskie jak trumna: samotność...

Zdawało się, że mówi niezrozumiałym językiem, od którego zimno przejmuje i włosy się jeżą na głowie:

— Nic, nic, ja poczekam.

Po chwili był już na bryczce. W drodze ku stacji czuł w głębi siebie zewnętrzny spokój,

który był nawet przyjemny i zaciekawiający, jak pierwsze napady gorączki, z których jakaś ciężka choroba wykwita. Nie myślał o sprawach Cisowskich, nie żałował niczego. Czuł tylko nieprzewyciężony wstręt do nowych nasuwających się krajobrazów i formalną obawę stacji, wagonu, podróżnych. Gdy jednak znalazł się w sali dworca kolejowego, wszedł między motłoch i zapomniał o tej przykrości. W przedziale klasy drugiej, do którego się wcisnął, nie było nikogo, toteż zaraz rzucił się na wyściełaną sofę z pragnieniem snu.

Spać, spać...

Był znużony, czuł na sobie ciężar tysiąca pudów. Ćmił jednego papierosa za drugim. Oczy jego ustały. Zwrócone na szybę chłoneły w siebie kolor nieba, czasami szczyty drzew, słupy i druty telegraficzne, zupełnie jak martwe lustra, które w sobie obraz trzymają, ale nic o nim nie wiedzą. Po szybie z góry na dół i z dołu w górę biegły nieustannie równoległe kreśły drutów telegraficznych. Oto wolno, wolno

idą, czają się w kierunku dolnej ramy, aż gwałtownym rzutem kryją się za nią, jakby upadały w ziemię. Po chwili wylatują stamtąd jak spłoszone ptaki i mkną w górę przez całą wysokość szyby. To znowu w jej samym środku nieruchomo stoją jakby w zadumaniu, dokąd pójść teraz...

„Jeżeli pójdą do góry... — marzy Judym — jeżeli pójdą...”

Serce jego ściska się i łka, bo ta wyrocznia w małym, *templum* przejrzystym schyla się na dół i wolno idzie z jakimś niemym śmiechem szyderstwa.

Wtedy obwijały się koło jego duszy przywidzenia, półuczucia bezimienne, przesady, dziwy, strachy. Biegły skądś niespodziewane, jakby chropawe smugi na lustrzanej tafli wodnej. Westchnęły i przepadły... To znowu snuły się jak wodorosty, jak zielenice, jak długie żyły, z których wykwitają na powierzchni białe lilie — jak płaskie wstęgi i nici wodne, co oplątują ciało topielca, gdy tylko zachłyśnie się wodą,

utraci tęgość swych ruchów i bez sił idzie na dno.

Zdają się czekać tam ze skurczonymi szponami w ciągu długich dni i nocy, ustawicznie z głębin wypatrując ogarniętego rozpaczą. Stwory te są łudząco czarowne, jakieś takie niepodobne do niczego na ziemi, głupie, bez sensu. Ni to krzewy, trawy, rośliny... Chwieją się uroczyście i dotykają wzajem śliskimi ciałami o barwie zielonej, brunatnej, żółtej. To jakby sprawiały zagadkowe wiece, to jakby coś nuciły kołysząc się w takt melodii fal płynących nad ich głowami.

Jakie są przedziwne, gdy ich postaci zaglądną w oczy topielca! Człowiek rozsądny, który je z wody wydrze i na brzegu zdychające rzuci, który je rozdzieli i zbada, widzi, że to tylko nędzne chwasty wodne. Ale ten inny, kto patrzy w ich łodygi z zielonymi włosy, z rękami, które się jak u polipa rozłazą, z wargą, która całuje chichocząc, z oczyma zakrytymi przez kudłate, obmierzłe rzęsy...

Judym błąkał się wśród przeczuć jak topielec po dnie wody. Od chwili do chwili natężał ramiona, wstrząsał się i wypływał. Wtedy miał w oczach coś jakby widmo Joasi, w głowie szelest jej sukien, a zapach jej ust na ustach. Chwile te trwały krócej niż słowo. Zdmuchiwała je świadomość jak śmierć, za którą w te tropy szedł żal niestrudzony, jednaki, a wiekujące nowy. Płynął z serca, zaczepiał się o każdy widok znikającej przestrzeni, o każdą krzewinę, co zostawała gdzieś tam bliżej Cisów — i jak pracowity robotnik ukazywał coraz większą, coraz większą odległość.

Nade wszystko wszakże były dokuczliwymi pewne podrażnienia, ślepe rzuty nerwów. Niektóre obrazy, rzeczy, myśli, ułamki rozumowań, sylogizmy, koncepty — wprost szarpały go kleszczami. Wówczas ogień najdokuczliwszej boleści parzył duszę. Płomienne szpony bezsilności wszczepiały się w nią, wywracały na nice i trzęsły. Darmo samego siebie znieważał jak pijanego żebraka, który się wałęsa bez celu.

Pociąg zatrzymywał się na stacjach, biegł, znowu stawał... Judym nic o tym nie wiedział. Dopiero na wielkiej stacji, gdzie krzyżowało się kilka dróg żelaznych i gdzie trzeba było czekać całą godzinę, musiał wysiąść i wejść do sali. W tłumie uczuł się tak słabym, skrzywdzonym, bezradnym i nieszczęsnym, jak nigdy jeszcze w życiu. Jakiś sprzęt przypomniawszy mu jego zimowe mieszkanie w Cisach, wykwinął jego ciszę i spokój. Był tym wspomnieniem wzruszony do łez. Żałował tamtych miejsc z bólem w sercu, z niemocą w rękach i nogach. Wyrzucał sobie do nieskończoności upór, kłótnię i zajścia, a nade wszystko — ostatnie. Z jasnowidzącym niesmakiem spostrzegawszy całą głupotę wszystkiego, co zrobił ostatnimi czasy. Usiłował wyrzucić to wszystko z pamięci, zatrzeć te wspomnienia. Teraz przyznawał zupełną, bezwzględną słuszność Krzywosądowi i dyrektorowi. Widział, jak rozsądnym i taktownym było postępowanie Węglichowskiego... Gdyby się w tłumie ukazały ich twarze, jakże miłym byłyby zjawiskiem!

Ktoś w tłoku wymówił słowo: — „Cisy”.

Wtedy Judym nie mógł dłużej wytrzymać. Chodził między ludźmi, ściskając zęby i pięści, dusząc w piersi wybuch łkania.

W takiej chwili, jakby klątwe, zobaczył między osobami krążącymi po sali twarz znajomą. Machinalnie odwrócił się od tego widoku i w pierwszej chwili chciał uciekać. Za żadne skarby świata nie był w możności z nikim, a szczególnie z tym człowiekiem, mówić.

Usiadł w ciemnym kącie i spod oka go śledził, żeby nie dać się poznać, a w razie konieczności twarz ukryć w dłoniach. Gotów był spełnić najdziwaczniejsze grubiaństwo, byleby tylko uniknąć zetknięcia.

Owym znajomym był inżynier Korzecki, wysoki, szczupły brunet, lat trzydziestu kilku. Judym spotkał się był z nim w Paryżu, a później odbywał razem przejażdżkę po Szwajcarii, gdzie Korzecki siedział dla zdrowia. W charakterze po trosze lekarza, a właściwie w charakterze ziomka i towarzysza włóczył się na swój koszt z inżynierem z zakładu do zakładu, w cią-



gu jakich trzech miesięcy. Korzecki był wówczas przepracowany i chory na wyczerpanie nerwowe. Mieli ze sobą długie rozmowy, a w gruncie rzeczy staczali zacięte kłótnie i, dogryzając sobie nawzajem, przez pewien czas błakali się we dwójkę. Wreszcie, po jednej z ostrzejszych dysput, rozeszli się w przeciwne strony świata: Judym wrócił do Paryża, a Korzecki do kraju.

Teraz widok towarzysza szwajcarskiego był dla doktora przykry nie do zniesienia. Tamten chodził wolnym krokiem po sali, wydalał się na peron, znowu wracał...

Był to przystojny mężczyzna. Wysoki, kształtny, pełen dystynkcji. Ubrany był nie tylko według ostatniego wzoru mody, ale u doskonałego krawca. Jego jasne palto i podróżna czapeczka, żółte trzewiki i ręczna walizka tak dalece wyróżniały się od wszystkiego, co było w sali, że wyglądał niby jakiś utwór cywilizacji zachodnioeuropejskiej na tle szarych kulfonów małopolskich.

Pierwszy pociąg zabrał znaczną część gości i odwiózł w którąś stronę świata. Judym

nie wiedział, dokąd ci ludzie wyjechali. Było mu najzupełniej wszystko jedno, w którą stronę i do jakiego celu sam się uda. Jechał w kierunku Warszawy, do wspólnego, wielkiego domu wszystkich tułaczów, ale kiedy tam przybędzie, czy się w drodze zatrzyma i gdzie to nastąpi — z tego wcale nie zdawał sobie sprawy.

Zatopiony w sobie, nie zwrócił wcale uwagi, że Korzecki przed nim stanął. Spostrzegł się wtedy dopiero, gdy tamten mówił:

— Przecz—że to szanowny eskulap ma mi—nę tak *zmachlajdezowaną*<sup>49</sup>?

Judym drgnął i krzywe spojrzenie cisnął w naręta. Wyciągnął rękę i dotknął jego śliskiej rękawiczki.

— Skądże i dokąd jedziecie? — mówił wolno, w sposób prawie obelżywy.

— Ja do siebie. A wy?

— A ja... przed siebie.

---

<sup>49</sup>*zmachlajdezowany* — nieprzytomny jak po przepiciu (przymiotnik utworzony od nazwiska właściciela znanych w Warszawie pod koniec XIX w. zakładów browarniczych, Machlejda). [przypis redakcyjny]

— Jest to wcale oryginalny kierunek! Pro-  
wadzi niby do jakiego mieszkania czyli też na  
wzór punktu poruszającego się w przestrzeni?...

Judym formalnie dławiał się wyrazami. Z nie-  
chęcią, z przymusem podniósł oczy na towa-  
rzystę. Była to ta sama twarz, ale jeszcze bar-  
dziej trudna. Jak niegdyś, podobnie do dwu  
płomieni pełgały jej oczy. Czarne, głębokie, smut-  
ne oczy. Często zarobione do cna i upa-  
dłe, kiedy indziej świecące się od nienawiści  
i potęgi, jak białe kły tygrysa. Jedno z nich,  
lewe, było jakby większe i bardzo często cał-  
kowicie znieruchomiałe. Najszczerzy ich wy-  
raz, najbardziej prawdomówny — był ironią.  
Ten wzrok nieznośny, przenikliwy jak promień  
Roentgena, uparty, ciężki, zapierał czasem mó-  
wiącemu dech w piersi, niby ciemny otwór lu-  
fy rewolweru raptem przystawionej do czoła.  
Judym bał się zawsze tych spojrzeń, bardziej  
niż najlepiej zbudowanych sylogizmów. Bezli-  
tosna ich badawczość nie ufała ani jednej sen-  
tencji wypowiedzianej przez usta i zdawała się  
zapuszczać palce do korzeni każdej myśli, każ-

dego wzruszenia, każdego odruchu, do tych rzeczy skrytych, jakich człowiek sam w sobie spostrzec nie ma siły. Wzrok Korzeckiego szpiegował w rozmówcy każdą, choćby najlepiej schowaną, nieprawdę, pozę, każdy drobny fałsz. A znalazłszy taką gratkę, rzucał się z radością, z dziwką uciechą i bawił się jej podrygami, jak kot myszą schwytaną w szpony. Tysiące udanych zdziwień, sfabrykowanych wylewów admiracji, chytrych podnieceń do dalszej, niewinnej blagi strzelały z jego czarnych źrenic, jakby żywym srebrem powleczonych. Aż wreszcie wypęzowało z nich wejrzenie prawdziwie szatańskie, tępy cios w piersi, który odbierał mowę i paraliżował myśli.

— Słyszałem coś, piąte przez dziesiąte, że zamieszkaliście na wsi — mówił siadając przy stole.

— W zakładzie leczniczym...

— Ach, prawda! W Cisach.

— Tak, w Cisach.

— No i dobre to miejsce?

— Niezupełnie.

— Pochlebiam sobie, że jednak można wytrzymać?

— Właśnie wyjechałem stąd.

— Na długo?

— Na zawsze.

— *Voilà!*<sup>50</sup> Na zawsze... Nie lubię tego wyrazu: „na zawsze”... Czyżby warunki rzeczowe?

— Powiem wam, Korzecki, otwarcie: jestem bardzo rozklekotany. Do tego stopnia, że mi mówić trudno. Nie gniewajcie się, z łaski swojej.

— Już to zauważyłem i przepraszam. Dobrze przynajmniej, że człowiek gada otwarcie. Znam się na tym i pierzcham jak senne marzenie. Tylko jedno maleńkie słóweczko: dokąd jedziecie? Może wam trzeba pieniędzy albo czegoś w rodzaju pomocy?

— Nie, nie! Jadę, zdaje się, do Warszawy.

W tej chwili, gdy to mówił, usłyszał gdzieś niedaleko, w pobliżu siebie, głos Joasi. Serce

---

<sup>50</sup>*voilà!* (fr.) — wykrzyknik w rodzaju: otóż to!; masz tobie! itp. [przypis redakcyjny]

ścisnęło się w nim i oczy zaszklily, jakby z nich życie uciekło.

— Powiem parę frazesów... — rzekł Korzecki — i odejdę. Czy można?

— Ależ mówcie.

— Otóż tak: jedź dobrodziej ze mną do Zagłębia<sup>51</sup>. Na krótko czy na długo — to wasza rzecz. Odpocznie ciało, odpocznie duch, rzucicie okiem...

— Nie, nie! Ja nie mogę nigdzie jechać.

— Powiem nawet więcej: w jednym przedsiębiorstwie jest tam teraz wakujące miejsce lekarza. Moglibyście ubiegać się o nie. Zresztą — to później.

— Ja do Warszawy... — mruknął Judym, sam nie wiedząc, dlaczego odrzuca tę propozycję. Mierziła go przede wszystkim niezbędność rozmowy z Korzeckim. Tamten, jakby zgadując jego myśli, mówił:

— Ja nie będę z wami ani gadał, ani się o nic rozpytywał. No?

---

<sup>51</sup>Zagłębie — mowa o Zagłębiu Dąbrowskim, ośrodku przemysłu górniczego i hutniczego. [przypis redakcyjny]

— Nie, nie.

— Gdzież chcecie stanąć w Warszawie? W hotelu? Gdy człowiek jest zmęczony i ma z nerwami...

— Ja wcale z żadnymi nerwami nic nie mam nic do roboty! Jeszcze ja będę chorował na nerwy, na te jakieś głupie nerwy! Znosić nie mogę tego szafowania nerwowością...

Korzeckiemu z lekka rozszerzyły się powieki i mały uśmiezek przemknął się wskroś twarzy. Wnet znikł i jego miejsce zajął wyraz niezwykły na tym obliczu: głęboki szacunek i uwaga. Judym spojrział na swego towarzysza i doznał ulgi. W istocie: dokądże pojedzie? Będzie się błąkał w ulicach Warszawy, tłumiąc w sobie drgawki nienawiści i tęsknoty?

— Ależ ja wam zrobię piekło swoją osobą...

— mówił głosem daleko mniej szorstkim.

— Pojedziemy w oddzielnych przedziałach, nawet wagonach, jeśli o to chodzi. Dadzą wam pokój do spania i także będziecie mogli wcale mię nie widywać.

— Cóż znowu?

— Nic znowu. Ja wiem, co mówię. Zresztą ja mam w tym pewne wyrachowanie.

— Co za wyrachowanie?

— Takie jedno.

— Ależ przecie ja już bilet kupiłem do Warszawy.

— No więc cóż z tego? Zaraz pójdę i kupię woma bilet do Sosnowca. Siedźcież tu spokojnie i martwcie się, ile wlezie w tak mały przeciąg czasu, a ja skoczę do kasy.

Judym powiódł okiem za odchodzącym i doznał przyjemnego wrażenia na widok jasnego kostiumu, który przesunął się w tłumie. Westchnienie ulgi wymknęło się z jego piersi. Przez krótką chwilę, myślał o tym, co to jest Zagłębie, i pomimo całej odrazy, jaką miał dla miejsc nowych i do tego szczególnie, co może w sobie zawierać ta nazwa, wolał to niż Warszawę. Niebawem Korzecki wrócił i z ostentacją pokazał bilet, który zresztą co prędzej schował do kieszeni. Zaszedł pociąg i Judym udał się machinalnie za swym nowym przewodnikiem do wagonu klasy pierwszej. Był sam w przedziale



i zaraz usiłując o niczym nie myśleć, rzucił się na sofę. Gdy wagon drgnął i ruszył się z miejsca, doznał zupełnej przyjemności z tego powodu, że nie jedzie sam i nie do Warszawy. Nikt tam nie wchodził. Dopiero po upływie godziny wsunął się cicho Korzecki ze swą głęboką skórzaną walizką w rękę. Usiadł w drugim kącie przedziału i czytał książkę. Gdy zdjął swą płytką czapkę, Judym dostrzegł, że łysina jego powiększyła się bardzo. Rzadkie, krótko przystrzyżone włosy czerniały jeszcze na cieniu, ale już naga skóra bielila się manifestacyjnie. Korzecki czytał z uwagą. Na jego ślicznych ustach przewijał się od czasu do czasu wyraz zimnej pogardy, quasi-uśmiech<sup>52</sup>, taki właśnie, jak wówczas gdy z kimś pozującym na wielkość ten „cynik” prowadził ożywioną dyskusję. Oczy wlepione w stronicę maltretowały ją jak człowieka. Judym spod rzęs przyglądał się Korzeckiemu i znienacka przyszła mu do głowy dziwna myśl: co stałoby się z Joasią, gdyby została żoną takiego człowieka. Chciał w tejże

---

<sup>52</sup>*quasi-uśmiech* — niby-uśmiech. [przypis redakcyjny]

chwili zobaczyć jej źrenice, chciał je sobie przypomnieć, ale oto wzrok jego utopił się we własnych łzach, oczy i twarz jak powódź zatapiających. Leżał tak nieruchomy, z całym wysiłkiem pracując nad zdławieniem w sobie dreszczów cierpienia. W pewnej chwili uczuł gorącą chęć, istną żądzę rozmowy z Korzeckim o Joasi, wyznania mu całej prawdy, wszystkiego. Już, już miał otworzyć usta i zacząć, gdy wtem coś innego, jakaś nikła reminiscencja niosła to na dół, niby ciężka śrucina, która ugodzi ptaka szybującego przez powietrze. Zapominał o tym, gdzie jest, co się z nim przytrafia, i w stanie owej półśmierci, w stanie tęsknoty, jak mógł, się grzebał.

Okolo godziny piątej z południa Korzecki złożył książkę i ściągnął z półki ciężką walizkę. Przygotowując się do opuszczenia wagonu rzekł z cicha:

— Wstawajcie, Judym; jesteśmy u celu.

Wyszli na peron dużej, ruchliwej stacji, minęli ją szybko i wsiedli do oczekującego powozu. Spasione konie niosły ich ostro przez mia-

sto, powstałe jakby w ciągu tygodnia. Domy były nie tylko nowe i ordynarne, ale zbudowane byle jak, z pośpiechem. Ulicami ciągnęły się głębokie bajora i wądoły. Zeschłe bryzgi błotniste widać było na wysokości okien pierwszego piętra. Obok nowych kamienic tuliły się jeszcze stare budy i domostwa w stylu piastowskim.

Okolica za miastem sprawiała wrażenie rzeczy wciąż przetrząsanej, i to nie w tym celu, żeby ją uporządkować, lecz dla wydobycia metodą rabunku tego, co zawiera. Wszystko zostające na miejscu było resztką. Co chwila dręczyły oko jamy, rowy, kanały, ścieki.

Gdzeniegdzie stała jeszcze kępa sosen, z rzadka rosnących jak żyto na piasku. Przez ten las widać było, co się za nim dzieje. Pewne przestrzenie były zarośnięte krzywą sośniną, skarłowaciałym wyrodkiem drzewa, inne — jałowcem. Ogół miejsca był pustką, nieużytkiem.

Na wszystkie strony biegły gościńce, drogi, ścieżki. Co pewien czas koła powozu stuknęły o szyny drogi żelaznej. Wszędzie widziało

się kominy, kominy i dymy ciągnące w dal po lazurowym niebie.

Droga biegła obok przeróżnych zabudowań fabrycznych, które już to łączyły się w dziwne gromady, już rozpryskiwały w szeregi mieszkań ludzkich. W sąsiedztwie tych skupień ukazywały się oczom jamy ogromne, głębokie, w których stała nie mając gdzie odpłynąć brudna, splugawiona, żółtoryza woda. Judyma widok tych dołów przyprawiał o smutek niewysłowny. Był to bolesny obraz sromoty. Nie może nigdzie odpłynąć, odejść, uciec, ruszyć się ani w tył, ani naprzód, nie może nawet wsiąknąć i bez śladu, bez pamięci, śmiercią zginąć. Nie służy już do niczego, bo ani za napój, ani za środek oczyszczenia jakiegokolwiek ciała. Nie dano jej nawet odbijać w sobie chmur i gwiazd niebieskich. Jak oko wybite, patrzy w górę ze straszliwym błyskiem, z niemym krzykiem, który goni człowieka. Przeklęta od wszystkich, służy za zbiornik zarazy. I tak musi istnieć na swoim miejscu bez końca, bez śmierci.

W pobliżu takich wyrw wznosiły się „hałdy”, ogromne zwały piachu węglowego, tworzące istne wzgórza. Gdzieniegdzie rozerwały je deszcze i burze na części i utworzyły między jedną a drugą doliny poprzeczne. Te dziwne nasypy o barwie cegły wypalonej, w których stlił się miał węglowy połączony z łupkiem, tu i ówdzie przerzynały obszar jak krwawe, zagnione obrzęknięcia tej schorzałej, zmaltrętowanej ziemi.

Gdy powóz wtoczył się wreszcie na szeroką, dobrze utrzymaną szosę, ukazał się w oddali cel drogi: kopalnia „Sykstus”. Widać było jej zewnętrzne budynki, podobne do trzech zlepionych wiatraków, okryte czarnym pyłem tak dalece, że jakieś dwie szyby u spodu jednej z tych wież drewnianych nęciły oko przychodnia miłym stalowym blaskiem. Na szczytach dwu najwyższych graniastosłupów w kłębach pary i dymu obracały się to w tę, to w inną stronę koła od wind podziemnych. Węgiel czarnymi groblami rozchodził się od zabudowań na wszystkie strony, a nad nimi wznosiły się

ogromne żebra drewnianych pomostów. Z dala już słychać było mowę kopalni. Na jednej z belek stał człowiek w grubych butach i kurcie do kolan. Był cały czarny. Coś musiał gadać, bo wywijał rękami, widocznie rozkazując ludziom, którzy w dole pracowicie sypali i sypali łopatomi czarne bryły. Naokół w rowach i zagłębieniach stała woda, nie woda, jakiś płyn ciemny, bez barwy, martwo i ciężko leżący w porozdzieranej ziemi, która już nie ma siły okryć trawą swoich obnażeń. Czarne prochy wałęsają się na nią z przestworu i wszystko na jej powierzchni, co tylko słońce zasieje, wytracają. Za ogrodzeniem terytorium kopalnianego ciągnęły się rumowia kamieni zmieszanych z węglem. Dalej rozwalał się szmat czarnego miału jak łata na poszarpanej odzieży. Za nim jeżyła się chropawa przestrzeń pniaków, którą łupi burza, zjada skwar i miałki kurz pływający w powietrzu zasiewa. Te wystające resztki odziemków<sup>53</sup> drzew bujnych a dawno ścię-

---

<sup>53</sup>*odziemek* — tu: pień pozostały w ziemi po ścięciu drzewa. [przypis redakcyjny]

tych były dla oczu Judyma niby twarze jakichś krzywd, jakichś niedoli zdławionych i wdeptanych w ziemię. Zdawały się łkać płaczem rozdzierającym i strasznym, którego nikt nie słyszy. Wszędzie, dokądkolwiek oczy wybiegły, niespodziewane „zawalisko” ciągnęło na dół te martwe grunta, których racja bytu zniweczona została.

Judym spoglądał na nie jakby na krajobrazy swej duszy. Widział doskonale wszelkie logiczne konieczności, wszystkie mądre, twórcze prawa przemysłu, ale w tej samej chwili wyczuwał bezrozumne wzruszenia płynące obok nich samopas jak rzeki niespokojne, burzliwe — albo ciche, sobie tylko samym i swym własnym prawom podległe. I płakał we wnętrzu duszy swej nad tą ziemią. Jakiś łańcuch niezgłębionej sympatii spoił go z tymi miejscami. Coś widział w tym wszystkim, czego rozum nie ima i czemu wyobraźnia nie jest w możności dotrzymać kroku...

Korzecki kazał stanąć przed domem zborowym i o coś zapytał. Powóz wjechał na dziedzi-

niec kopalni. Obok sortowni obaj z Judymem wysiedli i weszli do kantoru. Był to mały parterowy domek, zabrudzony jak odzież kominiarska. W pierwszej izbie, dokąd weszli, Judym zastał wolne krzesło pod oknem i tam usiadł. Korzecki prosił go, żeby tutaj czekał, a sam poszedł do następnej, skąd dochodziły odgłosy dyskusji, prowadzonej przez ludzi z wyborowymi płucami. Stacja, w której Judym został, była pusta. W kątach groźnie sterczały dwie szafy z papierami, powleczone czarną farbą. Stół i registry leżące na nim okryty był kryształkami węgla wdzierającego się przez szczeliny okien, które dygotały pospołu z całym domostwem. Za szybami z hurgotem i trzaskiem pędziły „koleby” popychane na szynach przez silne robotnice. W te ruchome wagony zlatywały z rusztów sortowni bryły węglowe. Słysząc było jakby grzmot nieustanny, wrzask surowy albo drgający śmiechem prostaczym.

Lampa elektryczna, przytwierdzona do stołu, zaczęła się słabo żarzyć. Głowa Judyma upadła na splecione ręce. To światło wniosło do



jego serca uczucie przeraźliwej boleści. Zdało mu się, że to przez jego barki lecą wagony, że na jego głowę spadają czarne, połyskujące bryły o kantach ostrych jak siekiera. Dziki wrzask robotnic, krzyk dozorców, nieopisany łoskot, jaki wydają sita sortowni, i wpośród tego wszystkiego rozlegający się co pewien czas jęk dzwonka, gdy szala windy szła w przepaść sztolni... Spadało to na niego jak głosy upiórów. Szczególniej dźwięk dzwonka... Przeróżny, jakiś stłumiony, a sięgający do samego serca, prawdziwie głos na trwogę — miał w sobie coś z ludzkiego jęku, niby owa *vox humana*<sup>54</sup> w organie fryburskiej katedry.

Judym nierychło dźwignął głowę i spostrzegł przed sobą atrament, pióro i jakiś skrawek szorstkiego papieru. Zaczął pisać krzywymi literami: „Joasiu, Joasiu! Cóż pocznę bez Ciebie! Życie moje zostało przy Tobie, całe serce, cała dusza. Zdaje mi się ciągle, że któreś z nas umarło, a drugie błąka się po ziemi wśród nieskończo-

---

<sup>54</sup>*vox humana* (łac.) — dosł. głos ludzki; jest to nazwa jednego z 74 rejestrów słynnych organów w katedrze we Fryburgu w Szwajcarii. [przypis redakcyjny]

nego cmentarza... W duszy mojej jęczy prze-  
rażliwy dźwięk dzwonu. Jak jąkała wymawia  
sylaby pewnego wyrazu, którego dosłyszeć nie  
mogę...”.

Przerwał, czując, że nie pisze tego, co jest  
w istocie, że prawdy samej, bezwzględnej, na-  
rywającej w sercu, nie sposób zeznać słowami.  
Gdy tak siedział nad papierem zgarbiony, od-  
czuł, że ktoś nad nim stoi. Był to Korzecki. Ju-  
dym podniósł się z krzesła i wtedy dostrzegł, że  
tamten zna jego tajemnicę.

— Przebaczcie — rzekł Korzecki — rzuci-  
łem mimo woli okiem na papier, nie przeczu-  
wając, że list piszecie. Czytałem tylko pierwsze  
wyrazy.

— To nie był list! — mruknął Judym.

Rozdarł papier na kilka części i schował je  
do kieszeni.

— Przepraszam was! — mówił Korzecki  
miękkim, delikatnym głosem, jakiego Judym  
jeszcze nigdy w jego ustach nie słyszał.

— Czy tu zostajemy?

— Ale gdzież tam! Jedziemy dalej.

— A dokąd?

— Do mnie. Ja tu przecie nie mieszkam. To wy się tu może z czasem przyczepicie. Po drodze rzucimy okiem na lecznicę.

— A do was daleko?

— Trzy wiorsty drogi. Jesteście znużeni?

— Dosyć. Chciałbym się przespać.

— Zaraz będziemy w domu. Powiem jeszcze tylko przez telefon, żeby nam przygotowali herbatę.

— Co znowu! Nie trzeba wcale. Ja przynajmniej nic jeść nie będę. Nic do ust nie wezmę.

Powiedziawszy te słowa Judym nie wiedzieć czemu zarumienił się. Korzecki to spostrzegł i cicho wymówił:

— A jeżeli wam każę zjeść befsztyk w imieniu panny Joasi?

Wziął go silnie za ramiona i ucałował w usta. Judym oddał mu uścisk, ale czuł się upokorzonym i milczał zmieszany do gruntu. Miał to gnębiące przeświadczenie, jak wówczas wobec Węglichowskiego, że staje się niewolnikiem,

zależnym od czyjejś mocnej woli. Z najgłębszą odrazą pomyślał, że i sekret o Joasi, sprawa tajemna i święta, był oczywisty dla Korzeckiego, który zdawał się wszystko wiedzieć. Przyszła nawet taka sekunda, że te rozkoszne i bolesne dzieje straciły coś ze swego uroku.

W powozie Korzecki znowu zapadł w milczenie, w swoją martwą, nieruchomą zdrętwiałość. Ożywił się tylko na chwilę, gdy wskazywał towarzyszowi dom w kształcie pudła, z oknami w równych odstępach i płaskim blaszanym dachem. Była to lecznica. Stał tam tłumek ludzi szarych: jeden z okiem szmatą zawiązanym, drugi z ręką w grubym bandażu, inny z fizjonomią wyrażającą silny ból *na wewnątrz*. Judym widział ich wszystkich jakby przez deszcz ulewny. Myśl o tym, że może mu przyjdzie leczyć tych ludzi, zajmować się ich cierpieniami, była mu tak wstrętną jak samo cierpienie. Zastanawiał się nad tym, że niegdyś słyszał od kogoś wyraz: — motłoch. Od kogo mianowicie?... Od kogo? Zachodził w głowę, męczył się, był tuż, tuż obok zjawiska, obok wszelkich

okoliczności, które towarzyszyły temu zdarzeniu... Po długich wysiłkach znalazł się w Wersalu w pokoikach Marii Antoniny i usłyszał ten wyraz z ust Joasi. Jak dobrze, jak zupełnie to słowo malowało istotę rzeczy!

— Gdybyście zechcieli, to może udałoby się zająć miejsce lekarza przy kopalni „Sykstus” — mówił inżynier.

— Nie teraz, nie teraz! Muszę przez kilka dni wypoczywać.

— Ja też mówię o przyszłości. Rozmawiałem z jednym, wpływowym człowiekiem. Dobra by to rzecz była, gdybyście tu osiedli. Nudno tu i smutno, to prawda...

Zamilkł i przez chwilę siedział ze zwieszoną głową. Później śpiewnym szeptem mówił do siebie: „*Asperges me hysopo et mundabor; lavabis me et super nivem dealbabor...*”<sup>55</sup> Zwrócił

---

<sup>55</sup>*Asperges me hysopo et mundabor; lavabis me et super nivem dealbabor* (łac.) — słowa z 51 psalmu Dawida: „Pokropisz mnie hyzopem, a będę oczyszczony, obmyjesz mnie, a ponad śnieg bielszym się stanę”. Zgodnie z trydenckim (przedsoborowym) rytym katolickiej mszy antyfonę rozpoczynającą się od tych słów śpiewano w czasie *aspersji*, tj. pokropienia wiernych wodą święconą, które poprzedzało sumę (mszę odprawianą w niedziele lub dni świąteczne). [przypis edytorski]

się do Judyma i trochę zawstydzony, z bladym rumieńcem na twarzy, tłumaczył się:

— Czasami przychodzi skądś taki obraz nieoczekiwany. Uczucie jakby spod ziemi... Właśnie w tej chwili myślałem sobie o naszym kościele. Pewien stary kościół w górach... Otyły ksiądz wychodził w białej albie, z nim dwu ludzi: organista i kościelny. Ten zapach ziół, zboża, leszczyny z młodymi orzechami, bo to 15 sierpnia! Ksiądz intonował: „*Asperges me...*” i odchodził na kościół, między ludzi, tym jakby wygonem, który tworzy się po środku chłopów. Kropił na prawo i na lewo, wolno wznosząc rękę. Tymczasem organista sam śpiewał. Głos jego był czysty, męski, spokojny. Ogólna twarz wyrażała skupienie, prawie surowość. Gdy śpiewał te słodkie wyrazy: „*super nivem...*”, tony jego głosu były nieco ostre, schrypte. Słyszę go w tej chwili... Ach, Boże! Zazwyczaj, gdy po wtóre zaczynał werset, ksiądz wracał i wtedy krople wody święconej padały na czoła pańskie, którzy staliśmy w ławce kolatorskiej. Kro-

ple wody święconej... Święte, chłodne krople... A ta melodia błagająca, ufna, ten śpiew dziecka, to westchnienie duszy prostej, która się nie boi... Czy pan nie widzisz, że z głębi tych wyrazów patrzą w niebo oczy wyteżone, zalane łzami? „*Lavabis me et super nivem dealbabor...*”

Wieczór zapadał. W oddali widać było lampy elektryczne rozlewające dokoła siebie bladoniebieską zorzę. Dawał się słyszeć gwar oddalony. Powóz pędem wjechał w uliczkę czegoś w rodzaju miściny i zatrzymał się przed piętrowym odrapanym domem. Judym wszedł za swym gospodarzem na górę. Mieszkanie było dość obszerne, ale puste jak psiarnia. W jednym pokoju sterczały wieszadła niby jakieś dziwaczne straszaki na wróble, w drugim tuliło się do ściany łóżko żelazne, w trzecim stał na środku stolik kartowy i znowu łóżko oraz trocha niezbędnych gratów.

— Rozgośćcie się w tych salonach, jak potraficie, a ja zajmę się zdobyciem jadła tudzież

napoju — żartował Korzecki wychodząc z mieszkania.

Za chwilę wszedł człowiek czarny jak węgiel, niosąc walizy. Pocałował Judyma w rękę, licho wie z jakiej racji, i zaczął znosić z sąsiednich lokalów szklanki, powyszczerbiane talerzyki, widelce, noże. Wkrótce potem zjawił się Korzecki z wiadomością, że będzie befsztyk i piwo.

— Czy nie podziwiacie spartańskiej skromności tego apartamentu? — zapytał rzucając swój kostium wykwinzny.

— Będzie tu ładniej, gdy przyjdzie gospodyni... — rzekł Judym, aby tylko coś powiedzieć.

Korzecki roześmiał się głośno, zanadto głośno, z chichotem, który niemile raził. Wnet jednak umilkł i hałaśliwie począł myć się, chlustać wodą na głowę, parskać i fukać.

Gdy później wycierał twarz ostrym ręcznikiem, mówił:

— Wygłosiliście rzecz okropną. Gospodyni... cha!... cha!... Gospodyni! Co za wyraz!



— Dlaczegoż okropną? Jesteście może o rok, o dwa starsi ode mnie.

— Ale cóż to starość ma do tego? Tu nie chodzi o starość ani o młodość.

— Więc o cóż? Ba! — O cóż...

— Chcecie, to wam znajdę pannę.

— Ja sobie już sam znalazłem.

Oczy jego zabłyśły złowrogim, srebrnym blaskiem i nieruchomo patrzyły w Judyma. Po kolacji siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu. Judym, aczkolwiek znużony, nie miał chęci spać, owszem, rad był rozmowie.

— Pragnąłbym — mówił z cicha Korzecki — żebyście tu osiedli na „Sykstusie”, notabene z czysto egoistycznych pobudek.

— A cóż wam ze mnie przyjść może?

— Bagatela! Przecie i teraz ściągnąłem was nie dla czego innego, tylko dlatego, żebym sam coś na tym zyskał.

— No?

— Znacie mię przecie, a raczej znaliście cokolwiek przed kilkoma laty. Od tego czasu

posunąłem się dzielnie w kierunku raz obranym.

— Czy wówczas kuracja szwajcarska nie pomogła?

— Gdzież tam! Pomogła. Ja i teraz jestem zdrów jak bawół. Pracuję tu przecie jako inżynier, wstaję o piątej, późno idę spać, a muszę mieć siły i zdrową głowę, żeby temu wszystkiemu podołać. To nie o to chodzi, nie o zdrowie... jakże to powiedzieć? — zewnętrzne...

— Ech, znowu mistyczne terminy.

— Niech sobie będzie! Otóż tedy... Właśnie chciałbym, żebyście tu gdzieś byli niedaleko, z waszymi rzetelnymi oczami, z waszą szkolarską nomenklaturą medyczną, z waszą mocną duszą, duszą... nie obrażajcie się tylko!... z sutereny, z waszą nawet tajemniczą panną Joasią...

— Słuchajcie no, tylko o tym...!

— Nic, nic! Ja przecie nie mówię nic złego. Tak mi dobrze, gdy siedzicie przy moim stole!

Judym usłyszał w tym głosie to, co było we wzroku Korzeckiego: dźwięk za wysoki, któ-

ry się chybotrze bezsilny w jakimś zawrotnym, niedoścignionym zenicie.

— Cóż wam jest? Powiadajcie... — rzekł do niego życzliwie. — Będę wam służył z całego serca i sił, choć wiem, że mi nieraz dokuczycie. I wyleczę was!

— Nie bójcie się tylko dokuczania, nie ma czego. Ja z wierzchu jedynie jestem pomalowany na kolor stalowego bagnetu. W środku wszystko jest kruche jak stearyna. A zresztą... *je m'en vais*<sup>56</sup>...

— Cóż to znowu ma być?

— To nic, takie sobie lokucje<sup>57</sup>. Ja, proszę was, jestem zajęty pracą duchową, która powinna by się nazywać kształtowaniem woli, a właściwie — zwalczaniem strachu. Chciałbym osiągnąć tego rodzaju panowanie nad cieleskiem i jego tak zwanymi nerwami, żeby nie być od niego zależnym.

— Żeby od nerwów nie być zależnym?

— No! Źle mówię?

---

<sup>56</sup>*je m'en vais* (fr.) — odchodzę. [przypis redakcyjny]

<sup>57</sup>*lokucja* — powiedzenie. [przypis redakcyjny]

— Bardzo źle.

— Chcę znać życie i śmierć tak z bliska, abym mógł obojętnie spoglądać na jedno i na drugie.

— To są frazesy. Człowiek tak może znać tylko życie.

— Na przykład Andre<sup>58</sup>! Ludzie, którzy wsiadali do jego balonu, znali śmierć dokładniej niż życie. Widzieli białe pola, szkliste od lodu, w blasku zorzy polarnej. Widzieli tam siebie samotnych i ją, z daleka przychodzącą. Widzieli ją przez całą zimę w ciepłych, wygodnych mieszkaniach, wśród banalnych rozmów z subtelnymi kobietami. I oto pewnego dnia wstali i wyszli na spotkanie tej nieznajomej. Żebym mógł wytworzyć w sobie taki spokój!

— Nie wiemy wcale, jakimi oczyma zaglądali w ślepie śmierci tamci ludzie. Może w nich był tylko namiętny wybuch ambicji, może wca-

---

<sup>58</sup>*Andrée, Salomon August* (1854–1897) — szwedzki badacz terenów podbiegunowych i zapalony aeronauta. Zginął wraz z dwoma towarzyszami podczas nieudanej wyprawy balonem na biegun północny. [przypis edytorski]

le nie było spokoju, może była tylko żądza sławy — i strach.

— Ambicji! To mi się podoba! Umrzeć dlatego, że taka jest moja wola, umrzeć wtedy, kiedy chcę, kiedy ja chcę, ja — pan, duch, i za to, co biorę pod moją silną rękę, co ja biorę w obronę. Rozumie się, że w tym może być trocha jakiejś ambicji! Andre i jego towarzysze wykształtowali swą wolę do tego stopnia, że mogli spełnić czyn zamierzony. Chodzi o to, żeby obudzić się ze snu i śmierć, gdyby stanęła przy naszym wezglowiu, powitać z takim samym uśmiechem jak kwietniowy poranek. O, Boże! Nie bać się śmierci...

— To jest niemożliwe... To jest wbrew naturze.

— To jest tylko bezmiernie trudne. Dla innych ludzi zresztą nie jest ta sprawa ani tak ważna, ani nawet, choć to głupio brzmi, pierwszorzędna. Ale dla nas, nieszczęśników z chorymi nerwami... Można zwalczyć obawę śmierci jako takiej, jej samej; ale niepodobna, dla mnie niepodobna, zdusić obawy czegoś, bojaź-

ni niespodziewanej, dzieciątka bezsennych nocy. Ostatnimi czasy nie mogłem sypiać sam jeden. Nocował u mnie w przedpokoju pewien górnik.

— Widzicie, to są chore nerwy...

— Zaraz. Ten górnik jest wcale niegłupi, raczej mądry. Rozmawiałem z nim do upadłego, żeby się poddać jego sugestii i usnąć, ale mi się wśród frazesów walił na łóżko jak kłoda. Tyle miałem pociechy, że przy mnie chrapał. Ja przez całe noce siedziałem na tej sofie. Gdybym go tak był obudził z północkska, tego z przewybornymi nerwami, tego z nerwami jak stalowe liny, i powiedział mu: Człowieku, zaraz umrzesz... — widzielibyśmy, co by się z nim działo! Byłby dygotał, byłby się wił po ziemi, modlił się i mdlał ze strachu. A ja, który sam tu marzyłem w proch zamieniony, którego nerwy zdawały się błądzić po wszechświecie, ja chory, dotykałem jej palcem, wyzywałem ją na rękę, patrzyłem na nią z moją ironią jak na człowieka, którego nienawidzę. Teraz doświadczam takiego wrażenia, że gdy-

byście wy tu zostali w okolicy, ja mógłbym spać. Mógłbym w taką noc myśleć: tu Judym jest niedaleko. Mógłbym myśleć: wstanę rano, zobaczę go, pójdę do niego...

Gdy to mówił, doktora przechodziło zimne mrowie. Jakieś uczucie niby zielony śliski wąż lazło po jego ciele. Oczy Korzeckiego jakoby patrzyły, ale właściwie wzrok ich zwrócony był do wnętrza duszy. Na ustach jego był uśmiech... Uśmiech niepojęty, a ciągnący do siebie jak błysk, który czasami można widzieć w górskiej przepaści.

W wyrazie jego twarzy nie było prośby ani żądania współczucia. Było tylko detaliczne, konkretne i umiejętne przedstawienie istoty rzeczy.

— Więc nie boicie się śmierci? — pytał Judym.

— Ja z nią walczę. Raz ja zwyciężam, kiedy indziej ona. Wówczas mam *pavor nocturnus*<sup>59</sup>, jak małe dziecko. Oto siedzę tu z wami, rozma-

---

<sup>59</sup>*pavor nocturnus* (łac.) — strach nocny, chorobliwa obawa ciemności. [przypis redakcyjny]

wiam, jestem spokojny i wesoły. Nie wiem nawet, czy może istnieć smutek? Co to jest smutek? Nic o nim nie wiem. Jestem jak filister, którego śmiech by ogarnął, gdyby mu kto mówił, że jest na ziemi dojrzały człowiek, który się „czegoś” boi. A oto może minąć godzina i stanie nade mną to bezosobowe widmo. Zacznę się bać samotności, zacznę cierpieć tak strasznie, tak przerażająco! W języku ludzi nie ma na to imienia. *Pavor*... Tylko straszliwa muzyka Beethovena czasami roztworzy podwoje tego cmentarza, gdzie w skrwawionych dołach leżą obdarte trupy, gdzie w nocy wiecznej wyje płacz jakiejś istności ludzkiej, która straciła rozum i błądzi, błądzi, błądzi bez końca, szukając ratunku.

— Powinniście, jak można tylko, chodzić w pole. Każdą wolną chwilę poświęcać na rozrywki. Jeździć koleją, a najgłówniejsza rzecz — unikać wszelkich wzruszeń.

— Tak: pójść po rydel i wykopać się z błota, w którym się leży. Dla mnie na ziemi nie ma miejsca.



— Ech, z tymi tam!

— Wiem, co mówię. Ja nie mogę żyć jak miliony ludzi. Przecie nieraz uciekam na dwa miesiące w Alpy, w Pireneje, na jedną wysepkę u brzegów bretońskich. Rzucam gazety, książki, nie odpieczętowuję listów... I cóż mi z tego? Zawsze i wszędzie widzę odbity świat w sobie, w mojej duszy nieszczęsnej. Gdy się nie spodzieję, wybucha tam wściekły gniew przeciw jakiejś podłości dawno widzianej, zbudzi mnie ze snu, przypomni wszystko, ukaze wszystko... Gniew bezsilny, a im bardziej bezsilny, tym większy!

— Może by zupełnie zmienić sposób życia? Rzucić wszelkie obowiązki? Wziąć się, czy ja wiem, do roli?

Korzecki zamyślił się i milczał przez kilka minut. Później mówił:

— Nie, to niemożliwe. Człowiek już do śmierci musi nosić pewien rodzaj ubrania, mieć taką a nie inną bieliznę. To darmo. Muszę zarabiać dużo. Ja nie mógłbym chadzać w tutejszym, łódzkim korcie. Musi mi go facet przy-

nieść z zagranicy. To darmo! Potrzebuję także jeździć do Europy, widzieć w Paryżu salony wiosenne<sup>60</sup>, wiedzieć wszystko, czytać rzeczy nowe, poznawać, co się zjawia nowego w mózgu ludzkim, iść ze światem, płynąć w fali. To darmo! Ach, ja rozumiem, co mówicie. Wrócić gdzieś, tam, w moją leśną okolicę, pędzić życie rolnicze, ziemiańskie, życie tych ludzi szczęśliwych, ludzi zupełnie od nikogo niezależnych! Rozumiem was. Ale to już nie dla mnie. Ja już za dużo wiem, zbyt dużo potrzebuję — a zresztą... ja mam naturę niespokojną; i tam bym sobie znalazł bałwana, z którym staczałbym walki.

— Ach, tak...—śmiał się Judym.

— Mówicie znowu: unikaj wzruszeń. Ja nie tylko unikam, ale nie mam wzruszeń. Co ja się mam wzruszać! Niech się filantrop wzrusza! Ale jakieś nie znane mi wzruszenie leży we mnie, pomimo mej wiedzy, jak złodziej, który się zakradł do mego mieszkania i wyłazi ze

---

<sup>60</sup>*salony wiosenne* — mowa o corocznych wystawach prac współczesnych malarzy francuskich i obcych organizowanych w Paryżu. [przypis redakcyjny]

swej kryjówki dopiero w nocy. Podłości, nadużycia, łajdactwa, krzywdy, niedole... Przecho-  
dząc obok tego ze spokojem, z zimnym spoko-  
jem, kopię to nogą, pluję na to. Mówię sobie  
zawsze te najwyższe, najpotężniejsze, te boskie  
słowa, które z cieniów języka rodu ludzkiego  
On wyjął: „Co mnie i tobie, niewiasto?”<sup>61</sup>. I,  
nie wiedząc wcale, wlokę w sobie zarazę. Umarł  
tutaj przed kilkoma tygodniami mały chłop-  
czyk, syn jednego biednego *ślepra*<sup>62</sup>. Przywio-  
złem mu był z Mediolanu czerwony kapelusik,  
podarunek z drogi... za franka. Tu w tym ogro-  
dzie biegało to i skakało po całych dniach. Ta  
czerwona główka... Gdy się dowiedziałem, że  
zmarł na dyfteryt, umyślnie wziąłem sprawy  
najważniejsze, robiłem plany, żeby o nim nie  
myśleć. No i jakoś przeszło. Aż oto raz nad wie-  
czorem siedzę w tym fotelu... Podnoszę oczy

---

<sup>61</sup> *Co mnie i tobie, niewiasto?* — słowa, które według Ewangelii św. Jana z No-  
wego Testamentu wypowiedział Jezus do swojej matki podczas uczty weselnej  
w Kanie Galilejskiej, kiedy gospodarzom zabrakło wina (por. J 2, 4, w tłum.  
Biblii Tysiąclecia: „Jezus Jej odpowiedział: »Czyż to moja lub Twoja sprawa, Nie-  
wiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja«”). [przypis redakcyjny]

<sup>62</sup> *śleper* (z niem.: *Schlepper*) — robotnik w kopalni podwożący węgiel lub rudę  
pod windę. [przypis redakcyjny]

i widzę: sunie się wzdłuż ścian czerwona plama. A w uszach słyszę ten głos wesoły. Czy ja wiem zresztą, czy to była plama? Był to smutek czerwony, smutek przerażający jak sama śmierć takiego niewinnego życia. Nadeszła noc, a w niej — moje troski. I oto bezsenność. Jedna noc, druga, trzecia, czwarta... Wyjechałem na dwa dni. Pędziłem kurierami, gdzie oczy poniosą. Stojąc w oknie ciągle patrzyłem na krajobraz. No i, chwała Bogu, znikła czerwona plama. Usnąłem w pewnym hotelu. Będziecie się może śmiali ze mnie, ale tak było: ta czerwona plama została pokonana, starta przez zieloną, jasnozieloną...

— Macie chore nerwy.

— O tak Ale ja mam także inną jeszcze chorobę. Ja mam zanadto wyedukowaną wiadomość. To jest ścierwo obolałe! Nieszczęściem, katuszą jest posiadanie prawdy. Zanadto duża przestrzeń leży między nią a padołem, czyli Zagłębieniem.

## GLIKAUF!<sup>63</sup>

Zbudziwszy się następnego dnia rano, Judym nie zobaczył już gospodarza. Był sam w tym pustym mieszkaniu, którego nie ozdabiał ani jeden sprzęt miłszy, wytworniejszy.

Zdawało mu się, że znowu jest w Paryżu, na Boulevard Voltaire, i że otacza go cudze, przemierzone powietrze. Na ścianie izby, gdzie nocował, wisiał niewielki portret olejny człowieka z chudą twarzą, w której uderzało od razu podobieństwo do Korzeckiego.

„To musi być jego ojciec — myślał Judym. — Co za nieprzyjemna twarz! Gdyby kto chciał wymalować pychę w postaci człowieka, to mógłby za wzór śmiało wziąć to oblicze. Zdawało się, że te oczy ani na chwilę nie zwalniają widza i że ciągle maluje się w nich wyraz: ty chamie, ty obdartusie!”

Judym nie mógł usiedzieć w tym mieszkaniu. Wypił szklanekę mleka, którą znalazł w są-

---

<sup>63</sup>*Glikauf* (z niem.: *Glück auf*) — życzenie szczęścia i powodzenia w pracy, odpowiednik polskiego: *Szczęść Boże!* [przypis redakcyjny]

siednim pokoju, i wyszedł. Wlókł się ze zwieszoną głową uliczkami osady fabrycznej i przypatrywał wszystkiemu, co spotykał, z badawczą uwagą, która chyba tylko w chwilach najgłębszego smutku opuszcza człowieka z ludu.

Murowane, po większej części piętrowe domy zbite były w kupę i tworzyły niechlujne miasteczko. Jedną z ulic zajmowały dwa długie budynki, o jakich pięćdziesięciu okienkach na dole i na piętrze, przypominające owczarnię. Zewnętrzne ich mury były obłupane z dawnego, dawnego tynku i świeciły nagością szerniałych cegieł, brudem i zaciekami wilgoci.

Dokoła nich nie rosło ani jedno drzewo, nie sterczał ani jeden badył. Od frontu i z tyłu znajdowały się drzwi i sienie, przed którymi gniły kałuże pomyj i leżały kupy śmieci. Wgłębienia okien każdorazowy mieszkaniec danej izby ozdabiał jak mógł, malując je farbą jasnoniebieską albo brązową. Toteż futryny okien tworzyły istną polichromię w tym dziwnym schronisku ludzi. Tu i ówdzie wisiał biały kawałek tiulu w kształcie firanki i mokła w glinianym

wazoniku jakaś zielona roślinka. Dalej, za osadą, wzdłuż szosy stały po jednej i po drugiej stronie domy, które wypada nazwać murowanymi chatami. Każdy z nich podobny był do sąsiedniego jak dwie krople wody.

Te budy, ciemne od urodzenia, gdyż nigdy ich nie tynkowano, były oberwane, chylące się ku ruinie, wyzute z jakiegokolwiek ozdoby. W głębi czarnego muru, który sypał się na wsze strony, dziwacznie połyskiwały okna z szyb przepalonych, rumianych, zielonkowatych i niebieskich. Mieszkania te nosiły na sobie cechę a raczej piętno tymczasowości pobytu tych, co tam gościli. Nikt nie dba o ich całość, zarówno ci, do kogo należą, jak ich chwilowi mieszkańcy. Nikt nie przywiązuje się do tych izb hotelowych, gdzie wędrowiec ukrywa przed zimnem i deszczem głowę strudzoną, ale je lada chwila opuszcza, idąc dalej. Te szczególne budowle wywoływały w pamięci Judyma obraz miasteczek niegdyś widzianych na włoskim zboczu Alp w okolicach Bellinzony, Biasca i Lugano. Mieszkał tam jak i tu człowiek

zglupiały od walki z przyrodą, która mu nic nie daje prócz kromki chleba i łyka wódki, przeczucany z miejsca na miejsce, wegetujący z dnia na dzień.

Od jednej do drugiej zagrody laził znudzony pies, z najgłębszą obojętnością spoglądający na przechodnia, wlokło się babsko zniedołężniałe, w kiecce szarej koloru bagna i tułało się zamoczone, brudne i smutne dziecko. Z jednego boku szosy w dużym rowie, ujęta w twarde brzegi, żywo płynęła rzeczka. Woda jej, pompami wypchnięta z dna kopalni, była ryza, osadzająca na piasku, na badyłach trawy i odpadkach w głąb rzuconych muł rudy jakby startą cegłę.

Był dzień mglisty. Prószył co pewien czas lekki deszcz.

Od chwili do chwili w oczy idącego Judy-  
ma rzucał się nowy, czerwony mur z cegły albo domostwo mieszkalne, które już przed dwudziestoma laty waliło się w gruzy.



Świsty lokomotyw, we mgle na wszystkie strony pędzących, głuche wzdychanie sygnałów kopalnianych, oddech maszyn, wszędzie, daleko i blisko, robiących, wprowadzały uczucia Judyma do jakiegoś dziwnego kraju. Nie był sobą. Nie mógł znaleźć i pochwycić swych uczuć. Żyły w nim te same, ale się z nimi coś stało.

Było mu źle, ciężko, rozpaczliwie, ale nie tylko dlatego, że nie ma Joasi. Tysiące bolesnych wzruszeń wdzierały się do jego serca. Niektóre widoki i dźwięki, zdało się, pochłonęły tęsknotę za Joasią, zżarły ją olbrzymimi gardłami i tylko słabe, zgubione jej echo odzywa się w ich mowie.

Tak przemawiał krzyk, zupełny krzyk dzwonnika kopalni, odzywający się z dala, skoro tylko z zabudowań zionęły wielkie kłęby pary i szpule na ich szczycie puszczały się w ruch swój niespracowany. Tak przemawiał turkot wagonów z węglem, pędzących po ziemi w głębi wydrążonej.

Wolno idąc szosą Judym co pewien czas mijał przecinające ją szyny. Przy jednej z takich bocznic jak przez sen widział czarnego, zeszarego człowieka, który siedział w budzie na pół w ziemi wykopanej i mętnej, prawie ośleplą źrenicą pilnował jakiegoś porządku. Dalej na szynach, które szły wprost w terytorium kopalni, gdzie panował nieustający ruch dużych wagonów obładowanych węglem, uwijał się inny człowiek. Ubrany w baranią czapkę, sam podobny do ruchomej kupy węgla, gdy chciał zatrzymać wagon siłą rozpędu lecący, pełen czarnych brył, skropionych z wierzchu wapnem, siadał na drąg przytwierdzony do hamulca i podwinąwszy nogi, mocą swą i ciężarem wstrzymywał koła. W duszy Judyma błąkało się dla tych ludzi przywitanie czy pozdrowienie, ale na usta nie miało siły wypłynąć.

Obchodził ich w milczeniu. Piersi jego trzęsły się, a w nich serce. Najtajemniejsze, najbardziej istotne uczucie wewnętrzne witało w tych ciemnych i brudnych figurach ojca i matkę.

— To mój ojciec, to moja matka... — szep-  
tały jego wargi.

Około szerokiego, drewnianego domu pe-  
wien człowiek zatrzymał go słowem:

— Pan inżynier prosi.

Judym wszedł do tego budynku i spotkał  
się z Korzeckim.

Olbrzymia izba, oświetlona lampkami elek-  
trycznymi, zastawiona jakimiś beczkami, w jed-  
nej części przecięta była balustradą jak w urzę-  
dach gminnych. Tam był stół, przy którym za-  
siadał starszy sztygar i dozorca. Czytano listę  
robotników idących do kopalni na przeciąg cza-  
su swego zatrudnienia, czyli na szychkę. Czy-  
tanie odbywało się numerami. Zawiedły, silny  
Niemiec, który jednak klął i wymyślał *expedi-  
te*<sup>64</sup> po polsku, czytał numery. Czarne figury  
stojące dokoła odpowiadały nazwiskami kole-  
gów, którzy się nie stawili. Dozorca, awanso-  
wany z robotnika, huczał co chwila:

— Cicho! Milczeć! Co za hałasy! Tu nie  
karczma!

---

<sup>64</sup>*expedite* (łac.) — doskonale. [przypis redakcyjny]

W drugim końcu sali rozdawano chleb. Co pewien czas nowy górnik wchodził, klękał pobożnie na środku i odmawiał modlitwę, twarzą zwrócony do stołu, zupełnie jakby się oddawał adoracji majestatu sztygarskiego.

Czasami spod powiek, niejako z głębi oblicza, błyskały białka oczu. Był to jedyny wyraz tych twarzy, jak u Murzynów. Gniew, radość, uśmiech — wszystko inne okrywała szczelna maska sadzy węglowej.

— Czy mógłbym zobaczyć kopalnię? — zapytał Judym Korzeckiego.

— Ij, dzisiaj? Co wam po tym?

— Jak to, co mi po tym!

— Zamknijcie oczy i będziecie widzieli zupełnie to samo.

— Więc nie można?

— Ale gdzież tam, można, tylko nie myślałem, żeby i wam to dziś *kwadrowało*<sup>65</sup>. Skoro jednak... Więc chcecie zejść?

— Chcę, chcę...

---

<sup>65</sup>*kwadrować* — odpowiadać, pasować. [przypis redakcyjny]

— Buła — zwrócił się inżynier do kogoś w tłumie — idź no i przygotuj tam dwa kanganki, buty dla pana, kurtę i kapelusz.

Wkrótce później weszli na dziedziniec. Znowu otoczyło Judyma wczorajsze uczucie na widok sortowni, na widok walców połyskliwych ze spiralnymi korbami, wijących się w oku, jakby się wkręcały w oprawę swoją. Wózki z węglem, przez windę wyrzucone z głębi kopalni, stawały w maleńkich relsach i wysypywały się, pchnięte silnymi rękoma, na ruszty ze spiralnych walców. Stąd grube i kostkowe bryły zlatywały na ruszty niżej położone, a drobny miał i orzeszek węglowy sypał się w sita, które go wypychały na brzeg pochylni.

Sita żelazne na wygiętych wałach, czyniące ruchy ręcznego przetaka, które wytrząsają drobny węgiel, tworzą jakby upusty dwu rzek formalnych. Rzeki te leniwie, bez końca płyną ku wyjściu nad wagonami kolei.

W sąsiedniej hali, obok szybu, Judym przypatrywał się motorowi parowemu, który obraca dwie szpule szczytowe. Na nich okręcają

się liny ze stali podtrzymujące windy, z których jedna idzie do sztolni, gdy druga w górę wstępuje. Spoglądając na błyszczące cylindry, w których pracowały tłoki, Judym szukał właściwie tylko ukrytego gdzieś dzwonka...

Ubrani w grube buty, w skórzane kaftany zapięte na sprzączki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot umoczony w oleju, stanęli w szali.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski stojące na równi z podłogą drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażenia, jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło otrzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu. Czarne belki cembrowiny migają się w oku niby szeregi jakichś schodów nieskończonych. Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznymi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przychodziły i odchodziły szeregi wozów ciągnionych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych, widnych galerii dostali się przez kręte szlaki do maszyn pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Je-

dynym jego źródłem stały się odtąd kaganki niesione w ręku. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z *fedrunkiem*, ciągnięte przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i ówdzie dla skierowania powietrza do tych chodników, gdzie się „nie świeci”, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscu odźwiernych dokonywują żywota. Inżynier mijając takie drzwi rzucał wyraz:

— *Glikauf!*

— *Glikauf!* — odpowiadała ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszkają w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich jak pająki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej zimne łono na „szychcę” wieczną. Łańcuch ciemnej niedoli przykuwa ich do miejsca. W star-

czym drzemaniu widzą pewno ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane...

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich były wykute li tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanymi dla zatamowania ognia i mokrego a sypkiego piasku, który zowią „kurzawką”. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami, na których leżały kapy<sup>66</sup> podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli „okorki”. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni idącej w kierunku upadu warstw węgla. Z boku czarnej czeluści sunęła się w dół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa czy żelazna lina wciągająca wózki.

Ciemność, ciemność gęstą od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ognek niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble do tarcic przybite; gdzie indziej szło się po oślizłej de-

---

<sup>66</sup>*kapa* — opierająca się na stemplach belka podtrzymująca sufit w chodniku; także: czapka górnicza. [przypis redakcyjny]



sce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią, zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przychodziń doświadczał bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotyka z gęstymi okami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię. Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod nim ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem”. Gdzieś daleko, jakby u szczytu tej góry, widać było chodzące z miejsca na miejsce bladożółte światełka. W zakłęstej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

— *Glikauf!* — rzekł Korzecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznymi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

„*Glikauf, glikauf...*” — mówił do nich i on w głębi duszy.

Właśnie wtedy przerwało jakby tamę swoją nowe źródło tęsknoty za Joasią, tęsknoty tak bolesnej, bardziej bolesnej niż w chwili pożegnania...

Górnicy w czarnych „kapach” i w „berglederach”<sup>67</sup> nabijali prochem, grubym jak ziarnka kukurydzy, długie tuleje papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi „laskami” ze stali, o zakończeniach podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystempłowany z wierzchu szczelnie gruzem za pomocą stępora, jak nabój w lufie — jeden z pracowników zapalił dwa żygadła<sup>68</sup>, drugi — dwa, trzeci — dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskawe strugi cieczy sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru — i znikły.

Wówczas drabiny szybko odstawiono i wszyscy z pośpiechem weszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się

---

<sup>67</sup>*bergleder* — skórzany pas górniczy. [przypis redakcyjny]

<sup>68</sup>*żygadło* — zapalnik. [przypis redakcyjny]

odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerie i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla huczwały się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerie i ciągnął leniwie do przejść, w których się „świeci”. W dali słychać było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawym ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej części stronie. Doktor został w ciemności z widmem trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowaniem „piętra”. Chwilę obydwaj z górnikami stali nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szerniałą twarz starego człowieka, którego siwe włosy wymykały się spod „kapy”.

— Co robią tutaj, ojcze? — zapytał.

— A caliznę wyrabiamy między chodnikami.

— Caliznę<sup>69</sup>?

— Juści. Filar wybieramy. Bierzemy jedno *pojęcie* za drugim na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem — i dalej. Po boku stawia się „organy”... Proszę łaski... pan może i nie znajomy z kopalnią?

— A nie. Pierwszy raz widzę.

— Tak ci...

— Cóż to za organy?

— To zaś są kłody na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby za ściankę. Z przodu też, od chodnika przy kończeniu *strecki*<sup>70</sup> drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą *streckę* i z okruchów się ją wyczyści, to się dopiero te słupy zaczyna wyjmąć, a inne się tnie toporem. Gdy pracowity górnik usłyszy w cichości największej pierwszy, aby maluśki

---

<sup>69</sup>*calizna* — inaczej: filar; pokład kopalny między chodnikami. [przypis redakcyjny]

<sup>70</sup>*strecka* (z niem.: *Streck*) — odcinek. [przypis redakcyjny]

trzask piętrowa, wtedy kilof do garści i umykaj z *pojęcia*! Ziemia się urwie w tym miejscu i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze zawalisko w dół wciągnie, tak jakby lej...

Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie albo chropawe ich płaszczyzny tu i ówdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakieś klinowe<sup>71</sup> pracowicie wyryte. Idąc z wolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę składała się historia tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, nie sianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy w drzewa wybujałe, straszne widłaki i inne, niewidzianych form, mistycznej piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendro-

---

<sup>71</sup>*pismo klinowe* — pismo, którego znaki miały kształt klinów; było używane w starożytności w krajach Bliskiego Wschodu (Babilonia, Persja). [przypis redakcyjny]

ny<sup>72</sup>... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulch-  
nym trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i nie-  
wysłowione kwiaty pachniały w czarnym go-  
rącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata  
wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie,  
dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł; wilgotne,  
deszczowe zimy zasilaly glebę na wieki. Swo-  
bodne wichry, w dalekich stepach i w śnie-  
gach łańcuchów górskich zrodzone, przylaty-  
wały bić puszcę rycząc jako szczenięta lwie.

Wtedy kołysała w łonie swoim pieśń hu-  
czącą na podobieństwo morza. Jakże często trza-  
skał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił  
i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały  
jej głębie śpiewające. Wtedy gorzała jak wiel-  
ki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła  
wieczyście młoda, lilioworamienna wiosna, jak  
dziewczątka szukające kochanka, i swawolny-  
mi usty zdmuchiwała pyły roślin w ziemię roz-  
mokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe mo-

---

<sup>72</sup>*sigillaria*, *odontopterydy*, *lepidodendrony* — bardzo dawne gatunki olbrzymich roślin, z których powstały pokłady węgla kamiennego. [przypis redakcyjny]

rze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne kopyta ognia i szprychy jego wozu tak samo prędkie jak wichry.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara i rozdzierał ją wrzask, śmierć głoszący, bezlitosnego orła.

Aż oto wielkie jakieś morza w głębi lądów próżnujące wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęły z korzeniem olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zakłęśłe niziny. Tu je niezmierną masą wwalily jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie słały, ustało życie i począł się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas wiekami idący czyniły sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglowego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w ol-

brzymim nadmiarze, nie mający się z czym połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samym tysiące lat. W męczarni zrastało się samo ze sobą, tuliło się do siebie jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rosło i kochało się w niebiosach — został nikły rysunek warstwnia albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żalobnym kamieniu.

Długie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć zaczyni i odczynienia, człowiek chwytta jako łup swój za pomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład do cna, od wychodni do upadu, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dobrodruku bez walki. Prosta i obojętna jak dziecko,



od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego komorach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puszcz zmarłych — tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki, którą zawaliska ruszyły, i gliniastym jej mułem napęlnia galerie pracowicie wykute.

— Nie porwał was skarbnik<sup>73</sup>? — zawołał znienacka Korzecki wynurzając się z mroku.

Poszli długim chodnikiem. Z bliska i z dala szły szeregi wózków ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników włókł tak za sobą całymi latami przeklęte wozy. Gdy mijali postępującego w ciemności, odwracał na bok głowę i oczy, które już razi żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić o sto metrów wyżej.

---

<sup>73</sup>skarbnik — wg legend górniczych: duch strzegący kopalni. [przypis redakcyjny]

Woda lała się tam strugami, kapiała w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny. Stanęli w mokrej windzie wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze złymi twarzami, i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górną. Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i ówdzie, wyginał kapy i miazdzył okładziny. Śmiertelnej czarnej nie rozświetlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginał w wiecznym grobie.

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

— Fuks, mówię, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

— Nie zwalone, Fuks! *Kiej* nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szep-tem objaśnił, co to znaczy:

— Czasami koła jednego z wózków, scze-  
pionych między sobą, z szyn wyskoczą. Wów-  
czas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma si-  
ły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się  
wykoleją. Poganiacz musi nadnieść i wstawić  
wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia,  
że już tę robotę wykonał. Ale nieraz przycze-  
pi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń  
również staje sądząc, że to skutek wykoleje-  
nia. Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie  
zwalone”, ale koń, pociągnąwszy z lekka, nie  
rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy  
niż należy. Wówczas furman musi go przeko-  
nać: idzie wzdłuż wózków aż na sam ich koniec  
i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy  
swoje: „Fuks, nie zwalone!” Natenczas biedny  
koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbie-  
ra siły i wlecze dalej w ciemności swoją dolę.  
Może nawet przychodzi do świadomości, co to  
jest, może nawet po cichu wzdycha albo ści-  
ska zębce, ale przystać musi na taki układ, bo

gdyby marzył albo usiłował protestować za pomocą, dajmy na to, stania, toby mu poganiacz batem grzbiet *wyłoił* i na tym skończyłoby się polepszenie stosunków.

— No, ale wy powinniście tego zabronić...  
— rzekł Judym.

Inżynier podniósł wyżej swą lampę i rzekł z maltretującym, szyderczym uśmiechem:

— A, ja zabraniam, surowo zabraniam...

Po chwili rzekł jeszcze:

— Ja zabraniam, zabraniam z całej duszy, ale już nie mam siły...

## PIELGRZYM

Któregoś z dni następnych Judym w towarzystwie Korzeckiego udał się do samego Kalinowicza. Była to chytra machinacja, istna konstrukcja inżynierska przedsięwzięta w celu zapoznania się z figurą decydującą.

— Któż jest Kalinowicz? — pytał Judym zmierzając ulicą, która prowadziła do mieszkania jednej z potęg Zagłębia.

— Tego nie wiedzieć! Takich rzeczy elementarnych nie wiedzieć! No, rozumie się, że inżynier, ale wielki.

— To dopiero... Dlaczegoż dziś koniecznie mamy iść do niego!

— Dlatego, że tak rozkazuje chytryść tu dzież przebiegłość.

— Zanosi się na burzę. Jest parno jak w piekle — mówił Judym. Po chwili dodał:

— Wolałbym dostać batem od ciotki Pelagii, niż iść dzisiaj z tą wizytą.

— Idźcie, będzie burza — mówił Korzecki rozglądając się po okolicy.

Stali na wzniesieniu. W głębi leżało miasto. Były to szeregi domów jednakowych, czarnych, zadymionych. W małej stosunkowo odległości z wielkich pieców wybuchały ognie jak z krateru wulkanów. Wicher porywał ich płaty, jakby je od masy udzierał i chciał cisnąć na miasto.

Drzewa zasypane kurzem i dymem wyglądały niby robotnicy. Zieloność murawy była obleczona żałobnym pokrowcem.

Za lasami i łańcuchem wzgórz rozciągała się na horyzoncie stalowa chmura z ciemnymi w sobie dołami. Szła wolno. Leciał od niej zimny wicher. W pewnych sekundach przycichał. Zdawało się, że łązi około murów, snuje się pod płotem, zagląda do ścieków i siada na drzewach drżących wierzchołkami niespokojnie i w bojaźni. Czasami pędził w cwał środkiem bezludnych ulic z hukiem i gwizdaniem, jak najezdnicza awangarda wojsk, które z dala ciągną. Naokół widać było kominy i kominy. Walily się z nich pochyłe dymy szarpane przez wicher.

Z wyschłych bajor, zalegających całą długość i szerokość ulic, zrywały się co chwila góry śniadego kurzu, mknęły ponad domy, ponad dziwaczne retorty fabryk i ciskały się z wysoka na mieszkania ludzkie. Te latające błota zasłaniały co chwila miasto smutne dla oczu, dziwaczne, nieprawidłowe i zimne jak *geszef* pieniężny.

Za nim na pewnej wyniosłości stał w ciemnym ogrodzie „pałac” dyrektora. Gdy wcho-

dzili po wąskich schodach wysłanych dywanem, Korzecki przesadnie idąc z boku, żeby zaś nie nastąpić na ten chodnik, mówił półgłosem:

— Teraz zbierzcie wszystkie siły, albowiem nadszedł czas próby...

Wprowadzeni przez lokaja do mieszkania, znaleźli się w salonie, którego okna wychodziły na miasto. Miękki, puszysty dywan tłumił echo ich kroków. Rolki krzesel wyściełanych atłasem ginęły w nim zupełnie i toczyły się bez szelestu. Na ścianach wisiały obrazy i sztychy w ramach niesłychanie szerokich i „bajecznie” ozdobnych.

Korzecki usiadł na fotelu ze skromną minką i przybrawszy pobożny wyraz prezentował Judymowi oczami sufit i tapety. Idąc mimo woli za tą wskazówką doktor zobaczył malowidło wyobrażające jakiś pejzaż z ruinami i pastuszkiem.

Zanim wszakże zdążył przyjrzeć się tapetom, ozwał się we drzwiach głos gospodarza:

— Szanownego inżyniera dobrodzieja, gościa miłego a rzadkiego...

Korzecki przywitał się z wchodzącym i zaraz głosem pełnym powagi wymówił nazwisko towarzysza:

— Doktor Judym.

Gospodarz wyciągnął rękę i uścisnął podaną prawicę z ukłonem, który go ze względu na tuszę musiał kosztować nieco fatygi. Zajęli atlasowe miejsca, pograżyli nogi w miękkościach dywanu i toczyli rozmowę *de nihilo*<sup>74</sup>, to jest o przedmiotach nie mających najmniejszej wartości. Mówiono o fizjonomii okolicy, o warunkach klimatycznych i higienicznych Zagłębia oraz o tym podobnych romansach. Gospodarz był to pan wyniosły i prawie otyły. Czaszkę miał nagą, błyszczącą i mocno sklepioną. Taki czerep mógłby dźwigać przyłbicę z żelaza. Nastroszone i w górę zadarte wąsy pasowałyby do niej także bardzo. Nos prosty, oczy duże, srogie pod krzaczastymi brwiami, znamionowały krew szlachecką silnie pulsującą w żyłach. Delikatność obejścia, miękkie ruchy zdawały się być utrudniającymi dla tej figury potężnej.

---

<sup>74</sup>*de nihilo* (łac.) — o niczym. [przypis redakcyjny]



Niemniej — płaty szerokie świetnego kortu, obejmujące kadłub jej i nogi, sprawiały efekt odzieży przypadkowej i tymczasowo narzuconej.

Korzecki rozglądając się z szacunkiem po salonie nachylił się w kierunku jego właściciela i szepnął:

— Widzę coś nowego...

— No, co?

— Jakaś niewielka sztuczka, ale aż oczy bolały.

— Ten zegar?...

— To, to!

— Kupiłem go — rzekł dyrektor z satysfakcją ukrywaną dyskretnie — w Monachium. Szczerze mówiąc, za bezcen.

Po chwili dodał:

— Za bezcen!

Wstał wkrótce i ułatwił gościom zbliżenie się do zegara *empire*<sup>75</sup> stojącego pod kloszem na gzemisie konsoli. W istocie było to coś bardzo

---

<sup>75</sup>*empire* — styl w sztuce i architekturze, powstały we Francji za panowania Napoleona I. [przypis redakcyjny]

ładnego w skromności swych linii i naiwności płaszczyzn.

— No, a Uhde<sup>76</sup> oprawiony? — żywo zapytał Korzecki.

— A jakże, a jakże! — i powiem koledze — bajecznie. Chcecie może zobaczyć?

— Ależ, jeśli łaska...

— Proszę, proszę tędy.

— Jakże panna Helena, czy wciąż jeszcze zajęta Ropsem<sup>77</sup>?

— A tak, ona swym Ropsem... proszę panów tędy...

Wszyscy trzech weszli do sąsiedniego gabinetu urządzonego z przepychem. Zaścielał go dywan i wypełniało mnóstwo sprzętów, nad którymi królowało niejako wspaniałe biuro. Kandelabry, figurynki, fotografie w ramach stojących, przyciski i mnóstwo książek — piętrzyło się na nim. Ściany zawieszono były malowidłami

---

<sup>76</sup>*Uhde, Fritz* (1848–1911) — niem. malarz religijny. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup>*Rops, Felician* (1833–1898) — znany malarz i sztycharz belgijski. [przypis redakcyjny]

mi i rysunkami, a biblioteka, rzeźbiona misternie, połyskiwała od złoconych tytułów.

— Widziałeś pan to głupstewko?

Korzecki przymrużył powieki i z wyrazem najgłębszej ciekawości badał wskazany obrazek.

— Kupiłem tę sztuczkę w Mediolanie, w tej, wiecie panowie, budzie, co to *Cenacolo Vinciano*<sup>78</sup>... Otóż zaszedłem tam... Był upał. Za oknem, słyszę, musztruje jakiś oficerek z wrzaskiem oddział tych rycerzy, których później rozmiata jak śmiecie byle Menelik<sup>79</sup>... Patrząc, że kopiuje *Wieczerzę* jakiś młody *włochino*. Śliczny, szelma, jak najcudniejszy obraz. Włosy na łbie wzburzone, nos, panie, usta, oczy jak u jastrzębia. Maluje, maluje... Przyskoczy do swych sztalug i tnie pędzlem, ale to w całym znaczeniu tego wyrazu — tnie. Widzę — zrobił tylko jedną figurkę, a reszta ledwo, ledwo naszkicowana. To mię, powiem panom, tak uderzyło, że

---

<sup>78</sup>*Cenacolo Vinciano* (wł.) — mowa o *Ostatniej wieczerzy* Leonarda da Vinci (1452–1519); słynny ten fresk (malowidło ściennie) znajduje się w klasztorze mediolańskim di s. Maria delie Grazie. [przypis redakcyjny]

<sup>79</sup>*Menelik* (1844–1913) — cesarz Abisynii od r. 1889; gdy Włosi usiłowali Abisynii narzucić w r. 1896 swój protektorat, Menelik przeciwstawił się temu zbrojnie i pokonał armię włoską w bitwie pod Aduą (1 III 1896). [przypis redakcyjny]

tysiąc razy bardziej niż oryginał. Co za wyraz, co za twarz! Jak te oczy patrzą! To jest przecie apostoł... I nie tylko apostoł, ale człowiek, który z boleścią pyta: „Czy ja cię mam wydać, Mistrzu i Panie?” Ani sposobu wytrzymać; mówię do tego malarzyka:

— *Signore pittore, quanto tego ten quadro*<sup>80</sup>?

Spojrzał na mnie i mruknął, że jeszcze nie namalowane. Gadam mu, jak umiem, że mi jest wszystko jedno, pokazuję mu palcem na tego apostoła i krzyczę, że go chcę mieć i takiego, jak jest. Łypnął tylko okiem jak wilk i maluje dalej. Kiedy ja znowu do niego, warknął:

— *Mille lire*<sup>81</sup>...

— O — mówię — *signore pittore*<sup>82</sup>, to trochę *molto*<sup>83</sup>.

Wreszcie targ w targ wpakowałem bestii sześćset franków i zabrałem obraz ledwo pod-

---

<sup>80</sup>*signore pittore, quanto (...) quadro?* (wł.) — panie malarzu, ile (kosztuje) ten obraz? [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>*mille lire* (wł.) — tysiąc lirów. [przypis redakcyjny]

<sup>82</sup>*signore pittore* (wł.) — panie malarzu. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*molto* (wł.) — dużo. [przypis redakcyjny]

malowany. Tu w domu wystrzygliśmy z córką tylko naszego apostoła, a resztę się wyrzuciło. Ale co to za fizys! Nieprawdaż?

— O tak, w istocie... Jest to coś, coś...

Korzecki nachylił się do Judyma i szepnął mu do ucha w taki sposób, że gospodarz słyszał wyrazy:

— Prawda, z jakim smakiem urządzone mieszkanie?

Dyrektor uśmiechnął się pod wąsem i mówił:

— Ech, ze smakiem... Pochlebstwa... Jakkolwiek, aby, aby... Trudnoż mieszkać po naszymu, po sarmacku.

Ośmielony słowami Korzeckiego prowadził gości do następnego salonu, który nazwał „pracownią”.

— Ale mieliśmy zobaczyć Uhdego! — przypominał pochlebca.

— Właśnie... w pracowni.

Kiedy tam weszli, na spotkanie ich wstała z za szerokiego stołu młoda panna, lat może dziewiętnastu, w sukni różowej i tak lekkiej, że

dozwalała nie tyle widzieć, ile odczuwać śliczne kształty. Włosy miała jasne, prawie białe, o kolorze połyskującym świeżo heblowanego drzewa świerku — oczy błękitne, tak samo jak ojciec, tylko bez surowości i zimna tamtych. Z dala wywarła na Judymie dziwne wrażenie róży ledwo, ledwo rozkwitłej. Coś pisała czy rysowała. Nieoczekiwane wejście obcych panów trochę ją zmieszało. W prawej ręce ścisnęła bezradnie ołówek i dopiero witając przybyłych zmuszona była rzucić go na stół. Spotkanie jej w pracowni uwolniło Judyma i Korzeckiego od zwiedzania dalszych ubikacji apartamentu.

Wrócili do pierwszego salonu. Panna Helena szła z Korzeckim rozmawiając swobodnie i życzliwie.

Twarz jej ładna, okrągła, kwitnąca od rumieńców, które ciągle ukazują się i znikają, zwracała się w jego stronę i jasne, niespokojne oczy wpatrywały się z natarczywą ciekawością. Korzecki w jej towarzystwie spochmurniał, jakby się raptem zestarzał. Mówił głosem oziębłym,

bez sarkazmu i złośliwości. Patrzał na nią w zamysleniu, ale z pewnym rodzajem niechęci. Judym wysłuchując z fałszowaną uwagą zdań dyrektora o rozwoju przemysłu w Zagłębiu, słyszał urywki dialogu tamtych dwojga. Obijały się kilkakrotnie o jego uszy nazwiska: Ruskin<sup>84</sup>, Maeterlinck<sup>85</sup>...

Zanim wszakże zdołał pochwycić sens tej rozmowy, wszedł do salonu młodzieniec lat dwudziestu paru i witał się z Korzeckim za pomocą silnego wstrząsania jego prawicy.

Za chwilę przedstawił się Judymowi:

— Kalinowicz.

„Zapewne syn...” — pomyślał doktor.

Młody zwrócił się do Korzeckiego z widoczną satysfakcją i zawiązał z nim rozmowę. Panna Helena przysłuchiwała się jej także, a nawet stary dyrektor zwrócił wkrótce w tamtą stronę swoje krzeselko. Judym onieśmielony

---

<sup>84</sup>*Ruskin, John* (1819–1900) — ang. publicysta, krytyk i teoretyk sztuki. [przypis redakcyjny]

<sup>85</sup>*Maeterlinck, Maurycy* (1861–1949) — pisarz belg.; jego twórczość dramatyczna wywarła duży wpływ na literaturę europejską przełomu XIX i XX wieku. [przypis redakcyjny]

i pełen dziwnego smutku słuchał szelestu wyrazów, ale uczuciami błodził daleko. Zdawało mu się, że słyszy dziwny, piękny śpiew, tak jakby jedną z pieśni Griega<sup>86</sup>, oddalającą się w górach wysokich i, szczególna rzecz, w pewnej miejscowości na Righi, pod samotnym szczytem Dossen, gdzie był raz w życiu.

„Kto to śpiewa i dlaczego to właśnie?” — marzył ustawiając swe nogi na puszystym dywanie w sposób, o ile to było w jego mocy, ozdobny.

— Ani myślę uznawać się za zwyciężonego! — wołał młody człowiek. — Ani trochę! Tego pan nie dowiedzie! Istnieją na pewno kryteria dobra i zła.

— A... skoro istnieją... — z cicha mówił Korzecki.

— Wiemy przecie, że niewolnictwo jest formą życia, do której wracać nie należy. Pan wiesz to samo i tak samo jak ja. I każdy człowiek...

---

<sup>86</sup>*Grieg, Edward* (1845–1907) — wybitny kompozytor norweski; w swojej twórczości czerpał motywy z pieśni ludowych. [przypis redakcyjny]



— Więc cóż z tego?

— Nasza świadomość jest już kryterium. Dobro społeczne...

— Właśnie: dobro społeczne! Zawsze to mówimy i jakoby wiemy, co to jest szczęście i dobro społeczeństwa, ale nigdy nas nie zajmuje szczęście jednostki.

— O, to, to! Szczęście pojedynczego człowieka, jednostki... — wtrącił dyrektor machając ręką.

— Szczęście jednostki musi być podporządkowane dobru ogółu.

— To jest właśnie mowa przemocy nad duszą człowieka... — mówił Korzecki porozumiewając się oczyma z dyrektorem. Szatański uśmiech jak błysk iskierki elektrycznej latał w jego oczach i na wargach. — Ileż to ludzi święta inkwizycja spaliła na stosie dla tej zasady, dla tego kryterium.

— Święta inkwizycja! — pieniał się młody. Co pan za rzeczy wywłóczy, u licha! Ale co to jest szczęście jednostki? Niech no mi pan na to odpowie! Ja tego nie rozumiem.

— Istotnie, jest to coś tak od nas dalekiego, że pan tego nawet wcale nie rozumie. Coś, czego wcale nie znamy... O czym mówił Leopardi<sup>87</sup>, że „jego lubej mary już nie nadzieja znikła, lecz pragnienie...” To jest jasna łąka, kwiatami zasłana, gdzie dusza ludzka może stawiać krok swój swobodny... Możliwość uczynku, mówienia, myślenia, a przynajmniej czucia, przynajmniej wzdychania według swej woli. Szukanie zadowolenia...

— Rozumiem: *hedoné*<sup>88</sup>.

— Masz pociechę, znowu jakieś *hedoné*!

— Rozumie się. Ale tylko jedna uwaga. Chory umysłowo z manią prześladowczą albo jeszcze lepiej: samobójczą — szuka zadowolenia w dążeniu, na przykład, do wydłubania sobie oka. Czy mamy prawo zezwolić, żeby znalazł to zadowolenie?

— Człowiek chory umysłowo podlega fatalnej sile, która, rzecz prosta, do góry nogami

---

<sup>87</sup>Leopardi, Jakub (1798–1837) — wybitny poeta wł.; załamany klęską ruchu narodowyzwoleńczego, trawiony nieuleczalną chorobą, stał się poetą zwątpienia i rozpacz. [przypis redakcyjny]

<sup>88</sup>*hedoné* (gr.) — rozkosz. [przypis redakcyjny]

wywraca jego myśli i uczucia, która... Ale, panie, jaki to zły przykład!

— Dlaczego?

— Niech sobie pan przypomni tego doktora, co to zdjął pierwszy kajdany z nóg i rąk obłąkanych<sup>89</sup>. Bo nie wiem, czy panu wiadomo, że niegdyś „kryterium” nakazywało trzymać chorego w kajdanach. Później nakładano im kaftan i zamykano w celi. Obecnie wynaleziono zasadę: *no restrain*<sup>90</sup>. Ja mam nadzieję, że kiedyś pobyt w szpitalu obłąkanych będzie prawie wolnością, że tam nieszczęsna chora głowa będzie snuła swe marzenia bez przeszkody.

— No, ja nie znam się na tych subtelnościach. Ale weźmy inny przykład: wychowanie dzieci. Najmilsze zadowolenie, gdy byłem w szkole, dawały mi „wagary”, rozkosz prawie jakiegoś szczytne oszukanie belfra, jakiegoś „nabieranie”, „ściąganie”...

---

<sup>89</sup>doktor, co zdjął pierwszy kajdany z nóg i rąk obłąkanych — mowa o fr. lekarzu psychiatrze Filipie Pinel (1745–1826), który wszczął kampanię przeciwko nieludzkiemu traktowaniu obłąkanych. [przypis redakcyjny]

<sup>90</sup>*no restrain* (ang.) — nie więzić, nie ograniczać. [przypis redakcyjny]

— Tak, tak... Wychowanie. Jeszcze niedawno Wincenty Pol wzdychał, a jego czytelnicy również, nad metodą kształcenia dorosłych Benedyktów Winnickich<sup>91</sup> za pomocą batoga, za pomocą wsypywania im *pro memoria*<sup>92</sup> na kobiercu. Pan już nie zgodziłby się na system pana Wincentowy?

— On nie, ale ja... kto wie... — westchnął dyrektor.

Młody człowiek spojrział na ojca z uśmiechem i szczególnym przymrużeniem powiek.

— Pan by się już nie zgodził. Jesteśmy stamtąd o tysiąc mil w kierunku... jasnej łąki. To samo z tym wychowaniem maleńkich ludzi. Jesteśmy o tysiące mil od chederów<sup>93</sup>, które lokują się, być może, gdzieś w sąsiednim domu. Ta sprawa wychowania dzieci pędzi jak pociąg. Widziałem dobrze szkoły szwajcarskie...

— Gdzie istnieje przymus szkolny.

---

<sup>91</sup>*metoda kształcenia dorosłych Benedyktów Winnickich* — w poemacie *Przygody JP Benedykta Winnickiego* Wincenty Pol z uznaniem pisze o batożeniu Benedykta już jako dorosłego człowieka; zgodnie z dawnym obyczajem Winnicki, jako szlachcic, otrzymuje chłostę na kobiercu. [przypis redakcyjny]

<sup>92</sup>*pro memoria* (łac.) — dla zapamiętania, na pamiątkę. [przypis redakcyjny]

<sup>93</sup>*cheder* — początkowa religijna szkoła żydowska. [przypis redakcyjny]

— Gdzie sześćoletnie dziecko z największą przyjemnością idzie do wspólnego domu zabawy. Opowiadają mu tam cudowne baśni. Zawiera tam pierwsze w życiu znajomości i doznaje tajemnych pierwszych rozkoszy poznawania. Ale i z tej szkoły myśl idzie dalej.

— A idzie dalej... Nie ulega jednak wątpliwości, że wyuczenie się abecadła, sylabizowanie i bazgroty kaligraficzne — jest to męka.

— W chederze... jeszcze jaka! Jaka piekielna!

— W szkole również. A tej torturze dziecko musi być poddane. Każde, które tylko przyjdzie na świat i dożyje wieku właściwego. Cierpienie! Wszelka praca jest cierpieniem. Cóż tu mówić! Taka sprawa higieny. Za pomocą czego mogą zwalczyć w naszych miasteczkach epidemię? Rozumie się, że za pomocą przymusu. Co czynić ze zbójami, rzezimieszkami?

— Dajmy pokój zbójom. Ilekroć kto zbyt nastaje na różnych zbójów, takiego doznaję wrażenia, jakby się o coś mścił na nich.

— Więc cóż byś pan z nimi zrobił?

— Ja... ja zrzekam się na to pytanie odpowiedzi.

Korzecki mówił to z oczyma płonącymi. Zdawało się, że między jego otwartymi powiekami stoją przezroczyte ognie.

— Dlaczego? — cichym głosem zapytała panna Helena.

— Dlatego, proszę pani... dlatego... Nie umiem na to odpowiedzieć.

— Dlaczego? — nastawała raz jeszcze.

— Nie umiem. Trochę mię głowa boli.

Młoda panna zarumieniła się. Usta jej drgnęły i wyraz upokorzenia skrzywił je na chwilę. Zapanowało milczenie dość przykre. Słysząc było wycie wichru i uderzenia deszczu w szyby wielkich okien. Korzecki zdawał się tego wcale nie odczuwać. Jadowite uśmiechy mieniły się w jego twarzy. Zaczął mówić nie podnosząc oczu:

— Myli się pan twierdząc, że każda praca jest cierpieniem. Wcale tak nie jest. Pomijam to, że w dziedzictwie otrzymujemy po przodkach nałóg do pracy, co możemy stwierdzić

na bardzo wielkiej liczbie ludzi bogatych, którzy po całych dniach bezinteresownie pracują, ale weźmy... Weźmy co innego. Wszystkie poświęcenia, trudy, ofiary, bohaterstwa. Mickiewicz mówi — niech pan posłucha tych słów przedziwnie mądrych: „Przez ofiarę ducha rozumie czyn człowieka, który otrzymawszy prawdę, utożsamiając się z nią, roznosi ją, objawia, służy jej za organ, za twierdzę i za wojsko, nie zważając na spojrzenia, na głosy i rysy nieprzyjaciela”<sup>94</sup>. Otóż, czy taka „ofiara ducha” jest, czy nawet może być cierpieniem? On sam mówi, że to jest „najboleśniej z wszystkich ofiar”, ale wydaje mi się, że ma na myśli tylko jej wysokość, jej wyniosłość. Człowiek, który utożsamia się z prawdą, musi czuć radość, rozkosz, wtedy nawet, gdy został pobity. Tak przypuszczam. Wtedy nawet, gdy został zmiądzony...

— To chyba paradoks... — rzekł Judym.  
— Zdaje mi się, że w istocie jest to najboleśniej z wszystkich ofiar.

---

<sup>94</sup> „Przez ofiarę ducha...” — zdanie wygłoszone przez Mickiewicza podczas prelekcji w Collège de France w Paryżu dnia 7 II 1844 r. [przypis redakcyjny]

— Nie sędzę. Taki człowiek w czynie swoim doznaje szczęścia. Objawia prawdę, którą otrzymał, to znaczy wyładowuje szczęście, które w nim jest. W tym musi leżeć takie samo zadowolenie jak w zabiegach i matactwach skąpca albo w szwindlach szachraja giełdowego.

Gdy się ta rozmowa toczyła, huczały ciągle gromy i zbliżający się łoskot burzy wstrząsnął całą kamienicą. Nikt na to uwagi nie zwracał, tylko panna Helena po każdym silniejszym ataku wichru spoglądała w okna. Pociski nawalnicy biły w nie, jakby kilka pięści chciało skruszyć ramy. Było prawie ciemno. Zaczął prać deszcz ulewny, ponury i bezlitosny. Kiedy niekiedy przeraźliwy blask oświecał pokój. Wtedy wszystkie brązy, okucia, świecidła i lśniąca powierzchnie rzucały się w oczy i nagle gasły jakby wchłonięte przez szybkie westchnienie, które w głębi piersi twardy strach zapierał.

— Odbiegliśmy od przedmiotu... — rzekł młody. Głos jego wydał się czymś dziwnym w pomruku napełniającym przestwór.



— Nie odbiegliśmy wcale — mówił Korzecki, którego burza, widać, podniecała, bo mówił z jakąś wewnętrzną nagłością. — Czy dla człowieka, który otrzymał prawdę, istnieją pańskie kryteria? Czy pan postawisz je na drodze takiego człowieka?

— Rozumie się! Każdego obywatela należy przytrzymać za rękę, gdy coś przedsięwzię, i zapytać, czy działa z pożytkiem, zbadać, czy nie idzie wbrew, czy nie psuje tego, co ród ludzki pracowicie zbudował.

— Na mocy takich zasad przybito Jezusa Chrystusa do krzyża. Powiedzieli mężowie: „My mamy prawo nasze i według prawa on umrzeć powinien”.

— Przez to cierpienie świat został zbawiony.

— Potęgą zbawienia nie leżała w cierpieniu, lecz w nauce.

— Więc dla pana nie istnieją żadne pewniki? Czyliż nie wiemy na pewno, że dzieciobójstwo albo chińskie mordowanie starców — to są złe rzeczy, a uczucie solidarności między

ludźmi — to jest rzecz dobra? Że mówić prawdę jest dobrze, a kłamać źle? I kto by chciał propagować ideę dzieciobójstwa albo niszczyć uczucie solidarności, powinien być usunięty...

— Że mówić prawdę jest dobrze, a kłamać — źle, tego ja, na przykład, który tu z panem siedzę w jednym pokoju, wcale nie jestem pewny. Częstokroć mówienie, a nawet wyznawanie kłamstwa jest najwyższą cnotą, zasługą i bohaterstwem. Jest ono zupełnie takie samo jak mówienie prawdy. Pozostawiam człowiekowi zupełną swobodę mówienia prawdy albo kłamania. Co jeden człowiek może wiedzieć o prawdzie albo fałszu duszy drugiego człowieka? W sercu ludzkim są takie oceany, pustynie, góry i wędrujące lodowce... Chrystus powiedział: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni”. Oto wszystko. A co do tych dzieciobójstw, niewolnictw, to dialektycznie pan mię pobije, bo z takich pytań wywinąć się nie zdołam. Nie mam wyjścia. Istotnie, wszyscy wiemy na pewno, że wypoliczkowanie paralityka to jest zła

czynność. I kto by to uczynił, powinien być skrepowany. To jest sylogizm — nie ma co. Ale czy pan sobie może wyobrazić człowieczeństwo, jakie mamy na myśli, i tego rodzaju uczynek? Szerzenie idei niewolnictwa jest niemożliwe wśród takich ludzi tak samo, jak niemożliwa to jest rzecz, żebyśmy dwaj weszli do towarzystwa, gdzie zgromadziły się subtelnie wychowane kobiety, i żebyśmy tam zaczęli prowadzić jakąś karczemną rozmowę albo, dajmy na to, pozzrucali ubranie. Dialektycznie można dowieść, że jest możliwe takie nasze zachowanie się, ale sam postępek *de facto*<sup>95</sup> — nie jest możliwy. A przecie nie ma żadnego pisanego prawa, które by zabraniało tej swobody. To cząsteczka właśnie tego uczucia solidarności, które wszystko przeniknie, dyktuje nam tok rozumnej, miłej i dla wszystkich przyjemnej rozmowy. Złe niewątpliwie jest tylko jedno: krzywda bliźniego. Człowiek — jest to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno. Wyjąwszy

---

<sup>95</sup>*de facto* (łac.) — w istocie, w rzeczywistości. [przypis redakcyjny]

krzywdy bliźniego, wolno każdemu czynić, co chce.

— Idylla, proszę pana, idylla, czyli Arkadia<sup>96</sup>. Krzywda bliźniego... Dobrze sobie! A cóż to jest krzywda? Gdzież jej granica?

— Granica krzywdy leży w sumieniu, w sercu ludzkim.

— No, proszę pana, czyż to nie są żarty?

— Nie. To jest myśl najbardziej twórcza ze wszystkich. Na niej świat stoi. Niech no pan pomyśli, co by z nim było, gdyby wymazać te słowa: „Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli się wzajem miłować będziecie”<sup>97</sup>. Miłość między ludźmi należy siać jak złote zboże, a kąkol nienawiści trzeba wyrywać i deptać nogami. Czcij człowieka... — oto nauka.

— Szybkość postępu ludzkiego zależy od rozwalenia czynników, które w poprzek jego łożyska się kładą.

---

<sup>96</sup>*Arkadia* — kraina w staroż. Grecji (na Peloponezie), gdzie głównym zajęciem ludności było pasterstwo; w późniejszych wiekach przedstawiana przez poetów jako kraina szczęśliwości. [przypis redakcyjny]

<sup>97</sup>„Po tym [wszyscy] poznają, żeście uczniami moimi, jeśli się wzajem miłować będziecie” — wg Ewangelii w Nowym Testamencie słowa te wyrzekł Jezus do swych apostołów podczas ostatniej wieczerzy (por. np. J 13, 35). [przypis redakcyjny]

Dyrektor nachylił się do Judyma i półgłosem szepnął:

— Wyznam panu, że wcale nie wiem, o co ci panowie sprzecząją się między sobą z taką zajadłością.

Korzecki, rozmawiając w dalszym ciągu ze swym antagonistą, zwrócił się raptem w tę stronę i rzekł:

— W istocie... *de lana caprina*<sup>98</sup>.

— Jakże zimno... — szepnęła piękna pаниenka, z trwogą spoglądając w okno.

— Boi się pani trochę — pytał Korzecki.  
— Prawda, boi się pani?

— Ależ gdzież tam... Tylko tak raptownie się oziębiło. I ta ciemność.

— Aha, ta ciemność... — Po chwili mówił: — Jakże biednym jest ten, kto teraz iść musi nieznaną, straszną drogą. Kto spieszy się do niewiadomego celu, kto idzie, idzie bez koń-

---

<sup>98</sup>*de lana caprina* (łac.) — (spór) o kozią wełnę, czyli o rzecz błahą. [przypis redakcyjny]

ca... Ten „pielgrzym, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu...”<sup>99</sup>

Ziarna gradu zmieszanego z deszczem zaczęły ciąć w szyby. Rozmowa przycichła.

Judym wstał ze swego miejsca i patrzył w okno. Pośród ulewy i mroku buchał kiedy niekiedy płomień wielkich pieców.

Doktor był nieswój. Myślał o narzeczonej. Ulegał złudzeniu, że gdy się skończy ta burza, gdy zblednie ciemność, to jakaś wieść, jakieś echo, jakiś wyraz da się słyszeć... Ciche westchnienie niby-pociechy wyrwało się z jego piersi. Pisał już list i podał adres. Któż wie, może jaki traf dziwny stamtąd, z tych miejsc ukochanych, przyniesie słowo... Może i ona w tej chwili patrzy się w burzę, może te same uczucia jak prędkie błyskawice oświetlają żalobne mroki...

— Pan doktor, jak słyszałem, wraca właśnie z Paryża? — zagadnął znienacka dyrektor.

---

<sup>99</sup>„pielgrzym, co się w drodze trudzi (...)” — słowa z *Hymnu o zachodzie słońca* Słowackiego. [przypis redakcyjny]

— Dwa lata już minęły od mojego powrotu...

Korzecki zwrócił się z żywością w ich stronę i czekał tylko chwili, żeby się do tego dialogu przyłączyć.

W tym samym momencie lokaj odchylił portierę i złożył ukłon pannie Helenie. Ta wstała i prosiła na herbatę. Przeszli do sąsiedniego pokoju i zasiedli przy obszernym stole zastawionym mnóstwem talerzy, półmisek, szkieł lśniących.

Młody Kalinowicz siedział przy Judymie. Zawiadomił go, że dopiero co skończył politechnikę w Charlottenburgu<sup>100</sup>, że wraca tam jeszcze dla „zrobienia doktoratu”, a tymczasem przypatruje się temu rynsztokowi, którym złoto płynie do Francji.

— Panie! — wołał — włosy powstają na głowie, kiedy się patrzy na to, co się tu dzieje. Nie chcę ubliżyć nikomu, ale taka, na przykład, pomoc lekarska odbywa się w sposób zupełnie

---

<sup>100</sup>*Charlottenburg* — w owym czasie oddzielne miasto pod Berlinem, obecnie jedna z jego dzielnic. [przypis redakcyjny]

pocztowy. W dniu oznaczonym lekarz, „mający pod sobą” z osiem fabryk, jedzie z miejsca na miejsce... Czy to panu nie sprawia czasem przykrości?

— Nie, Boże broń... Pragnąłbym sam znaleźć tutaj zatrudnienie, więc muszę poznać stosunki do gruntu i z każdej strony.

— Czy tak? A wie pan, że to ciekawe... Więc pan pragnąłby tu osiąść... I poczynił pan już w tym celu jakieś kroki?

— Nie, wcale.

— Czy ma pan jakie znajomości?

— Żadnych.

— Ach, tak.

— Niech pan doktor nie bierze czasem do serca wszystkiego, co mój syn mówi o Zagłębiu — wmieszał się dyrektor.

— Jest to niechęć specjalna. Proszę pana...

— Tak, jest to niechęć, a właściwie antypatia specjalna! — cedził młodzieniec.

— Ci ludzie zamordowują tych poczciwych eskulapów. Jest lekarz za darmo, więc do niego kto żyw. Chory, nie chory, z przywidze-



niami, z imaginacją... Tu u mnie w lecznicy nasz doktorek ma na swej godzinie po sześćdziesięciu chorych. Niechże kto powie, czy może być tyle ludzi istotnie chorych w małej osadzie...

— Faktem jest — rzekł młody — że w całym kraju korzysta z porady lekarskiej na koszt właścicieli 41%, a wcale jej nie doznaje 59.

— Skądże znowu takie cyfry?

— Z 856 przedsiębiorstw zbadanych w 818 nie było żadnej pomocy lekarskiej, w 10 ta pomoc istniała faktycznie, w 24 była znośna, a tylko w 4 należyta.

Judym przymrużył powieki i zaśmiał się w głębi swego serca. Jak mara mknęło przed nim wspomnienie walk warszawskich.

— Egzageracja<sup>101</sup> nie tylko we wnioskach, ale nawet w cyfrach — mówił stary z flegmą wytrawnego polemisty. — Rozumiem do gruntu konieczność pomocy lekarskiej, jestem jej zwolennikiem... fanatycznym, że się tak wyrażę higieny... *et cetera*. Ale oto fakt świeży.

---

<sup>101</sup>egzageracja — przesada. [przypis redakcyjny]

Przy wielkich piecach istnieją szale do wciągania rudy. Pod najsurowszą karą nie wolno człowiekowi siadać w szali ani dla wjazdu, ani celem szybkiego spuszczenia się z góry. Czy pan uwierzy, jaka jest statystyka wjeżdzań i zjeżdzań windą? To jest także statystyka, którą powinien być notować sobie w którejkolwiek półkuli mózgu...

— Nie ma gwałtownej potrzeby.

— Aha.

— Z wszelką pewnością.

— Albo drugie. Między dwoma piecami jest pewne zagłębienie, obok którego przechodzi szala. Nikomu do głowy by nie przyszło, że tam wleźć można. Cóż panowie powiecie? Usiadł sobie w tej dziurze na połowie wysokości i gwizdał gapiąc się na dół. Szale idą cicho. Huknęło w czerep i na miejscu. Za to odpowiada fabryka! Tam daszka nie było, uważa pan, daszka nie było!

— Pochlebiam sobie, że w tym miejscu jest teraz daszek... — rzekł młody Kalinowicz

nabierając z półmiska ogromną porcję rostbefu.

— Taki człowiek przy piecach martenowskich, przy walcach, przy drucie zarabia dziennie parę rubli. I jakże to żyje, co robi z tymi pieniędzmi?

— Ciekawa rzecz...

— Hula, żyje nad stan i wpada w długi. Zobacz no pan w niedzielę takiego ryfusia<sup>102</sup>: krawacik modny, chusteczka... Wchodzi do sklepu i rozkazuje: „Daj no pan kołnierzyki, tylko przecie z lepszych, z modnych”. Mydła pachnące sprowadzają sobie specjalne. Teraz właśnie w modzie są mydełka pachnące.

— Czy to w samej rzeczy nie może oburzać? — mamrotał młody zajadając z wilczym apetytem.

— Jest to nie tyle oburzające, ile smutne.

— A czegoż znowu smutne?

— Wszędzie zbytek, zbytek! We wszystkich warstwach społeczeństwa życie nad stan, rozrzutność...

---

<sup>102</sup>ryfus — prostak, cham. [przypis redakcyjny]

— Mydełko — to jest rozrzutność?

— Nikt nic nie oszczędza. Przy takich zarobkach jest to zbiorowisko bankrutów...

— Zmniejszyć bestiom zarobki, to się zaraz utemperują! Nie będzie ani mydełek, ani tych oburzających krawatów.

— Przeciwnie, trzeba podnosić, co tchu. podnosić! Niech sobie posprowadzają cylindry z Paryża, paltoty z Wiednia...

Lokaj obniósł półmisek i zmienił talerze.

Był to już wieczór, kiedy po wypiciu herbaty wszyscy, z wyjątkiem panny Heleny, opuścili jadalnię i znaleźli się w gabinecie. Palono cygara. Korzecki z przepyszną miną trzymał w ustach olbrzymie jak marchew. Młody Kalinowicz rozpoczynał dalszy ciąg swej dysputy z ojcem, gdy wtem znowu wszedł lokaj, ostrożnie zbliżył się do Korzeckiego i coś mu szepnął do ucha.

— Ach, do mnie... Zapewne z listem?...

— Nie wiem, proszę łaski pana inżyniera. Mówi, że ma pilny interes.

— Tutaj? — spytał Korzecki z niedbałym ruchem.

Nie wyjmując z ust cygara poszedł za lokajem.

Judym pragnął przyspieszyć koniec tej wizyty, wyjść co prędzej. Ujął pod rękę młodego Kalinowicza i zapytał, dokąd poszedł Korzecki.

— Rozmawia z jakimś posłańcem, który go aż tu odnalazł.

W sercu Judyma przesunęło się marzenie: list od Joasi...

— Panie — rzekł cicho do młodego człowieka — czy nie mógłbym zobaczyć tego posłańca? Oczekuję na pewną wiadomość, która mię bardzo niepokoi... Może to list do mnie...

— Proszę uprzejmie... — krzyknął młody bursz rozsuwając krzesła po drodze.

Znaleźli się w pustym korytarzu, z którego drzwi wychodziły na schody. Schody te nie były załamane, lecz stromo jak drabina stały przyparte do budynku, prowadząc z piętra na ziemię.

Judym, stojąc we drzwiach sieni, zobaczył na dole światło. Korzecki trzymał w ręku świecę, której płomieniem chwiał wicher wdzierający się przez szczeliny desek. Drzwi na dole były zamknięte, ale bryzgi deszczu wpadały wszystkimi otworami. Ulewa dudniła po dachu przybudówki.

Obok samych drzwi stał posłaniec. Był plecami wsparty o ścianę.

Miał na głowie czapkę z daszkiem, na sobie obszerne letnie palto, grube buty. Był przemoczony do suchej nitki. Struga wody lała się z niego i dokoła nóg tworzyła kałużę.

Przypatrując się z uwagą, Judym spostrzegł, że ten człowiek drży na całym ciele. Głowa jego zwisała na piersi i była charakterystycznie bezwładna, jak u ludzi z przemoczoną koszulą.

Inżynier rozmawiał z nim półgłosem, który ginął w szumie wiatru.

„To nie do mnie...” — pomyślał Judym i serce jego ścisnęło się od bezbrzeżnego żalu.

Korzecki wziął w rękę pakunek przyniesiony przez mokrego drapichrusta i szedł w górę

po schodach. Gdy na ich szczycie ujrzał Judy-  
ma, zachnął się i ostrym głosem krzyknął:

— Co tu robicie?

— Myślałem, że to może do mnie z poczy-  
ty...

— Nie, nie... Co znowu! To ten głupiec,  
przemytnik.

— Przemytnik?

— Tak. Dowiedział się od kogoś, że tu je-  
stem... Widzicie, jakie to nerwy! Nie myśla-  
łem, że was tu zastanę, i od razu... Piękny gło-  
sik ze siebie wydobyłem, ani słowa... Samemu  
głupio go usłyszeć, a cóż dopiero mówić o de-  
likatnych bliźnich.

— Przepraszam was, bo to ja niepotrzeb-  
nie...

— Ale gdzież tam! Przemytnik... — mó-  
wił szeptem. — W Katowicach dwa tygodnie  
temu zostawiłem paczkę kortu na ubranie. Ku-  
piłem ten kort w Krakowie. Bardzo lubię taki  
gatunek. Może i wy weźmiecie dla siebie. Nie  
chciało mi się płacić. Szepnąłem temu fran-  
towi, żeby mi to przyniósł którego dnia. Dziś

miał chwilę pomyślną, więc mię aż tu wygrzebał.

— Ten człowiek się rozchoruje. Widziałem, jak drży.

— Tak sądzicie?

— Cóż tu sądzić?

— Trzeba mu dać kieliszek wódki. Trzeba co prędeej. Człowiek się rozchoruje!

Poszedł prędko i zdybawszy przy drzwiach stołowego pokoju lokaja mówił:

— Mój bracie, weź też z łaski swej i wynieś człowiekowi, co tam stoi, kieliszek wódki. Daj mu, wiesz, zresztą dwa kieliszki, a nawet trzy.

— Niech wypije trzy kieliszki... — dorzucił Judym.

— Wiecie co, doktorze, bądźcie tak dobrzy i sami mu zanieście. Zobaczycie, czy w samej rzeczy tak przeziął...

— Z chęcią...

Judym wziął z rąk lokaja ozdobną flaszkę z wódką, kieliszek, świecę i zeszedł po schodach.

Przemytnik stał w ciemności.



Zdawał się drzemać...

Judym postawił świecę na ziemi i nalał płynu w kryształową lampkę.

Wtedy drab podniósł głowę i otworzył oczy. Były to duże, jasnoniebieskie oczy...

Ręka Judyma, w której trzymał kubek, zdrętwiała jakby od gwałtownego zimna.

Przemytnik wypił chciwie jeden kieliszek, drugi, trzeci. Potem, nie kiwnąwszy głową, otworzył drzwi i znikł w czarnej czeluści nocy, którą zalewała nawałnica.

We dwie godziny później Judym wracał z Korzeckim do domu powozem. Deszcz ustał. Była ciemna noc, pełna oparu i wstrętnego chłodu. W mroku niezdożytym zdawały się chodzić cielska mgliste, białawe, zgniłych wyziewów. Drogi były zalane wodą, która spod kół z wrzeszczącym sykiem rozlatywała się na wszystkie strony. Gdy wyjechali z zaułków, Korzecki wstał ze swego miejsca i trzymając się rękoma sztaby przedniego siedzenia coś furmanowi tłumaczył. Siadając rzekł do Judyma:

— Może zechcecie przejechać się? Czas pyszny! Wilgoć...

Po chwili dodał:

— Możemy jechać do krawca, któremu oddam zaraz ten materiał na ubranie. Po co to mam trzymać w domu? Nieprawdaż? Miejsce tylko zawala i nic więcej...

— Jak uważacie. Co do mnie, to przejechałbym się z ochotą.

— Więc wal, bracie, a ostro, ostro... Dostaniesz tylego rubla jak przednie koło.

Konie, ściągnięte batem, skoczyły z miejsca i poszły. Jechali dosyć długo, w milczeniu.

W pewnym miejscu ukazały się lampy elektryczne otoczone grubymi mgłami. Światło zanurzone tworzyło dokoła siebie kręgi smutne niby obwódki, które są cieniami oczu ludzi chorych. Między drogą a tym światłem leżały jakieś martwe wody. Sinawe lśnienie pełzało po ciemnych falach płaskiego zawaliska. Szło z biegiem powozu, biegło z nim, jakby pewna wskazówka ostra, z ciemności nocnej wychodząca.

— Gdzie my jesteśmy?

— Nad kopalnią.

— A skąd tu ta woda?

— Pokład węgla jest tu bardzo gruby, ale w głębokości paruset metrów. Ten węgiel jest już wybrany. Ziemia się osunęła w próżnię, wgięła się jej powierzchnia. Teraz w takiej miednicy gromadzi się woda.

Umilkł. Znowu jechali długo, nic do siebie nie mówiąc. Byli w jakichś polach. Korzecki siedział wtulony w kąć trzymając na kolanach swój pakunek. Zaczął coś szeptać.

— Co powiadacie? — zapytał doktor.

— Nic, ja tak do siebie często mamroczę.

Czy pamiętacie taki wiersz:

Żem prawie nie znał rodzinnego do-  
mu,  
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze  
trudzi  
Przy blaskach gromu...<sup>103</sup>

---

<sup>103</sup>Żem prawie nie znał (...) przy blaskach gromu — cytat z *Hymnu o zachodzie słońca* (inc. *Smutno mi, Boże!*) Juliusza Słowackiego. [przypis redakcyjny]

Judym nic nie odpowiedział.

— „Żem był”... Co za straszne słowo!...

Była to niewymowna minuta wcielenia się dwu ludzi w jedno...

Korzecki odezwał się pierwszy:

— Musiały wam się głupimi wydawać moje dzisiejsze popisy. Paplałem jak pensjonarka.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć...

— Właśnie. Ale to było konieczne. Miałem w tym swój interes. Czy nie rozumieście, o co mi chodzi?

— Były chwile, że doświadczałem wrażenia, jakbyście mówili na przekór sobie.

— A gdzież tam! To nie.

— Więc myślicie, że zbrodnia jest to absolutnie to samo co cnota?

— Nie. Myślę tylko, że „zbrodnia” powinna być tak samo wyzwolona jak cnota.

— Ach!

— Duch ludzki jest niezbadany jak ocean. Spójrzycie w siebie... Czy nie zobaczycie tam ciemnej otchłani, w której nikt nie był? O której nikt nic nie wie? Siłą przymusu ani żadną

inną nie może być wytrzebione to, co nazywamy zbrodnią. Wierzę mocno, że w tym duchu nieogarniętym sto tysięcy razy więcej jest dobra — ależ co mówię! — w nim wszystko, prawie wszystko jest dobre. Niech tylko będzie wyzwolone! Wtedy okaże się, że złe zginie...

— Czyliż w to można uwierzyć?

— Widziałem gdzieś rycinę... Na słupie obwieszony został zbrodniarz. Tłum sędziów schodzi ze wzgórza. Na każdym obliczu maluje się radość, zwycięstwo... Kaza mi wierzyć, że ten człowiek był winien.

— A cóż wam dowodzi, że tak nie było. Może to był ojcobójca? Co wam pozwala czynić przypuszczenie, że tak nie było?

— Mówi mi o tym... Dajmonion<sup>104</sup>.

— Kto?

— Mówi mi o tym coś boskiego, co jest we mnie.

— Cóż to jest?

---

<sup>104</sup>*Dajmonion* (gr.) — wg gr. filozofa Sokratesa (469–399 p.n.e.) głos wewnętrzny pochodzenia boskiego, powstrzymujący człowieka przed niewłaściwymi czynami. [przypis redakcyjny]

— Mówi mi to w głębi serca. W jakimś podziemiu to słyszę... Poszedłbym i całował stopy tego, co zawisł. I gdyby tysiące świadków wiarogodnych przysięgły, że to jest ojcobójca, matkobójca, zdjąłbym go z krzyża. Na podstawie tamtego szeptu... Niech idzie w pokoju...

Furman zatrzymał się przed jakimś domem.

Było tak ciemno, że Judym ledwo odróżniał czarną masę budowli. Korzecki wysiadł i znikł. Przez chwilę słychać było szelest jego kroków, gdy brnął w kałużach. Później otwarły się jakieś drzwi, pies zaszczekał...

## ASPERGES ME...

W sąsiedztwie miał Korzecki jeden dom znajomy, gdzie czasem, raz około Wielkiejnocy, bywał z wizytą. Była to niezamożna, prawie uboga familia szlachecka. Ci państwo dzierżawili kilkusetmorgowy folwark donacyjny<sup>105</sup> w lichej,

---

<sup>105</sup>*folwark donacyjny* — w Królestwie Polskim majątki skonfiskowane Polakom rząd carski przekazywał w darze „zasłużonym” urzędnikom i wyższym oficerom (nowi właściciele majątki te najczęściej puszczały w dzierżawę). [przypis redakcyjny]

kamienistej glebie. Jechało się do tej wioski lasami, po wertepach, jakich świat nie widział.

Pewnego dnia, wróciwszy z włości piechotnej na obiad, Judym zastał we wspólnym mieszkaniu ucznia gimnazjum, który czerwieniąc się i blednąc rozmawiał z Korzeckim daremnie usiłującym go ośmielić. Gdy Judym wszedł, gimnazysta ukłonił mu się kilkakrotnie i jeszcze bardziej spuszczał oczy.

— Pan Daszkowski... — rekomendował go inżynier. — Przyjechał prosić was, czy byście, panie konsyliarzu, nie chcieli odwiedzić jego chorej matki. Są konie. Ale was uprzedzam, że to dwie mile drogi. Prawda, panie Olesiu?

— A tak, droga... bardzo zła...

— Ech, źle pan usposabia doktora! Trzeba było zapewnić, że jak po stole...

— A tak... aleja...

— Niechby pocierpiał.

Uczeń, nie wiedząc, co mówić, miał tylko czapkę w rękach i przestępował z nogi na nogę.

— A na co chora mama pańska? — zagadnął Judym tonem jak najbardziej delikatnym,

tym głosem, co jest jak ręka czuła i dźwigająca do góry z całej mocy, z całej duszy.

— Na płuca.

— Czy kaszle?

— Tak, proszę pana doktora.

— I dawno to już?

— Tak, już dawno.

— To jest... jakie dwa, trzy lata?

— Jeszcze dawniej... Jak tylko zapamiętam...

— Jak tylko pan zapamięta, mama była chora?

— Kasłała, ale się do łóżka nie kładła.

— A teraz leży?

— Tak, teraz już tylko ciągle w łóżku. Już mama nie może chodzić.

— Dobrze, proszę pana, to pojedziemy. Można zaraz.

— Jeżeli tylko pan doktor...

— O, musimy naprzód zjeść obiad — to darmo! — wtrącił się Korzecki.

— Ale jeśli pan doktor... — z pośpiechem mówił uczeń.



W tej samej chwili zauważył, że pali głupstwo, i do reszty się zmieszał.

— Widzi pan... doktor musi się najeść. A i pan pewno głodny, panie Olesiu.

— Ja... o, nie! Ja nie. Pan inżynier tak łaskaw...

Wkrótce dano obiad.

Uczniaczek wzbraniał się, jadł półgębkiem i ani na chwilę nie odrywał oczu od talerza. Korzecki tego dnia był jakiś zimny i skulony. Rozmawiał z trudem. Gdy konie przed dom zaszyły i Judym już schodził, inżynier ujął młodego chłopczyka za szyję i włókł się tak z nim po schodach.

Na samym dole rzekł:

— Niech się pan pokłoni ode mnie mamie, ojcu. Chętnie bym państwa odwiedził, ale cóż... Żadną miarą... Tyle tu roboty. Niech pan jednakże powie mamie, że da Bóg, zobaczymy się wkrótce.

Judym przypadkowo rzucił okiem na jego twarz. Korzecki był jakiś szary. Z oczu jego płynęły dwie łzy samotnice.

— Da Bóg, zobaczymy się wkrótce... —  
powtórzył na swój sposób.

Licha, rozklekotana bryczka ruszyła się z miejsca. Ciągnęły ją dwie szkapy zbiedzone i w dodatku nierówne. Jedna z nich — było to kobyłsko chłopskie, z wielkim, spuszczoneym łbem, a druga pochodzić musiała z jakiejś „stajni. Teraz już tylko grzbiet jej, wystający jak piła, imponował towarzysze z gorszej rasy. Na koźle siedział chłop w kaszkiecie i guńce, który budził z odrętwienia *chabety* wiozące godne osoby takimi samymi środkami, jak wówczas gdy odstawiał nawóz albo ziemniaki.

W istocie, droga prowadząca do owego folwarku należała do bezwzględnie polskich. Jechało się wciąż lasem. Jakaś chmurna ciemność kryła się między martwymi drzewami, co rosły w sapowatej<sup>106</sup> glebie. Droga zarośnięta zdeptaną trawą, pełna kamieni, które w nią wrosły, wiła się wśród gęstej, młodej świerczyny. Skręty jej wciąż przepadały między zielenią, jakby

---

<sup>106</sup>*sapowaty* — błotnisty, bagnisty. [przypis redakcyjny]

się leśnym obyczajem, na wzór zwierząt, kryły przed oczyma ludzkimi.

Wzrok Judyma błędził w zadumaniu po miękkich mchach i biało-zielonych listkach borówek. Każda łodyżka mchu była zbudowana z gwiazdek świetlistych, jakby z promieni słońca, co zetknąwszy się z ziemią w czułe roślinki się przestoczyły. Gdzieniegdzie pośród tej królewskiej, kochanej, miękkiej zieleni widać było kamionkę szarosinych gładów. Szpakowate, w mech suchy obleczone pnie jodełek przecinały widnokrąg daleki. Gdy konie weszły w las głębszy, pod cień jodeł i świerków, przecięły drogę węzowiska czarnych korzeni. Co chwila wózek trzeszczał, gdy jego szprychy zanurzały się po osie w głębokie bajorka kisnące w tych miejscach od wieków. Już tam mchy ledwo się mogły wybić z głębi żółtaworudej powłoki zeschniętych igieł. Wszędzie leżały szyszki i obłamane, suche, białawe gałęzie.

Tu i ówdzie czerniał stos gnijącego chrustu i daleko rozmiecione trzaski po drzewie ściętym.

Czasami wózek włókł się w głębokim, szczerym, żółtym piasku, który sypał się z obręczy cicho sycząc.

Był to jedyny szelest w tym obszarze. Raz tylko gdzieś w oddali rozległo się chrupiące wołanie żołąny.

Słońce wchodziło do głębi leśnej jakby ukradkiem. Cienie drzew i gałęzi były tak głębokie, że o tej porze stała tam jeszcze rosa.

W jakimś miejscu otwarła się przed oczyma polanka, ze wszystkich stron lasem jakby ramieniem kochającym objęta na śmierć i życie, na wieczne czasy. Wśród tej darni zielonej czerniały kępy jałowcu. Pod przeciwległą ścianą świerków białął jak czaszka samotny, obdarty z kory pniak drzewa nisko ściętego.

W ciszy latał biały motyl siadając na listkach kędzierzawej murawy, ledwie okrywającej nieurodzajną ziemię.

Pomiędzy siwymi kamieniami stał żółty, przyziemny kwiatusek i patrzył w słońce rozwartą źrenicą.

Była cisza tak głęboka, że słyszało się ciche, drżące dzwonienie świerszcza polnego. Człowiek mógł liczyć bicie swego serca i uczuwać szelest krwi biegnącej w żyłach.

Przychodziły myśli dziwne, natchnione, jakby nie myśli człowieka, tylko jej, tej zaklętej, zaczarowanej polany. Widziało się, że ten skrawek leśnej łąki jeden jedyny jest na świecie, że człowiek po to żyje, aby weń zatopił ducha swego i marzył. Żeby marzył o tych rzeczach, które leżą w głębi, w ciemności, w zamknięciu, które nie przemijają, nie giną, które są proste, naiwne i bezczelne jak ta polanka. Żeby dozwalał z serca swego płynąć wszystkiemu, co w nim jest, wszelkiej świętości i brzydocie.

Uczniaczek wciąż milczał. Był z uszanowaniem zwrócony w stronę Judyma i tylko *tak* i *nie* odpowiadał na jego pytania.

Okolo godziny czwartej las się urwał, a za nim odkryły się pola. W dali widać było grupę drzew i folwark.

— To już Zabrzezie... — rzekł uczeń.

Wkrótce wjechali na podwórze folwarku. Była to nędzna siedziba. Dwór opuszczony, jeszcze bardziej niż budynki folwarczne, przed którymi gnił nawóz i szklila się fioletowa gnojówka, białął w cieniu czterech lip rzędem rosnących u wejścia. Tam stało posłanie, na którym leżała chora.

Zjawienie się bryczki wywołało istny popłoch w otoczeniu domu. Biegały tam różne osoby. Naprzeciwko Judyma wyszedł jegomość mocno szpakowaty, ogorzały i rekomendował się jako mąż chorej. Za nim sunęły z ciekawą trwogą dwie nieładne panny, dla których ten przyjazd był zapewne fenomenalnym zdarzeniem.

Judym wziął się bez zwłoki do badania chorej. Była to kobieta lat czterdziestu paru, zeschnięta niby wiórek. Ceglasty wypiek jak równa elipsa płonął na jej lewym policzku. Pierwsze zbadanie wykazało od razu suchoty w ostatnim stadium. Tylko dla zamaskowania istoty spostrzeżeń Judym długo i szczegółowo słuchał, jak resztką siły pracują te biedne płuca.

Gdy już nic nie zostawało do zrobienia, uczuł dziwny smutek.

„Cóż tu powiedzieć? — myślał. — Czy kłamać i udawać?

— Jakże pan konsyliarz znajduje stan mego zdrowia? — spytała chora, gdy usiadł na krześku i myślał.

— Proszę pani... nie będę ukrywał, że to jest stan dość ciężki, ale z tym ludzie żyją, osobliwie na wsi. Znam wiele wypadków tego rodzaju. Ja pani przepiszę szczegółową kurację.

— Ach, będę panu konsyliarzowi wdzięczna do śmierci... — szepnęła patrząc w twarz jego płomiennym wzrokiem. — Tak pragnę żyć jeszcze, tak pragnę... Dzieci, całe gospodarstwo na mojej głowie, a ja tu leżę i leżę. Gdyby mi tak piasku na oczy nasypano, cóż by się stało.

— Proszę pani, o gospodarstwie trzeba zapomnieć zupełnie.

— Ach, czyż to można, panie konsyliarzu... Te łotry, chłopcy tutejsze! Czy można mieć

taką służbę, żeby sobie dać radę. Wszystko to złodziej na złodzieju.

— Dobrze, dobrze. Musi pani zapomnieć, że oni na świecie istnieją. Trzeba leżeć na świeżym powietrzu, jeść...

— Ja tu piłam odwar wygotowany z kory sosnowej.

— Z czego?

— Z kory sosnowej. To się suszyło na blasze...

— Teraz już pani tego nie będzie używała. Trzeba pić koniak i mleko.

Przez cały czas wykładu o kuracji, jaką stosować należy, w pokojach dworu słychać było bieganie, szepty, szcęk talerzy. Wkrótce szlachcic prosił Judyma do stołu. Chorą, za chwilę, wobec zbliżającej się nocy, miano przenieść do sypialni.

Puklerz słoneczny schodził we mgły szerząc w nich krwawe koło. Ciemny opar rozpościerał się nad ziemią i wchłaniał słońce, które ociężale zapadało w jego toń głęboką i pełną stokrotnego smutku. Do serca wkradał się bolesny zgiełk



i trwożliwy żal, jakby ta święta, płomienna kula już nigdy wstać nie miała z ciemności. Judym doznał żalobnego tchnienia w samej głębi siebie. Nie mógł zrozumieć, co mu jest. Oczy jego przypadkiem zwróciły się na chorą...

Siedziała na swym posłaniu w koszuli, taka biedna, znędzniała, taki ubogi szkielet... Wargi jej szeptały słowa modlitwy, dłonie były złożone, ściśnięte, a z oczu kapały łzy ciche. Oczy te patrzyły daleko, w słońce, które szło w zaświaty, w noc niewiadomą, w drogę wieczną. Judym pierwszy raz w życiu swym wsłuchiwał się w ciszę taką, w ciszę polną i leśną.

Wówczas gdy siedział zadumany, rozdarł to milczenie krzyk przerażający. To stary paw, który co noc siadywał na szczycie dworu, wydał ze siebie ten dziki, surowy, żelazny, zardzewiały wrzask. Echo jego leciało przez pola utopione w milczeniu, przez mgły, przez lasy otaczające. Chora wzdrygnęła się i chuda jej ręka spotkała się z ręką doktora...

— Jak ja się boję, panie doktorze...

— Czego, pani?

— Czegoś takiego...

— Nic, nic... Niech pani ścisnie mię za rękę. Czegóż się tu bać...

— Tak nie lubię, kiedy ten stary paw krzyczy. Zdaje mi się, że to nie on, tylko...

— Ach, któż to widział!

Zniżyła głowę i, wlepiając ogromne płomień oczu swych w jego twarz, szeptała:

— Panie konsyliarzu, niech się pan zlituje i trochę, trochę przedłuży mi jeszcze życia. Ja pragnę, muszę jeszcze żyć! Chcę wiedzieć, co będzie z Olesiem! Chcę wiedzieć, co się z nim stanie...

Judym podniósł oczy i zobaczył figurkę ucznia stojącą przy plecionym parkanie. Ten chłopiec płakał ukrywając twarz w dłoniach.

— To taki jedyny mój syn... On mię tylko jeden kochał... I córki to samo, ale on... Któregoś tu dnia nasza kucharka poszła na jarmark, bo to już teraz każdy robi, co mu się żywnie podoba, to on wziął, sam zabił, opracił i upiekł mi kurczę na rożnie. Ale zapomniał osolić...

Zjadłam calutkie, słowa mu nie mówiłam, że bez soli... Łzami sobie osoliłam te kosteczki...

Słońce zagasło. Zorza jego była ruda i skąpa, siejąca nie światło, lecz trwogę.

— Tak żałuję — mówiła chora — że pan Korzecki nie może przyjechać. Obiecał, że nas odwiedzi, a już tyle czasu nie był... Kiedy się też znowu zobaczymy...

— Pan Korzecki — odezwał się Oleś — mówił, że ma nadzieję niedługo zobaczyć się z mamusią...

Judym zjadł na kolację mnóstwo kurcząt, sałaty ze śmietaną i wieczorem odjechał.

Milczący furman wioził go tą samą drogą.

Było ciemno. Księżyc nie świecił, tylko gdzieś niegdzie rozpraszała swój cichy blask gwiazda samotna. Czarny las tonął w mroce, we mgle chłodnej, co jak woda lała się przez gałęzie.

Judym zamknięty był w sobie. W duszy jego budziły się myśli, jak dzieci, które dotąd spały, a teraz podnoszą cudowne główki i szczerymi ustami wypowiadają, co przez serce ich płynie.

Dziwne myśli...

Zdawało mu się, że ta chora kobieta, której nic pomóc nie mógł, jest to najbliższa jego istota. Były chwile, kiedy mu się widziało, że to on sam leżał na tym posłaniu, wpatrywał się w gasnące światło, że jego usta szeptały cichą modlitwę... Sennym, drzemiącym okiem wpatrywał się w całe życie tej kobiety, przechodził je wzdłuż ostrymi myślami i widział jak na dłoni.

Bryczka wtoczyła się na polankę.

Jasna mgła rozlała się tam jakby śniąca woda. Nieruchome szczyty świerków ledwo się odbijały na ciemnym tle nieba. Niżej stał mrok leśny, nieprzebity, kamienny.

Judym wyteżył oczy i zaczął szukać białego pniaka, który tu przejeżdżając widział — i oto nagle zląkł się aż do gruntu serca. Z dala, z dala nadleciał po rosach krzyk pawia.

Doktor zamknął oczy, głowę wtulił w ramiona, zgarbił się i drżącymi wargami coś do siebie szeptał.

# DAJMONION

Doktor Judym otrzymał urząd lekarza fabrycznego i zamieszkał w pobliżu kopalni węgla. Życie jego weszło w fazę zwyczajnej, poziomej pracy. Korzecki, który blisko o milę drogi rezydował, był jedynym jego znajomym. Zjeżdżali się wieczorem od czasu do czasu i trawili na rozmowie parę godzin. Było to jednak towarzystwo niezdrowe. Korzecki męczył. Z jego zjawieniem się wchodziła do mieszkania trwoga i jakiś bolesny smutek.

Pewnego popołudnia w sierpniu Judym otrzymał list przez umyślnego człowieka. Była to ręka Korzeckiego na jakimś urywku schematów kancelaryjnych skreślona cytata z Platonowej *Apologii Sokratesa*<sup>107</sup>:

Objawia się we mnie jakieś od Boga czy od bóstwa pochodzące zjawisko...

---

<sup>107</sup>Platonowa „*Apologia Sokratesa*” (właśc. *Obrona Sokratesa*). — Uczeń Sokratesa, Plato (427–347 p.n.e.) twórca szkoły idealistycznej w filozofii, odtworzył w tym dziele słynną obronę Sokratesa przed sądem ateńskim, który skazał go na śmierć za rzekome nieuznawanie oficjalnej religii i demoralizację młodzieży. [przypis redakcyjny]

Zdarza się to ze mną począwszy od dzieciństwa. Odzywa się głos jakiś wewnętrzny, który, ilekroć się zjawia, odwodzi mnie zawsze od tego, cokolwiek w danej chwili zamierzam czynić, sam jednak nie pobudza mnie do niczego...

To, co mnie obecnie spotkało, nie było dziełem przypadku; przeciwnie, widoczną dla mnie jest rzeczą, że umrzeć i uwolnić się od trosk życia za lepsze dla mnie sądzono. Dlatego właśnie ów Dajmonion, ów głos wieszczcy nie stawiał mi nigdzie oporu.

Judym bez szczególnego niepokoju przeczytał te wyrazy. Był przyzwyczajony do dziwactw Korzeckiego i sądził, że ma przed sobą jemu tylko właściwą formę zaproszenia do odwiedzin.

Mimo to żądał koni.

Ledwie wyjechał za bramę, ujrzał powóz, co koń skoczy, w tumanach kurzu, bocznymi drogami pędzący w stronę jego mieszka-

nia. Myślał, że to konie ponoszą... Kazał swemu furmanowi stanąć i czekać.

Tamten pojazd wypadł na szosę i gnał co pary w koniach. Gdy obok przelatywał jak burza, Judymowi udało się spostrzec, że siedzi w nim tylko furman na koźle. Człowiek ten coś krzyczał.

O jakie ćwierć wiorsty zdołał zatrzymać swe konie i nawrócić. Płaty piany padały z ich pysków, powóz okryty był szarą masą pyłu. Furman krzyczał:

— Pan... inżynier...

— Kto taki?

— Pan inżynier!

— Korzecki?

— Tak, pan... Korzecki...

Judym wysiadł ze swego powozu i ruchem instynktownym skoczył w tamten. Konie poleciały znowu jak huragan. Patrząc na ich mokre kadłuby lśniące się w burym kurzu, Judym myślał tylko o tym, jak piękną jest taka jazda. Było mu dobrze, miło, pysznie, że to po niego

mianowicie pędzono z taką furją. Rozparł się, wyteżył nogi...

Zanim zdążył przejść do jakiegokolwiek innego uczucia, powóz stanął przed mieszkaniem.

Jacyś ludzie rozbiegli się.

Ktoś przytulił się do ściany na schodach, aby nie tamować drogi. Drzwi były otwarte.

W drugim pokoju, na sofie, która służyła za łoże gościnne, leżał Korzecki w ubraniu, okropną masą krwi do szczytu zwałanym.

Głowa jego była rozstrzaskana.

Na miejscu lewej części czoła i na całym lewym policzku stała kupa krwi stygnącej.

Judym rzucił się do tego ciała, ale natychmiast wyczuł, że ma przed sobą zwłoki. Serce nie biło. Rozstawione palce jednej ręki były twarde i czarne jakby z żelaza.

Doktor przymknął drzwi i bezmyślnie usiadł. Huk rozlegał się w jego głowie i trzask kopyt, w galopie pędzących po twardych kamieniach. Trzask kopyt, w galopie pędzących po twardych kamieniach...



Oczy szły leniwie z przedmiotu na przedmiot.

Wszystkie sprzęty były rozwarte i odzież z nich wywalona. Oto nie zamknięta szufladka stołu. Leżał tam wielki atlas anatomiczny. Rozłożony był na karcie z wizerunkiem głowy.

Od tyłu czaszki ku przodowi szła grubo narprowadzona czerwonym ołówkiem kresa w kierunku lewego oka. Tuż przy niej były kilkakroć wypisane jakieś cyfry i literki.

Judym odrzucił ten atlas i usiadł w kącie. Był tam rodzaj niszy między dwiema szafami.

Tyle razy widział już śmierć, tyle razy badał ją jak zjawisko... Dziś pierwszy raz w życiu spostrzegął niby to rysunek jej istoty. I oddawał jej pokłon głęboki. Linia czerwona ze strzałką u końca swego zdawała się zbliżać, i rzecz dziwna, przypominała tę wskazówkę na wodzie zawaliska widzianą tamtej nocy. Drzenie tajemnicze przejmowało go w najgłębszej komorze serca, jakby miał usłyszeć bicie okrutnej godziny.

Gdy tak siedział zatopiony w sobie, drzwi się cicho otwały i ktoś wszedł.

Był to wysoki blondyn. Miał duże, jasnoniebieskie oczy.

Judym go poznał.

Człowiek ten wszedł szybko do izby, gdzie leżał umarły. Nie dostrzegł wcale Judyma.

Oczy jego skierowały się na bezduszne ciało z jakimś dziecięcym zdumieniem. Wylękłe usta coś szepnęły. Schylił się nad zwłokami, podłożył delikatnie i ostrożnie ręce swoje z dwu stron pod głowę nieżywą, unosił ją do góry, jakby pragnął ocucić śpiącego.

Z kolei wziął w swoje dłonie rękę lewą.

Usiłował rozprostować pięść zaciśniętą, zgiąć palce. A gdy nie poddawały się zmartwiałe członki, chuchał na te bolesne stawy i rozgrzewał je wargami. Zdziecinniałymi w bólu ruchy poprawiał włosy zmarłego, zapinał guziki jego surduta... Dopiero po długiej chwili zatrzymał się i stanął nieruchomy.

Trwożliwą ręką otarł swe czoło...

Judym widział głębinę jego duszy, która wtedy ujrzała istotę śmierci.

Nieznajomy przychodzić usiadł obok nóg Korzeckiego i patrzył nań szerokimi oczyma.

Piersi jego wznosiły się z jękiem urwanym i rzeźącym, jakby z nich miał wybuchnąć krwotok. Skrzywione usta ciskały jakieś krótkie, urwane słowa...

## ROZDARTA SOSNA

Rano przed ósmą Judym zdążył piechotą na dworzec kolejowy. Był to jeden z pierwszych dni września. Jeszcze słońce pieściło się z ziemią i posępne, czarne domy obłóczyły na się szaty jego świetliste.

Poprzedniego dnia Judym otrzymał kartkę od Joasi z zawiadomieniem o jej przyjeździe. Razem z babką i panną Wandą dążyła do Drezna, gdzie miały się spotkać z Karbowskiemi. Babka chciała spędzić dwa dni w Częstochowie. Ona, panna Joasia, jeden dzień miała poświęcić na odwiedzenie kuzynki mieszkają-

cej w pewnej miejscowości Zagłębia. Donosiła, że wysiadłszy na dworcu, pragnie zobaczyć twarz kuzynki, że chciałaby spędzić ten cały dzień „kochany” na zwiedzaniu fabryk i rzeczy godnych widzenia.

Podkreśliła także grubymi liniami sentencję, gdzie wyrażona była decyzja nieodwiedzenia nikogo. Judym czytając te wyrazy doświadczał wrażenia, że litery krwią spływają i kurczą się z bólu... Szedł na dworzec myśląc właściwie tylko o tym, co zawierało się w tym życzeniu. Świst lokomotyw na stacji ścisnął mu serce.

— Ach, gdyby to nie dziś, gdyby tylko nie dziś... Żeby się to chociaż już było zdarzyło...  
— szeptały jego blade wargi.

Na dworcu spotkał już kilka osób, które go uchyleniem kapelusza witały. To jeszcze bardziej odbierało mu pewność siebie.

W dali rozległ się sygnał zwiastujący pociąg i wkrótce, jak barwne dzwona węża, długie ciało zaczęło się przeginać w zwrotnicach. W jednym z okien doktor zobaczył Joasię. Była

ubrana w skromny kapelusik podróżny. Miała szarą suknię. Gdy szła ze schodków wagonu cudna jak uśmiech szczęśliwy, jakoś dziwnie urocza, rozpiękniona, Judym doświadczał śmiertelnych dreszczów. Zdawało mu się, że u jej stóp, u jej nóg najdroższych umrze z bóleści...

Przez chwilę nie mogli przyjść do słowa. Nawet uściśnienie rąk wydało im się czymś dziwnym, a wzajemna obecność i możliwość rozmowy bez świadków, gdy szli ulicą poza obrębem dworca, zdumiewającą niespodzianką. Judym czuł na prawej dłoni rozkosz dotknięcia śliskiej, delikatnej, ogrzanej rękawiczki. Jak drogi skarb, nieznacznie przycisnął tę rękę swą do piersi, niaby dla wyprostosowania klapy surduta, i powierzył ten uścisk sercu, w którym wiła się zamknięta żmija. Szli szeroką ulicą, po bruku uwalanym w błocie, mówiąc o rzeczach obojętnych. Panna Joasia zmuszona była dbać o swą suknię.

Kiedy niekiedy podnosiła oczy pełne blasku i wówczas odrobina żalu za tak sztywne przyjęcie ukazywała się na jej czystej twarzy.

Judym dostrzegł i to także.

— Będzie pan łaskaw pokazać mi fabryki tutejsze? — spytała z odrobiną zalotności.

— Z wielką chęcią... Właśnie idziemy...

Gdy nie protestował przeciwko tytułowi „pan” i gdy natychmiast zgodził się na to zwiedzanie fabryk, lekka mgła bladości przebiegła po jej twarzy.

Weszli w podwórze fabryczne.

Otoczyła ich puszcza machin i warsztatów.

Tu hale otwarte, w których wiły się złote węże drutu, gdzie indziej zionęły ogniem jamy pieców martenowskich, dalej jęczały młoty parowe bijące w belki białej stali.

Kupy węgla, szmelcu, stosy szyn, „gęsi” — zagradały im drogę. Judym miał już wyrobione pozwolenie zwiedzenia wszystkich robót, a nawet delegowanego specjalistę technika, który miał go, wraz z „kuzynką”, oprowadzić. Technik nawinął się wkrótce, bardziej zapewne usposobiony do oprowadzania „kuzynki”, choćby też w towarzystwie lekarza, niż do ślęczenia nad jakimś rysunkiem w kantorze.

Poszli tedy we troje. Technik był człowiekiem młodym o wykwintnych manierach. Powierzchnowość „kuzynki” sprawiała mu widoczną dystrakcję<sup>108</sup> w układaniu zdań, objaśniających procent żelaza w rudzie miejscowej i rozmaitych gatunkach sprowadzanej. Weszli po schodach na wielki piec.

Widzieli kaskadę ochładzającą mur rozpalony, trąbę, która prowadzi do jego wnętrza upalne powietrze i która zdaje się oddychać jak aorta.

Joasia nie mogła się dosyć napatrzeć cienkiej smudze szlaki tryskającej jak krew z górnego otworu. Właśnie przy nich przebito piec i ognista rzeka wylała się na ziemię. Cudne iskry strzelały z tego złotego strumienia. Fale jego posłusznie płynęły do łóżysk swoich, które im długimi drągami otwierali czarni ludzie w siatkach na twarzy. Łuna stała jeszcze nad tą sadzawką ognistą, gdy ją opuścić musieli dążąc gdzie indziej.

---

<sup>108</sup>*dystrakcja* — roztargnienie. [przypis redakcyjny]

Wprowadzono ich do sali maszyn pompujących gorący wicher. Olbrzymie koła o kilkunastu metrach średnicy, do połowy zanurzone w ziemię, toczyły się w swych miejscach bez szelestu, w jakimś milczeniu i chwale. W cylindrach, błyszczących jak lustra, coś nieustannie cmokało, jakby wielka gęba niechlujnego potwora chleptała napój. Z innego miejsca wyrywał się dźwięk nie istniejący.

Był to krótki, urwany śmiech szatana. Serce Joasi było strwożone. Czują, że ten głos do niej się stosuje, że radosne marzenia o szczęściu, jej cichą miłość zobaczył. Spojrzała na Judyma szukając w jego oczach zaprzeczenia, ale ta twarz droga była martwa...

Obejrzeliby piece martenowskie, które wytwarzają stal odlewaną w kubłach na belki. Te „kolby” wędrują stamtąd do walcowni, gdzie znowu w czeluść pieca wrzucone zostaną i do białości się rozpalą.

W wielkich halach wyłożonych żelaznymi płytami wszystkie wrota stały otworem.



Przeciagi rwały wzdłuż i w poprzek, ochładzając czoła, plecy i ręce, które pali białe żelazo. Nie istnieją tam płuca chore, nie ma nerwów. Kto chory, ten umiera.

Jak ognista kula, pędzi na ręcznym wózku przez halę biała belka. Nie widać ludzi, którzy ją dźwigają. Pada na ruszt, który się z posadzki wydobywa. Jest on jak plecy o kilkunastu metrach długości, wyginające się zupełnie wzorem kręgosłupa i niby z kręgów złożone z kół wydłużonych.

Czterej olbrzymi czarni ludzie z jednej i czterej z drugiej strony walców, w siatkach na twarzy, dzierżąc w ręku długie obcęgi, ujmują belkę w swą władzę. Pchną ją mocno między szeroko rozdziawione walce dolne. Jak bryła masła stal się między nie wślizguje. Po tamtej stronie czeka na nią ruszt, który się z ziemi wysunął. Czyny ludzi są płynne, rytmiczne, prawie jak taniec.

Gdy biała płyta zgnieciona i wygięta, niby podpłomyk, zjawia się przed nimi, ujmą ją

wraz długimi rękoma swymi i popchną między cylindry górne.

Wyływa po drugiej stronie dwa razy cieńsza, gdzie czterej na nią czatują. Przystąpią pewnymi ruchy, jak maszyny z żelaza, raz — dwa — trzy — cztery.

Wyciągną długie ręce zbrojne w żelazo, uderzą ją i odepchną.

Zanurzą w wodzie szczypce rozpalone.

Pochwycą inne i jak żołnierze czekają.

Wstęga białej blachy coraz dłuższa, coraz dłuższa, niby pływająca smuga ognia, ukazuje się to w górze, to na dole, to tu, to tam. Pływa w powietrzu... Zdaje się uciekać z pośpiechem, jak gad bajeczny ścigany przez złośliwe dzieci. Chowa się w szczeliny i męczy.

Ruszty szczękają i drżą. To się dźwigną do wysokości poziomej szczeliny między górnymi walcami, to się do najniższej zsuwają.

Wysoko w milczeniu stoi nieruchomy człowiek obracający korbę, która ściska walce.

Tuż obok latają po ziemi węże stalowe.

Biały ucinek sztaby płonącej, wprowadzony w ciasny otwór, wybiega co chwila w przestrzeń, zmierzając do coraz węższych kryjówek. Tam stoją młodzi ludzie z krótkimi szczypcami, którzy chwytają pysk węża, gdy się wysuwa, i niosą go swobodnie na salę. Dopiero gdy ogon stukać zacznie po ziemi, kierują go do innej szczeliny. Drut pędzi z szaloną szybkością. Ogon, ginąc w otworze, trzepie się na prawo i lewo jak żywy...

Ogłuszający huk...

Belka stalowa spada na kowadło.

Nieruchomy młot parowy zlatuje na nią jak piorun, razem prostym niby uderzenie pięści. Zgnieciona kolba przybiera formę płaskiego kręgu. Wtedy w środek jego stawiają przyrząd, który ma wybić otwór, doskonale okrągły. Młot spada raz za razem ze wściekłą siłą. Dzwoni potężnym jękiem, który odbija się w halach, w powietrzu, w ziemi... Z hukiem rozlega się lwi ryk żelaza... Stęka w nim gniew kopalni zwyciężonej przez silne ramię człowieka. Krąg z wybitym otworem jest kołem lo-

komotywy. Jako kupa żółtej gliny z głębin wydobytej, ma teraz wzdłuż i w poprzek ziemi, do najdalszych zakątków, nosić szczęście i rozpacz, przemoc i braterstwo, cnoty i zbrodnie.

Nim stanie na szynach, walczy z ujarzmicielem. Wyżera mu oczy, a twarz zalewa potem; płomieniami, którym je poddał, napętnia jego płuca i serce, na ostre przeciągi wystawione. Szarpie mu nerwy w tej samej minucie, gdy młot parowy szarpie i rozbija jego cząsteczki...

Zdjęte z kowadła umieszczono na zakrzywionych widłach i w bok wysunięto. Przyszło doń dwu ludzi: jeden z ostrym młotkiem w rodzaju ciupagi tatrzańskiej, drugi z młotem na długim toporzysku. Ostrze siekierki przystawiono do wystającego brzegu koła i młot spadać zaczął na jej obuch. Ani jeden cios nie chybił. Słychać było suchy szczęk żelaza o żelazo... Joasia doznała wrażenia, że to jest śpiew. Po wielkim huku organów w jakiejś katedrze daje się słyszeć śpiew, śpiew z tłumu, bojaźliwy, strwożony... Stygnące koło poszło dalej w swą drogę.

Judym nachylił się do swej towarzyszki i zapytał:

— Czy widzi pani dobrze pracę tych ludzi?

— Widzę... — rzekła głosem zdumionym.

— Tak, tak... niech się pani dobrze im przyjrzy.

Nie mówili nic więcej ani w halach, ani na ogromnych dziedzińcach zawalonych istnymi górami miału, gruzów, piasku. Wiatr porywał i nosił z miejsca na miejsce pyły i dziwne jakieś rdze lotne.

Gdy pożegnali uprzejmego mentora, minęli wrota fabryki i gdy jej mury daleko zostały, szli za miasto. Było już blisko południe.

Domy obok drogi i jej kanałów zarażonych zjadliwymi wyciekami fabryk były coraz mniejsze, coraz bardziej nędzne. Na końcu miasta wzdłuż drogi ciągnęły się budy, resztki chałup wiejskich, imitujące domy miastowe. Grunt tam był bagnisty. Dookoła stały zamokłe pastwiska, na których czarnym dnie ropiała zohydzona woda. Nieco wyżej ciągnęły się glinianki napełnione wodą deszczową.

Gdzieniegdzie sterczała jeszcze sosna po wyciętym lesie. Judym wchodził z Joasią na podwórza domostw śmierdzących, otwierał drzwi nieproszony i oczami wskazywał jej ludzi. Były tam dzieci robotników z cynkowni. Wynaturzone okazy gatunku ludzkiego, przedwcześni starcy z obliczami trupów i wzrokiem, który woła o pomstę do nieba. Spoglądały na nich babska paskudne i złe, twarze chorych, którzy może sądzili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyliła...

Szli tak od domu do domu...

Zanim stamtąd zdołali się wydostać, Judym spytał nie podnosząc oczu:

— Gdzie zamieszkamy?

Długo nie odpowiadała. Oczy jej tylko jaśniały.

— Czy tu? — szeptał rysując coś na piasku.

— Gdzie zechcesz...

— Ale czy chciałabyś tutaj?

— Tak.

— Dlaczego tutaj?

— Chciałabym pomagać ci w pracy.

— Mnie... w pracy...

— Myślisz teraz: — „Co mnie i tobie niewiasto...”.

Judym spojrział na nią straszliwymi oczami i rzekł cichym, sennym głosem:

— Skądże ty te wyrazy...

— Założymy szpital, jak w Cisach. Och, mój Boże! Będzie to coś zupełnie innego. Ja będę twoją felczerką...

— Dobrze... Ale czy potrafisz dom prowadzić?... Dom?

— Ho! ho! Nie traciłam czasu na darmo. Wstawałam co dzień, w ciągu całego czasu, rano i szłam do gospodyni uczyć się gotować, prać, prasować, smażyć...

— Konfitury...

— Ale jakie! Żeby mój pan wiedział, jakie...

— Czy tak?

— A właśnie, że tak. Ułożyłam już wszystko, od a do z, jak to będzie w naszym domu.

— W domu...

— W naszym własnym domu... Nie myśl, że chcę dużego mieszkania albo mebli. Och, wcale! Brzydzą się meblami, politurą, lakierem. Firanki, dywany, jakież to wszystko brzydkie! Poczekaj, ja ci powiem...

— Joasiu...

— Poczekaj... Będziemy wszystko albo prawie wszystko, co inni obracają na zbytek, oddawali dla dobra tych ludzi. Ty nie wiesz, ile szczęścia... Z tej resztki, którą dasz swej żonie, z tej najostatniejszej, zobaczysz, co ona zrobi.

— Cóż ona zrobi?

— Ani się obejrzysz, kiedy nasze mieszkanie pełne będzie sprzętów prostych jak u najuboższych ludzi, ale za to pięknych jak u nikogo. My tu stworzymy źródło poczucia piękna, nowego piękna, sztuki jeszcze nie znanej, która obok nas śpi jak zaczarowana królewna. Będą to stołki sosnowe, ławy, stoły. Będą je okrywały proste kilimy...

— Tak, tak...

— Chodnik do sieni, utkany w chłopskim warsztacie ze skrawków niepotrzebnej materii,



jest tak samo miły jak perski dywan. Ściany wyłożone drzewem świerkowym są cudnie piękne...

— Masz rację!... — rzekł Judym patrząc w jej twarz pełną szczęścia szeroko rozwartymi oczyma — to jest tak, niewątpliwie. Tak i ja myślałem. Człowiek tak samo przywiązuje się, musi się przywiązać do prostego kilimka jak do gobelinu, do zydła jak do otomany, do światłodruku wystrzyżonego z czasopisma jak do cennego obrazu.

— Wszystko to pokochamy, to będzie nasze, w krwawym trudzie zdobyte, bez krzywdy niczyjej. Gdzież tam! Za każdą rzeczą będą szły przyjazne spojrzenia tych, co z miłością dla ciebie będą próg nasz opuszczali. Wszystkich ludzi, których ty uzdrowisz, dobry lekarzu... Dobry lekarzu...

Boski szept uwielbienia płynął z jej ust.

— Istotnie, jak ty wiesz wszystko, jak ty wszystko widzisz dokładnie! Wszystko to pokocham, bo będzie pochodziło od ciebie, z rąk

twoich czystych. Te przedmioty staną się częścią mojej osoby, tak jak ręka, noga, może jak sama głowa, jak samo serce. I gdyby przyszło to wszystko porzucić, odtrącić jednym zamachem...

— Gdy przyjdzie gość albo pacjent, sam się zadziwi, że ludzie żyją szczęśliwie, a tak inaczej. Proste, czyste sprzęty, polne kwiaty w glinianym wazonie... Po cóż nam zimny blask wyrobów fabrycznych? Po co stroje, powozy? Nigdy nie czułam większej rozkoszy, jak kiedy ojciec mój zabierał mię na wózek bez resorów i wiozł do lasu po drodze pełnej wystających korzeni drzew, przeciętej wyrwami. Żaden resor nie potrafił uginać się tak doskonale jak dębowa „literka”<sup>109</sup> wystrugana przez cieślę. Ach, ja już tak dawno straciłam gniazdo rodzinne! Prawie nigdy go nie miałam. W piątej klasie byłam za ledwie, gdy mię ojciec odumarł! Mamy prawie nie pamiętam... Każda istota ma swe ognisko, swój dach. Mały skowronek — i ten... Gdy po-

---

<sup>109</sup>*literka* — drabinka u wozu. [przypis redakcyjny]

myślę, że teraz moje życie tułacze ma się już skończyć...

— A cóż się stanie z tymi chałupami, cośmy je widzieli przed chwilą? — zapytał Judym głosem pełnym jakiegoś jąkania się i zgrzytu.

Stała na drodze i ze zdumieniem czekała. Patrzył na nią — to prawda, ale jej nie widział. Oczy jego były jakby zezowate i zbielełe.

— Cóż zrobimy z nimi? — pytał się stojąc na tym samym miejscu.

— Z kim?

— Z nimi! Z tymi z budów!

— Nie rozumiem...

— Ja muszę rozwalić te śmierdzące nory. Nie będę patrzył, jak żyją i umierają ci od cynku. Polne kwiaty w doniczce, to tak... To dobrze... Ale czy można?

Wzięła go za rękę, gdyż pewne przeczucie wolno jak zimna stal wpychało się w jej serce. Wyrwał rękę i mówił szorstkim, obrażającym głosem, patrząc przed siebie:

— Muszę ci wszystko powiedzieć, chociaż to dla mnie gorsze od śmierci. Doprawdy, doprawdy wolałbym umrzeć, jak Korzecki...

— Korzecki?

— Gdybym to mógł słowem nazwać! Ja tak cię kocham! Nigdy nie myślałem, że może się z człowiekiem stać coś takiego... Twoje uśmiechy, które odsłaniają serce, jakby zdejmowały z niego zasłonę. Twoje czarne, puszyste włosy... Budzę się w nocy i, już nie śpiąc, widzę cię, czuję cię na sercu moim. Minie długa, święta chwila i dopiero wiem, że nie ma nikogo... A odkąd tu przybyłem i zacząłem patrzeć, coś we mnie rozdmuchuje ogień. Pali się we mnie! Nie wiem, co to płonie, nie wiem, co trawi ten pożar...

— Mój Boże...

— Widzisz, dziecko...

— Mój Boże, jaką ty masz twarz!...

— Widzisz... Ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć tego dalekim przeczuciem, co leży w jego sercu.

Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich — to idioci.

— Ale cóż to ma do nas?

— Przecie to ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Ja jestem!

— Ty... odpowiedzialny?

— Tak! Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła: „nie pozwalam!” Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, to któż to uczyni? Tego nikt...

— Tylko ty jeden?

— Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przekłęty... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał!

Joasia stanęła w miejscu. Powieki jej były spuszczone, twarz martwa. Nozdrza chwyciły powietrze. Z ust padło krótkie słowo:

— Ja cię nie wstrzymam...

Były to wyrazy ciche i oblane krwią wstydu. Zdawało się, że z żył, gdy to mówiła, krew rozpalona wytryśnie.

Judym odrzekł:

— Ty mię nie wstrzymasz, ale ja sam nie będę mógł odejść. Zakiełkuje we mnie przyszłe nasienie dorobkiewicza. Ja siebie znam. A zresztą... nie ma już co mówić...

Wzdrygnęła się, jakby ją to słowo w tył pchnęło. Szli obok siebie w milczeniu, daleko, daleko...

Ciągnęły obok nich furmanki z rudą galmanu<sup>110</sup>, przeróżne bryki, powozy... Szło dużo ludzi... Nie widzieli tego wszystkiego. Gości-niec zaprowadził ich do lasu. Tam usiedli pod drzewem.

Joasia uczuła, że ramię Judyma wsparło się o jej ramię, widziała jego głowę zwieszoną na

---

<sup>110</sup>*galman* — ruda cynkowa. [przypis redakcyjny]

piersi. Nie była w stanie poruszyć ręką. Siedziała, jakby w twardej sen pogrążona, kiedy wypijamy morza boleści, nie mając siły wydać jednego westchnienia.

W pewnej chwili Judym usłyszał jej płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie dźwignął głowy.

O jakiejś godzinie usłyszał jej głos cichy, z głębi łez:

— Szczęść ci Boże.

Nie mógł odpowiedzieć sam za siebie, ale jakiś głos obcy, tak jakby Dajmonion, o którym pisał przed śmiercią Korzecki, wymówił z głębi jego serca:

— Daj Panie Boże.

Joasia wstała.

Przez chwilę widział spod bezwładnych, ciężkich, obwisłych powiek jej twarz bolesną. Była jak maska pośmiertna z gipsu.

Za chwilę stracił ją z oczu.

Odeszła szosą w stronę miasta, w stronę dworca kolei...

Siedział tam długo. Kiedy znowu rzucił oczyma na drogę, nie było już widać nikogo. Wiatr tylko porywał z niej kurz wapienny, miotał go w górę jak plewy. Kurz wapienny, naśmiewający się...

Judym uciekł.

Szedł brzegiem lasu, później środkiem pastwisk błotnistych. Gdzieś błędził. Nad wieczorem ujrzał przed sobą w polu szkielet zabudowań kopalni.

Straszna nienawiść do tego widoku i wyniosła wzdarda, jak pysk w kły uzbrojony, otwarła się w jego piersiach. Szedł dalej.

Stał nad brzegiem szerokiej wody, płytko rozlanej. W niskich, nędznych, żółkłych trawach kił ten czarny zalew śmierci, który nad otchłanią kopalni chwieje się lichymi falami. Ciemna woda zdawała się marzyć, zdawała się czekać, kiedy runie w głębinę wydrążoną kiedy napełni puste lochy, kuszące próżnie, które ją ciągną, ssą, wzywają.

Judym ją poznał. To ona! Widział ją w nocy. Tej nocy... Szukał na falach świetlistego



znaku, długiej ruchomej wskazówki, która przeżywa jak doborowa stal damasceńska. I uczuł w sobie ostrze.

Daleko, daleko za lasami łkał świst pociągu, niby słowo tajemnicze zawierające sens życia.

Tuż obok stóp Judyma było szerokie, suche zawalisko, otwór w postaci leja zwróconego wierzchołkiem na dół. W głębi ziemi pod nim były niegdyś galerie kopalni. Warstwy skał piaskowca i łupku gliniastego, wskutek „wyrobowania”<sup>111</sup> budynku podtrzymującego piętro, zarwały się od własnego ciężaru i spadając, odłamami swymi napełniły puste przestrzenie pokładów węgla. Gleba zewnętrzna zsunęła się w przepaść wraz z murawą, krzewami i utworzyła dół głębokości dwudziestu metrów.

W miejscu rozdarcia widać było pręgi piachu siwe i jasnożółte. Naokół stały karłowate, nędzne sosny.

Jedna z nich rosła na samym brzegu zawaliska. Oberwana ziemia ściągnęła w głębi-

---

<sup>111</sup>wyrobować — wybrać, wydobyć (materiał kopalny). [przypis redakcyjny]

nę prawy jej korzeń, a lewy został na twardym gruncie. Tak ją dzieje kopalni rozdarły na dwoje. Pień jej stał jedną połową swoją w górze, a drugą szedł wraz z zawaliskiem, niby istota ludzka, którą na pal wbito. Tamten, z bryłami ziemi w dół ściągnięty, przeżył się jak członki na torturach. Wszczepione w glebę pazury górne trzymały się z całej siły.

Judym zsunął się w zawalisko, żeby go nikt nie widział. Rzucił się na wznak. Pod sobą w głębi ziemi słyszał od czasu do czasu huk wystrzałów dynamitu i prochu. W górze widział obłoki sunące po niebie lazurowym.

Obłoki jasne, święte, zaczerwienione obłoki...

Tuż nad jego głową stała sosna rozdarta.

Widział z głębi swojego dołu jej pień rozszarpany, który ociekał krwawymi kroplami żywicy. Patrzył w to rozdarcie długo, bez przerwy.

Widział każde włókno, każde ścięgno kory rozerwane i cierpiące. Słyszał dokoła siebie

placz samotny, jedyny, placz przed obliczem  
Boga.

Nie wiedział tylko, kto płacze..?

Czy Joasia? — Czy grobowe lochy kopalni  
płaczą?

Czy sosna rozdarta?

Zakopane. Jesień 1899 r.

KONIEC

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ludzie-bezdomni-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, Ludzie bezdomni, wyd. 24, wyd. Czytelnik, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Partnerem projektu jest Prokom Software SA. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: 173/365: Sombras florales..., anietozk@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-1045-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji